

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/200

1964



200

• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

A. ACHMATOWA: **REQUIEM**
K.A. JELEŃSKI: **“34” A OPINIA ŚWIATOWA**
Cz. MIŁOSZ: **DWUSTRONNE PORACHUNKI**
L. LIPSKI: **MIASTECZKO**

SPIS RZECZY

Z DZIAŁALNOŚCI „KULTURY”

Ignazio Silone:	„Archiwum Rewolucji”	3
	◆	
Czesław Miłosz:	<i>Dwustronne porachunki</i>	7
Paweł Hostowicz:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	35
K. A. Jeleński:	<i>Protest 34 w perspektywie międzynarodowej</i>	41
	◆	
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Suche oko</i>	57
Anna Achmatowa:	<i>Requiem (Przełożył J. Łobodowski)</i>	61
	◆	
Leo Lipski:	<i>Miasteczko</i>	69
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Juliusz Mieroszewski:	<i>Polska — Rosja — Ameryka</i>	79
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	88
	SPRAWY GOSPODARCZE	
W. A. Zbyszewski:	<i>Wspólny Rynek i Wschodnia Europa</i>	99
	SPRAWY I TROSKI	
Czesław Dobek:	<i>Straty szkockie i sumy włoskie</i> ..	119
	KRAJ	
—	<i>Przed IV Zjazdem</i>	139
—	<i>Broszura</i>	144
	SĄSIEDZI	
—	<i>Rumunia</i>	147
	KRONIKA KULTURALNA	
Józef Czapski:	<i>Marek Żuławski — Nagroda Plastyczna „Kultury” za r. 1963</i> ..	149
Marek Żuławski:	<i>Dekada 1954-1964</i>	151
(m. l. d.):	<i>W oczach Londynu</i>	154
	KSIĄŻKI	
Jan Brzękowski:	<i>Druga młodość Wierzyńskiego</i>	161
W. W.:	<i>Literatura polska w niemieckim leksykonie</i>	167
	◆	
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	172
	◆	
Z. Nagórski sr., J. Niemojowski, K. Symonolewicz-Symmons:	<i>Listy do Redakcji</i>	174

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec - Juin

1964

INSTITUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Witold RYSER — ur. w r. 1915, w Noworosyjsku. Studiował prawo i dyplomację w Lublinie i we Lwowie (1936-39). Korespondent PAT'a w Stambule 1944-45. Specjalny korespondent dla spraw sowieckich, Reuter (1948-50), United Press, Londyn, 1950-54. Od 1955 pracuje w Monachium, Radio Liberty, jako główny komentator: sprawy sowieckie i polityka międzynarodowa. W latach 1953-1960 współpracował w „Robotniku”, Londyn (sprawy sowieckie).

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

J. Turska, St. Anne de Belleville, P.Q. (Kanada) po raz siódmy	21,75 F
Wiktor Skiba (USA) po raz piąty	8,00 „
Anna Teresa Serafin, Phoenix, Arizona (USA) po raz siódmy	19,50 „
Nina Sereda, Montreal (Kanada) po raz czternasty	45,00 „

DZIĘKUJEMY

Z działalności „Kultury”

„Archiwum Rewolucji”

Ilu pokoleń historyków trzeba będzie w przyszłości dla uwolnienia obrazu życia rosyjskiego w ostatnich dziesięcioleciach od ciężkich fałszerstw propagandy i dla zrekonstruowania prawdziwego przebiegu wypadków? Będzie to z pewnością jedno z najtrudniejszych zadań, jakie kiedykolwiek stanęły przed ludzkością: w parze z ogromem materiału do zbadania idą otaczające go od dawna gęste ciemności.

Ale nawet gdy można będzie sięgnąć swobodnie do źródeł oficjalnych, jaką rękojmię prawdomówności dadzą one badaczom w najważniejszych sprawach? Zapewne staną oni przed górami szpargałów zawierających ślady działalności organów wykonawczych wszystkich stopni; ale ileż z tego uda się wydobyć danych autentycznych o najdonioślejszych uchwałach organów kierowniczych? Chruszczow, na przykład, potwierdził oficjalnie prowokacyjny charakter zabójstwa Kirowa. Lecz w jakich okolicznościach i przy czym udziale postanowiono tę haniebną inscenizację? Przez kogo i jak, na podstawie jakich instrukcji, zostały sporządzone listy likwidacyjne kadr partyjnych w przewidywaniu tej zbrodni? Można bez końca mnożyć podobne pytania. Jakie realne motywy kryły się za likwidacją KPP, kto wysunął tę propozycję, kto ją zaaprobował? Odnajdzie się kiedyś świstek papieru z rozkazem wymordowania w Katyniu więźniów Starobielska i Ostaszkowa?

„Są to naiwne pytania — wyznał raz Togliatti swemu b. towarzyszkowi — zważywszy że uchwały o pewnej wadze nie podlegają nigdy zaprotokółowaniu, a odnośnych rozkazów nie wydaje się nigdy na piśmie”. Jeśli to prawda, moglibyśmy ją uważać za dowód że nawet w okresie bardziej na pozór trwałym

swojej tyranii nędznicy pretendujący do ucieleśniania sprawy Rewolucji mieli realistyczne poczucie własnej nikczemości i zdradzali uzasadniony niepokój o sąd historii. Ale kryminologia niechętnie uznaje zbrodnie doskonałe i, choć z opóźnieniem i z trudem, prawda wychodzi prawie zawsze na światło dzienne. Chodź mi naturalnie o prawdę o szczegółach, gdyż prawda ogólna, prawda o ustroju, nie podlega więcej dyskusji dla nikogo kto myśli, pisze lub mówi w dobrej wierze.

Dziełu osadzenia jej na niewzruszonych podstawach poświęcili swe siły liczni świadkowie, którzy we własnym doświadczeniu poznali terror fizyczny i ideologiczny komunizmu i postawili go w końcu przed sąd i pod pręgierz opinii międzynarodowej. Ich książki ukazały się w krajach, gdzie wolność słowa dawała agentom dyktatury możliwość zaprzeczenia. Ale nie usłyszeliśmy tych zaprzeczeń, usłyszeliśmy tylko że książki ujawniające rzeczywistość komunizmu są dziełem zdrajców, renegatów, sługusów imperializmu. Nie ma ani powodu ani potrzeby ukrywać faktu, że nawet w krajach demokratycznych te trywialne oszczerstwa osiągały dość często efekt zastraszenia niektórych samozwańczych intelektualistów „postępowych”, nie mówiąc już o atakach wściekłości ze strony dawnych towarzyszy partyjnych. I byłoby rzeczą łatwą udawać obojętność wobec tego rodzaju napaści i wobec nieodłącznych od nich aktów ekskomuniki; byłoby rzeczą łatwą, gdyby nie pozostawiały one bolesnych ran w sercu każdego kto pozostał mimo wszystko wierny sprawie socjalizmu.

Czytelnicy książek, które *Kultura* włączyła do serii nazwanej *Archiwum Rewolucji*, powinni o tym pamiętać: są to świadectwa prawdy, które wymagały odwagi.

Ignazio SILONE

Jednocześnie z bieżącym 200-setnym numerem *KULTURY* ukazuje się 100-ny tom „Biblioteki *KULTURY*”. Jest to książka W. Krywickiego pt. „Byłem agentem Stalina”, którą rozpoczynamy nową serią — obok „DOKUMENTÓW” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” — mianowicie: „ARCHIWUM REWOLUCJI”.

Cel i założenia tej nowej serii wyjaśnia powyżej Ignazio Silone. Od siebie chcemy jedynie dodać, że ta inicjatywa została w dużej mierze spowodowana „zamówieniem społecznym”. Od paru lat nasi czytelnicy nie tylko w kraju, ale także i w Związku

Sowieckim zwracają się do nas aby możliwie obiektywnie i wyczerpująco naświetlić nie tylko okres stalinowski, ale w ogóle historię rewolucji rosyjskiej. Jest to bowiem podstawowym warunkiem ewolucji stosunków w kierunku — chyba przez nas wszystkich pożądanym: uratowania prawdziwych wartości rewolucji.

Jeśli decydujemy się na podjęcie tego ambitnego i trudnego zadania to głównie dzięki życzliwej i bezinteresownej pomocy Fundacji LILLY ENDOVMENT, Inc., Indianapolis, Indiana, USA.

W dalszej kolejności w serii *ARCHIWUM REWOLUCJI* ukaza się następujące książki, będące w przygotowaniu:

Aleksander WEISSBERG: „Sabat czarownic”, w tłum. Pa-wła Hostowca,

Ignazio SILONE: „Wspomnienia”,

Victor SERGE: „Sprawa Tulajewa”,

Lew TROCKI: „Wybór pism”,

Borys LEWICKI: „Od czerwonego terroru do sowieckiego ustawodawstwa”,

Borys LEWICKI: „Polityka narodowościowa ZSSR 1953-1963.

Nowość

TOM C BIBLIOTEKI „KULTURY”

Seria: ARCHIWUM REWOLUCJI

WALTER G. KRYWICKI

BYŁEM AGENTEM STALINA

Str. 216

Cena egz. 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)

TOM XCIX

BIBLIOTEKI " KULTURY "

WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM I

Już się ukazał i został rozestany subskrybentom

Przypominamy, że MOJE WSPOMNIENIA będą w sprzedaży dopiero po ukazaniu się całości Pamiętników.

Wykaz subskrybentów będzie zamieszczony w tomie III-cim.

Tom I-szy zawiera 356 stron.

TOM XCII BIBLIOTEKI « KULTURY »

WE WŁASNYCH OCZACH

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY
SOWIECKIEJ

A u t o r z y :

Aleksander SOŁŻENICYN, Włodimir MAKSIMOW, Aleksander JASZIN, Leonid STADNIUK, Fiodor ABRAMOW, Borys DIAKOW, Leonid SIOMIN.

W tłumaczeniu Józefa ŁOBODOWSKIEGO, Kazimierza OKULICZA i Zdzisława MIŁOSZEWSKIEGO.

Str. 524

Cena egz. 24 F (35 sh., dol. 5,00)

Dwustronne porachunki

Europa tak dosięgła mnie nowością swojej fazy, spostrzeżonej nagle, że ze sprzecznych uczuć, z gniewu na jej zadowoloną z siebie łapczywość, z żalu nad rosnącym dystansem pomiędzy jej bogactwem i ubóstwem krajów niedorozwiniętych czy zahamowanych, z odrazy i przywiązania i podziwu, zostało tylko przyznanie się do nierozumienia. W czym nie byłem wyjątkiem, bo każdy z moich zachodnio-europejskich przyjaciół też przyznaje się, że nie rozumie. Jakby wszystkie definicje których nauczyliśmy się pękały, rozsypywały się i czas przyspieszony ukazywał ich staroświeckość. A co jeżeli Europa, żrąc, pijąc, rozmnażając się, wyładowując swoją brutalność na szosach, raz jeszcze wyobraża nie co innego jak ludzkość, skoro upadły wszelkie ideologiczne alibi, i buntując się przeciwko niej zdradzamy się z tym po prostu, że to ludzkość nam nie odpowiada? Stawia się datę i widzi się, że wszystko co się dzieje powinno być zatytułowane: dwadzieścia lat później. Protestuje się: nie chcę zapomnieć. Ale zaraz nawiedza nas myśl, że jest to poszukiwanie jeszcze jednego alibi.

Czy wolno, pytałem, starać się odgadnąć, jak to umiemy, z literatury, sztuki, teatru, filmu, stan duchowy Europejczyka, czy też, co może wychodzi na jedno, współczesnego człowieka? Na ile te znaki, symbole, są miarodajne? Widziałem Madeleine Reynaud grającą jedyną rolę w sztuce-monologu „Ah les beaux jours” Becketta. To może nie Ajschylos, jak twierdziła część paryskiej prasy ale rzecz jakoś ważna. Przez to, że czasowi życia ludzkiego odjęty jest tam wszelki walor i czas równa się jedynie (jedynie, oto szczególność) sile niszczącej zanurzającej nas w śmierć. Jeżeli tak, to czyż „teatr absurdu” nie jest podszewką europejskiej spżywczwej łapczywości, byle zdążyć, zanim każdego (czy cywilizację?) pochłoną lotne piaski śmierci? I czy przypadkiem dosięga-

nie nihilistycznego dna nie godzi się znakomicie z nową lodówką i nowym samochodem? Gdyż zstąpiwszy na dno niepostrzeżenie przechodzi się niejako na drugą stronę, słońce świeci, biologia w nas działa, po co ten krzyk, ostatecznie jest całkiem żnośnie. I przypomniało mi się „życie w spokojnej desperacji”, jakie, licho wie czemu, Thoreau obserwował naokoło siebie w Nowej Anglii lat czterdziestych ubiegłego wieku.

Ale co innego mnie jątrzyło. Pływając w morzu koło marmurowych skał włoskiego wybrzeża w pobliżu Carrary, chodząc uliczkami Florencji, wędrując przez jesień winnic w krajobrazie San Gimignano i Sieny, szukałem swojej tożsamości, swego pokrewieństwa z młodym człowiekiem, który był na tych szlakach nawet nie dwadzieścia lat ale ćwierć wieku temu. I męcząca nieprzejrzystość nowej Europy (bo to mnie ścigało, nie Giotto i Massaccio) nakładała się na własną moją nieprzejrzystość, zmuszając do jakiejś wymykającej się słowom konfrontacji. Kim jestem? W jakim stopniu moja pretensja do nich, zachodnich Europejczyków, jest powtórzeniem tego samego, co dokuczało niegdyś młodemu przybyszowi z Polski, który chciał psa uderzyć, więc zaraz taki czy inny ideologiczny kij znajdował? A jeżeli tak, to nie o dzisiaj powinienbym rozprawiać, raczej o wczoraj. Nie tylko o sobie wczorajszym. Kiedy jesteśmy bardzo młodzi, wydaje się nam, że różne dziwne przypadki zdarzają się tylko nam i ponuro rozmyślamy nad wyjątkowością naszego losu. Później, niestety, coraz więcej z tego co w naszym losie uważaliśmy za ściśle własne, odsłania swoją typowość i powszechność. Tak i ja, przesuwając się od pytania kim jestem do pytania kim byłem, coraz częściej zastanawiałem się nad historią, geografiją etc. która mnie wydała. Ów młody człowiek we Florencji, Sienie, Assyżu, skądś się przecie brał, z kimś się porozumiewał, gdzieś tam, poza strefą dzisiejszej zachodniej Europy, zdawał maturę i studiował na jakimś uniwersytecie.

Próbowałem już kiedyś tamten kraj, międzywojenny, rozgryzać i nawet opisywać, ale nigdy mi się to nie udawało. Nie-dorzeczywisty, jak dramaty Słowackiego, co to niby są a właściwie ich nie ma. Ale nie mnie jednemu to się nie udawało. I co tu gadać o dwudziestoleciu Polski Ludowej, które zaraz wypełni głośniki dziennikarskim obrzędem, jeżeli przygotowanie i wyjaśnienie jest gdzie indziej, w dwudziestoleciu zamierzonym, ledwo tkniętym słowami. Statystyki, socjologiczne przekroje, pamiętniki ministrów czy bezrobotnych są mało przydatne w naszej konfrontacji z szerokim światem, nie dotyczą substancji. O, substancja, pana Paska i Podkomorzego i Konrada i Cześnika i Rejenta i Króla Ducha, jak ją uchwycić? Tak silne piętno, na całe życie głupich Jasiów z bajki, którzy dostali się za góry i morza, podczas gdy ich

mądrzejsi bracia utonęli, piętno, ale jaki, jak wyglądający, był moment jego kładzenia? Od tamtych chwil w szkole, w gimnazjum imienia króla Zygmunta Augusta w Wilnie, kiedy wchłaniałem tę substancję jak naturę, do dziś, jaka odległość, a czy nauczyłem się wydzielać, nazywać, elastyczne, śliskie jak węgorz *coś* jednej cywilizacji? Na pewno nie. I przyznając się, że zachodniej Europy nie rozumiem, przyznając się też, że moich buntów przeciwko niej też nie rozumiem, tych niby u Mickiewicza ostrzeżeń, że przyjdzie godzina kiedy będą żarli swoje złoto i banknoty, a nikt im nie poda chleba i wody, co się na ogół nie sprawdziło.

Forma

Zatrzymywałem się nieraz we włoskich zaułkach gapiąc się na oświetlone wnętrza stolarskich warsztatów, na ruchy hebla (ruch kosiarza, ruch wiosłarza pchającego łódź skrzętem jednego wiosła) albo na witraż wycięty w ciemnym murze, za którą pięć dziewcząt szyło pod nadzorem wąsatej matrony. Popasałem w wielu *pizzeriach*, *trattoriach* i *Hôtels du Commerce*. Że gdzieś u góry trwało państwo, włoskie czy francuskie, nie było tak ważne, to są, jak wyraził się Paweł Valéry, *choses vagues*. Natomiast Włosi i Francuzi najniewątплиwiej istnieli i istnieją, miliony ich, krzątające się, zabiegliwe, skrzętne, gestykulujące, wrzeszczące, umiejące wziąć co się da z drobnych radości, z dowcipu, ze szklanek wina przy pracy, bystre, twarde, przebiegłe. Oni to, rzemieślnicy, robotnicy, sklepikarze, szoferzy ciężarówek (patrz w południe na szosie gdzie stoją ciężarówki, znak, że tam znajdziesz dobre jedzenie i dobre wino), właściciele knajp obsługiwanych przez rodzinę są krajem rzeczywistym, a ich styl życia, ich *way of life*, nie jest kwestionowany przez nikogo, powszechny, narodowy, zagarniający, z drobnymi modyfikacjami, także społeczne szczyty, razem z ich, przynajmniej dla mnie, obrzydliwością. Zawsze byli krajem rzeczywistym. Czyż na przykład florenckiej *Duomo* nie ufundował cech sukienników, żeby oddać co należy Bogu w zamian za swoje codzienne kupieckie szwindle?

I ta ich własna forma była dla mnie utrapieniem. Na jej tle ukazywałem się samemu sobie jako podejrzany, zaklinowany, wtrącany wbrew swojej woli w automatyzmy moich odruchów, a to poniżej. Inaczej wyrażając to samo, mieszkała we mnie domena kartoflanych twarzy od Berlina na wschód, bezradnie podejrzliwych drapań się w głowę, paluchów próbujących dać sobie radę z formularzami. Sto, dwieście lat, wszystko się zmienia tylko to się nie zmienia, dysproporcja dwóch Europ, taka sama jak kiedy jeździł tutaj Dostojewski, albo i nasz skromny Prus, który jeżeli cierpiał w Paryżu na lęk przestrzeni, to może nie bez powodów,

zanadto porównywał. Ani zbawiać ani reformować, dość mam własnych zajęć, jak powiadał odtrącony ormiański kochanek: *Ne chocziesz, ne nada, druguju mordu najdiom*, a mimo to być wrzucanym, przez to tylko, że się postawi nogę na tym kontynencie, w Europę rozdwojoną na tę z formą i tę bez formy, na tę zaawansowaną i tę wlokącą się ekonomicznie w ogonie, nosić w sobie całą podwójność. Niby Wokulski z „Lalki” tegoż Prusa, kiedy w Paryżu chciał zerwać z nadwiślańskim paralizem a nie mógł, a gdyby zerwał, też nie wyznałby go ze świadomości. I zaraz całą parą w znane automatyzmy, w to praktykowane przez polskich romantyków, przez rosyjskich słowianofilów, przez Dostojewskiego, przeciwstawianie tępej Europie walorów duszy wrażliwej a historycznie doświadczonej?

Kiedy kończyła się wojna myślałem, chodząc po Krakowie, że struktury zachodnio-europejskie które wyprodukowały potworność nigdy już nie będą zdolne do życia, że jest granica jaką się osiąga a dalej już nic. Puścić miliony ludzi na siebie żeby przez cztery lata tępiły się pociskami i gazami, wypuszczały sobie flaki nożem i bagnietem, a potem zaraz, kiedy trąbki i bębny i wiersze sławiły Nieznanego Żołnierza, przygotowywać nową wersję tej zabawy tudzież komory gazowe i krematoryjne piece, zaprawiać to razem filozofią i dyskusją estetyczną siedząc okrakiem na plecach niewolników przemysłu — to może mało? Ale rozumowanie moje było fałszywe, bo tym wańkom-wstańkom nic nigdy nie szkodzi. Mówiono, że wyrzynają się bo kolonie im są koniecznie potrzebne, że bez nich nie mogliby egzystować. Pozbyli się kolonii, zapomnieli o swoich ojcach, braciach, siostrzeńcach, którzy gryzą ziemię bo ojczyzna potrzebowała kolonii, załatwili się gładko z winą swoich mędrców — i zakwitli.

A co zdawało się zapowiadać odwrócenie proporcji tj. nagłe uprzemysłowienie wschodniej części Europy przez rewolucję, zmieniło się w powód do ich triumfu, bo tam ideologia wzięła na siebie funkcję Penelopy: co jedną ręką wyrobi, drugą pruje. Kiedy już nic nie mogło zakłócać normalności, kiedy stało się wiadomym, że nowy ustrój, tam, u barbarzyńców, jest niemiły, polityczny, a gospodarka, poza fabrykami broni, nędzna, ich młodzieży, wężającej pustkę pod powabami gospodarczego cudu pozostała tylko tęsknota do nieokreślonych duchowych głębi ukrytych we wschodnich kartoflach, marksistowski paciorek odmawiany w przerwie między jazzem, obłapką i samochodem.

O, *Belle Epoque*. Znowu *Belle Epoque*, jak powtarzająca się płyta. Ta moja ironia skąd się bierze jeżeli co jest, widocznie jest takie jak ma być? Spokój krowy na łące europejskiej cywilizacji, tu kwiatek, tam kwiatek, czemu mi nie odpowiada? Przypuszczam, że decyduje o tym nie tylko to co zwykło się nazywać w naszym

stuleciu pamięcią, tj. obecność w umyśle scen infernalnych, ale także, i przede wszystkim, Pan Piecyk Wiecha, śledzik, wóda, ogórki w słoju, muchy na serze, piwko, substancja wymykająca się, niedo-forma, ni to szlachecka ni to ludowa, wnętrza inteligentkich mieszkań z tkaninami „Ładu”, pyłne drogi, Ostrołęki, Łęczyce.

Dla mnie zagadka: tamto państwo było tworem inteligencji, jeżeli nie „intelektualistów”, intelektualistą niewątpliwie i niezłym pisarzem politycznym był Piłsudski, Legiony wyłoniły się z artystycznej Bohemy, albo, jeżeli kto woli przypisywać znaczenie paryskim zabiegom Dmowskiego et co., byli to bądź co bądź wychowankowie pozytywizmu. A jednak tamto dwudziestolecie zaznaczyło się stopniowym odpływem, cofaniem się myśli, co udowodnić nie trudno, zwłaszcza, że różni przywódcy znaleźli się na emigracji gdzie w swoich polemikach i wspominkach wykazali dostatecznie dużą nieporadność umysłową. Czy była to „panska Polska”? Jeżeli sądzić po arogancji zabawnie ustrojonych oficerów, po skutecznym hamowaniu reformy rolnej, po ciągle prosperujących jako tako Nawłociach z „Przedwiośnia”, po przedziałach klasowych, tak. Sądząc po aparacie obsadzonym przez gołych biało-kołnierzykowców, po przywódcach politycznych partii i wyborcach, po ciałach profesorskich na uniwersytetach, po literaturze i sztuce, niekoniecznie. Dwór niemal nieodmiennie pojawiał się w literaturze jako przedmiot satyry, poza tym w każdym dworze, jeżeli znajdowało się księgozbiór, to kończył się, jak nożem uciał, na roku 1914, co wiele mówiło o upadku, finansowym i intelektualnym, tzw. ziemiaństwa. I być może pogranicze inteligencji i lumpenproletariatu, to z którego wyłonił się K.I. Gałczyński, dostarcza do tamtego kraju klucza, a Gałczyńskiego hymny na cześć O.N.R. nie są dla mnie przypadkiem, ale uzupełnieniem jego wierszy o bezrobotnych inteligentach. Kiedy forma jest szlachecko-inteligentcko-panapietykowa (co musiało się jeszcze zaakcentować później, wskutek zniszczenia skromnych tradycji handlu i rzemiosła), może to bardzo źle, ale trzeba uznać sytuację i wyciągnąć z niej co się da najlepszego. Przyjmuję następujące założenie: tylko inteligencja liberalno-postępowa miała swoją linię rozwoju, swoich patronów, i tylko ona mogła dostarczyć myślowych fermentów potrzebnych do przebudowy struktury. A jednak przegrywała. Od kiedy? Czy nie od chwili, kiedy został zamordowany jej człowiek, Gabriel Narutowicz, pierwszy prezydent? W zawiłości polityczne zapuszczać się nie mam zamiaru, zawsze kiedy oglądamy się wstecz wszystko jest doskonale logiczne, wszystko się zązębia, wyobraźni nam nie starcza żeby przedstawić sobie tzw. historyczną *contingence* czyli sekundę wazących się szal i ziarno piasku, które przeważało.

Wstyd wspólnoty

Bolesny zgrzyz u Prusa, Żeromskiego, rodzaj paniki za każdym razem kiedy zwracali wzrok ku wsiom i małym miasteczkom albo Powiślu w Warszawie, paniki, bo jak z tym być solidarnym, jak ponosić odpowiedzialność? A dla nas, cośmy otarli się o bezkształtne dziadostwo, o podrzędność społeczną mieszkańców tych samych wsi i miasteczek na różnych obczyznach, od masy polskich robotników we Francji przed 1939 r. po rudery polskich dzielnic w Chicago, gorszych niż ulice Ząbkowska i Grochowska, żałośnie prorocza okazała się piosenka ze „Słówek” Boga: „Od Chicago do Tobolska pełna wrzasku ziemia polska”. I w jedno to się łączyło: pylne drogi, bose baby gonące kurę przed drzwiami awangardowego teatru, slumsy polskich dzielnic na różnych kontynentach, sienkiewiczziada, książka kucharska jako biblia narodowa, wieczna rola zwierzyny gonionej przez wszelkie policje, rola przedmiotu, nigdy podmiotu historii. Ale myliłby się ktoś z młodych, schwytanych przez dzisiejszą rozpaczliwą drwinę z całego tego kompleksu nie do rozplątania, sądząc, że w tamtym dwudziestolecu jej nie było. Przeciwnie, myślę, że i wtedy stanowiła jedną z mniej czy bardziej jawnych determinant. I niech cała pogarda inteligencji postępowej dla bogoojczyźnianego gadulstwa maskującego mizериę będzie prometejska, pod spodem trwała chęć wyłączenia się czy ucieczki, jakiej, mniejsza z tym, w nowoczesną poezję, awangardowy teatr czy pociągiem albo samolotem do Paryża. Bo co za dużo to za dużo a życie jest krótkie i jeżeli chcesz coś zrobić, połóż klapki na oczy i uszy, wybierz co jest w twoim zasięgu, pracuj. Przypuszczam, że ta chęć wyłączenia się (sekret polskiego pociągu do cudzoziemszczyzny, sekret także Moderny Przybyszewskiego, obecny również u kogo — u Lechonia, w jego „Herostratesie”) paraliżowała nas w dwudziestolecu, izolowała w bezsilnej drwinie, podczas gdy endecja, a później O.N.R. były jak najbardziej rdzenne, swojskie, wrośnięte we wspólnotę kiełbasowo-flakowo-sienkiewiczowską. Ta wspólnota zakazała jakoś i przeszłość, którą niejedyn gotów był odrzucać *en bloc* byle nie strefnić się (zauważył to już u socjalistów i postępowców Stanisław Brzozowski). Nie mogę powstrzymać się tutaj od sięgnięcia po przykłady z młodości mojej w Wilnie, młodości, zaiste, niemal jak Filomatów. Nasze grono było obdarzone zresztą znacznie większym zmysłem historycznym niż jego pobratymcy w innych miastach (właściwość Wilna, historią tam się oddychało, ale nie była ona zinstytucjonalizowana a przez to tylko retoryczna jak np. w Krakowie). Mimo to nasze przegrane jestem skłonny wyjaśniać, w znacznym stopniu przynajmniej, szlachecko-inteligenckim pochodzeniem, które w naszej świadomości uchodziło za coś wstydl-

wego, wciągającego niepostrzeżenie w sojusz z naszymi wrogami, latającymi w deklach z rapierem albo pałą, stąd jakby podwiązanie i niejedno tabu. Myśl i piarstwo wymagają swobody, brania byka za rogi i mój żal kiedy czytam np. Faulknera polega na tym, że marnowaliśmy skarby tuż pod ręką goniąc chimery. Teodor Bujnicki był zakochany w W. Księstwie Litewskim, dużo o jego dziejach wiedział, studiował na uniwersytecie historię, i gdyby skoczył dwiema nogami w tę tematykę, zostawiłby po sobie coś więcej niż parę tomów dość słabych wierszy. Ale pomiędzy terażniejszością i przeszłością brakło mu pomostu, od oficjalnego, sprowadzającego się do trawozernych regionalizmów, uprawianych przez starsze panie, odwracał się. Jeżeli całe polskie zawężlenie to było w ogóle za dużo i ponad ludzkie siły (vide St. Ign. Witkiewicz), w Wilnie jeszcze dołączały się nieszczęsne kwestie litewska i białoruska, pisało się w języku Mickiewicza ale nikt już nie mógłby utrzymywać, że inne języki to „mowa gminu”. Także polityczna bzdura Bujnickiego, propagandowe wiersze drukowane w sowieckich pismach w 1940/1941 r., nie jest dla mnie *tylko* objawem tchórzostwa i oportunistu ale też wynikiem przyjaźni z młodymi komunistami i próbą rozwiązania zastarzałego własnego konfliktu w sposób zły, według wzorów dostarczonych przez tych, którzy z polskiego bałaganu uciekali niegdyś w idee uniwersalne rosyjskiej inteligencji. Być może Jerzy Zagórski i ja i dwudziestoletni autor poematu „Tropiciel”, Aleksander Rymkiewicz, byliśmy bardziej przebiegli i umieliśmy więcej z krajobrazu, z dotykanych dziejów zaszyfrować, stąd nasza egzotyka na tle maszynistycznej (wśród kur, kaczek i bosych pięt) awangardy, ale był to raczej instynkt, poza tym niektórzy z nas, zasmakowawszy dziejowości, wpadali potem w pułapkę narodowego rozrzewnienia, co wskazuje, jak trudno jest utrzymać balans.

Co do Henryka Dembińskiego, polityka, spasał on całym bezsensownie. Jakkolwiek tam było z jego rozstrzelaniem przez Niemców, już nagła decyzja wywożenia archiwów uniwersytetu na sowiecką Białoruś była samobójcza. Zapewne niezrozumiała dla kogoś, kto nie wie, że dzieciństwo Dembińskiego upłynęło wśród oleodruków przedstawiających świętych, w uniesieniach religijnych i że ten błyszczący student, mówca, publicysta, doktor praw, zaczynał działać w organizacji endeckiej, a później, coraz dalej, poprzez katolickie „Odrodzenie”, pchał go sprzeciw wobec samego siebie, wobec monopolizowanej przez prawicę a jednak i w nim zagnieżdżonej polskości, tak że zamiast borykać się z własnym programem działania zaczął „stawiać na”, w danym wypadku na Rosję.

Po Dembińskim zostało mi wiele wspomnień, przeważnie romantycznej górności porywów, tak że kasztelanice sprzed r. 1848

mają dla mnie jego twarz, i wielka szkoda, że nikt w Polsce nie mógł napisać, z powodów cenzuralnych, monografii o tym człowieku, bo wprowadzałaby ona w sam gąszcz nieznanego dwudziestolecia. Zostało mi też wyrażenie, którego używał często: *anima naturaliter endeciana*. Odczytajmy właściwie to wyrażenie, bardzo pesymistyczne: jak *anima naturaliter christiana* miała oznaczać poganina (platonika np.) o skłonnościach w istocie chrześcijańskich, tak ironiczna przeróbka stwierdzała, że ktoś może nie być wcale endekiem posiadając wszystkie jego odruchy. I taka była ogromna większość Polaków, jak tego dowodziły wybory. Prezydent Narutowicz został wybrany przede wszystkim głosami mniejszości narodowych — Żydów, Ukraińców, Białorusinów — i za to też został zamordowany. Bardzo postępowe ustawodawstwo społeczne, które tamtej Polsce przynosi zaszczyt, też, jak domyślam się, bo tego nie badałem, przeszło dzięki głosom mniejszości, choć możliwe, że sprzyjał mu poza tym ogólnoeuropejski prąd nadziei, zanikający około r. 1930.

Konflikt nielicznych z masą nie jest czymś właściwym tylko jednemu krajowi a zabójstwo Johna F. Kennedy wskazuje na to, co się może stać kiedy ktoś się zbyt „wychyli”. Ale zapewne kraje ekonomicznie zacofane dostarczyłyby lepszych analogii, przede wszystkim kraje Afryki, z ich izolowanymi a zarazem czynnymi intelektualistami, którzy muszą łączyć obowiązki poetów i polityków. W tym świetle słowiańska specyfika — więź pomiędzy literaturą i polityką — ukazuje jakąś nie tylko słowiańską prawidłowość i tłumaczy się małą liczbą powołanych czy uważających się za powołanych. Choć oczywiście istnieje nacisk całej słowiańskiej filozofii ukształtowanej w tych warunkach: zbawić naród *bez* niego albo *wbrew* niemu. W Polsce czyż cała walka Obozu Reform XVIII w. nie sprowadzała się do machinacji kilku jednostek zgrupowanych w malutkiej loży? I czyż późniejszy mit męza opatrnościowego, Napoleona, Konrada, Czterdzieści i Cztery, Króla Ducha nie był wyrazem niewiary w przygotowanie polityczne zbiorowości? W dwudziestym wieku widzimy spadkobierców tej filozofii. Wypiański gardził tymi dla których pracował. Stanisław Brzozowski gardził i *za nich* chciał odwalić całą robotę. Pieśń legionów, (beatników w mundurach) proklamowała: „Nie chcemy już od was uznania”. Najbardziej jednak gardził Piłsudski, który podbudowywał tę pogardę bynajmniej nieurojoną niechęcią „Litwinów” do Polaków z Królestwa.

W Rosji filozofia inteligencji izolowanej i poświęcającej się dla ludu, *wbrew* ludowi, nie wygasła z klęską Dekabrystów i Narodników. Lenin, przebudowując marksizm, zaprawiając go Czerńszewskim, wprowadzał obcą Marksowi ideę przewodnictwa zawodowych rewolucjonistów, co musiało nadać jego partii cha-

rakter totalitarnej piramidy, z ośrodkiem decyzji na szczycie. Polityjne jednak ramie partii, o olbrzymim znaczeniu dla całych dziejów dwudziestego wieku, bo stąd poszła też organizacja Gestapo i niemieckich obozów koncentracyjnych, było tworem zarówno geniuszu rosyjskiego, poprzez dziedzictwo Ochryny, jak polskiego. Feliks Dzierżyński zaczytywał się Słowackim i bez dużej przesady można przypuścić, że wykonując, jak to nazywał, „święte dzieło”, widział siebie w roli Popiela z „Króla Ducha”.

Być może sny biednego suchotnika w Paryżu nie były na miarę polską i dlatego zmieniły się w jawę gdzie indziej. Żadnego Popiela w Polsce nie było, uchroniła od jego eksperymentów wygrana wojna 1920 roku. Niemniej kraj był rządzony, z wyjątkiem krótkiego okresu sejmowego, przez „tych, których naród nie chciał”. W trzy lata po zabójstwie Narutowicza pucz Piłsudskiego zdawał się być rewanżem liberałów i lewicy, tak był pojmowany nawet przez część komunistów. A przeciw następstwa puczu można określić przysłowiem, które powinno być w Polsce pierwszym przysłowiem narodowym, tak często znajduje zastosowanie: „Mysz się zrodziła choć stękały góry”. Pasywność samego Piłsudskiego dotychczas jest niewyjaśnioną zagadką, choć być może jedyna wtedy forma akcji w Europie możliwa i zaraźliwa była faszystowska, a tego nie chciał i dopóki żył, hamował. Ale pod czapą Sanacji krzepła *anima naturaliter endeciana* i rządząca klika całkiem, z ich punktu widzenia, logicznie (bo reprezentowała czysty instrumentalizm tj. nie miała celu poza władzą) wyrzekła się wkrótce sojuszków z myślącą mniejszością, schlebając emocjonalnej większości, co, jeśli nie zaprowadziło daleko, to tylko dlatego, że wybuchła wojna. Schemat ten, grupy wyobcowanej, ale wystawiającej inteligencję postępową do wiatru i szukającej oparcia w odruchach nacjonalistycznych, miał się z odwrotnej strony powtarzać w dwudziestoleciu 1944-1964, kiedy to najtłustszym robakiem na wędce stało się ucieleśnione marzenie O.N.R'u, tj. Ziemi Zachodnie.

Te skrótły mają niedużą wartość jako analiza polityczna, nie o nią jednak mi chodzi. Wyczuwam tunele prowadzące od zewnętrznych przypadków do mojej i nie tylko mojej postawy wobec Zachodniej Europy czy nawet świata. Złe stosunki ze wspólnotą, tak że jest ona zaprzeczona i wydrwiona, dają napęd reformatorski i dyktatorski o niezwykłej sile, bo masa ludzka przedstawia się wtedy jako magma, do ukształtowania — albo odkupienia. Są przy tym dwa bieguny: ucieczki i prometejskiego porywu, ale z ciągłym napięciem pomiędzy nimi, ze skokami od jednego do drugiego. Skoki te łatwo byłoby zilustrować na przykładzie Młodej Polski czy wydarzeń literackich 1956-1958 czy twórczości Gombrowicza. A Tadeusz Różewicz, kiedy znęca się w swoich

wierszach i prozie nad zachodnimi Europejczykami za ich świństwo (bo chodzą, jedzą, fornikują, śpią, zaopatrują się w ubrania i samochody, co jest absolutnie niedopuszczalne) jest we władzy znacznie starszego niż jego czasy układu. Romantyczne przeciwstawienie „czujących” i „świadomych” — „świniom” nie znikło w Polsce bo zniknąć nie mogło, skoro odpowiedzialność nigdy nie została przesunięta na ogół, a przeciwnie, była odczuwana jako ich tylko ciężar przez nielicznych odtrąconych. Energia krytyki tego co poza Polską jest więc zapewne psychologicznym przrzutem, bo złożoność tkanki społecznej i wielość działających mechanizmów jest dla każdego Polską-naznaczonego w XX wieku równie słabo dostrzegalna jak była dla Mickiewicza, stąd łatwość sądów, a nieraz, poprzez uproszczenia, i celność jaką mogą mieć tylko ludzie spoza danego organizmu.

Ależ ten konflikt, to wyłączenie, jest stałą cechą cywilizacji europejskiej przynajmniej od XVIII wieku! Czymże innym jest cała europejska literatura i sztuka ostatnich lat dwustu, jeżeli nie poszukiwaniem wartości autentycznych, zdegradowanych przez istniejące struktury? Po cóż więc rozwodzić się nad wyjątkowością polską czy słowiańską i przesłaniać w ten sposób dane własnego losu, losu pogardzanego „jajogłowca” czy poety, a więc z założenia obrazurcy?

Zgoda. Tylko że z ujęć zbyt szerokich, wrzucających do jednego worka zjawiska może równorzędne ale odrębne, jest mało pożytku. Wskutek innego rytmu historycznego pewne rodzaje konfliktów — np. Goethego w „Wilhelmie Meistrze”, Baudelaire’a, Flauberta, były w Polsce nieobecne. Natomiast sprzężenie literatury i polityki, poprzez przymusowo polityczny odzew na słowo, nie występowało w tym stopniu na Zachodzie i nic bardziej pouczającego niż funkcja poezji Byrona na słowiańszczyźnie, bez porównania bardziej bojowa niż w zachodniej części kontynentu, nie mówiąc o jego rodzinnej wyspie. A jeżeli Byron to zbyt dawne przypadki, czy trudno powołać się na nowsze? Tak więc myśl albo uaktywnia się, granicząc z czynem, albo marnieje, pożerając własny ogon.

Ołtarze

Najważniejszą bodaj kampanią literacką, a jak każe niezłomny obyczaj, także jak najbardziej polityczną, tamtego dwudziestolecia była kampania Boya-Żeleńskiego przeciw „bronzownikom”. Mniejszej miary niż kampanie Brzozowskiego, a tym samym świadcząca o niebezpiecznej regresji, była jednak pomimo swojej felietonowości ważna, z powodów które być może łatwiej jest do-

strzec dzisiaj. Gdyż stanowiła jakby początek, w nowym państwie, bilansu strat poniesionych wskutek zniknięcia dawnej Rzeczypospolitej z mapy Europy. Straty te równały się, w ich skutku, wyłonieniu się szczególnej ideologii albo raczej religijno-narodowego zlepkę odruchów i obrzędów. Bilans ten, zacząty, nigdy nie został uporządkowany, bo im bliżej 1939 r. tym bardziej nasilało się polowanie na podejrzane o demokratyczną herezję czarownice. Następnie nowa martyrologia i taktyka rządzących dbałych o dostarczenie podopiecznym przyzwoitej porcji kultu mało temu sprzyjały. Tym niemniej, od kampanii Boya po antypatos dzisiejszego młodego pokolenia w Polsce przebiega linia ciągła, przy czym oczywiście runięcie przedwojennych struktur umożliwiło wiele przemian w świadomości odbywających się przeważnie „na dziko”.

Wydrażanie natury człowieka przez twory jego umysłu i ręki, które nad nim zaczynają panować i zagarniają coraz więcej z jego człowieczeństwa, jest podstawowym zagadnieniem dzisiaj i tutaj wkład marksistów nieortodoksyjnych nawiązujących do młodego Marksa jest poważny. Jednakże rwanie się związków człowieka z jego naturą wskutek władztwa nad nim rzeczy zyskujących własną wolę i energię, w miarę jak on je traci, czyli, używając żargonu zawodowców, alienacja przez reifikację, nie ogranicza się do triumfu przedmiotów materialnych. Przedmioty istniejące w umyśle (mój Bóg, moja partia, mój kościół etc.) mogą człowieka równie dobrze wydrażać, tak że im bogaciej są przez niego wyposażane, tym on sam jest uboższy. Zachodzi wtedy wypadek bałwochwalstwa tj. hołdów składanych bóstwu które ulepiło się samemu. Takie bóstwo pracowicie zaczęto lepić zaraz po r. 1795 choć wymiary jego były skromne mniej więcej do r. 1830. Nazwano je: Polska. Wkrótce pośrednicy pomiędzy bóstwem i ludźmi zostali z kolei pasowani na bogów mniejszych. Mickiewicz buntował się przeciwko „książkom zbójceckim”, które były przyczyną miłosnych nieszczęść Gustawa, ale jego książki miały spełniać tę samą rolę co romanse rycerskie w życiu Don Kichota, co powieści romantyczne w życiu Madame Bovary, co średniowieczny romans o Lancelocie i Guenièvre w życiu Paola i Franceski spotkanych przez Dantego w piekle tj. miały wytwarzać nieautentyczność, fetyszym. Co mówię nie jest niczym nowym, zauważono to dawno i starano się niekiedy przebić przez zakazy narodowej cenzury. Być może czuli to wzgardzeni racjoniści w rodzaju Sniadeckiego, jak też niektórzy pozytywiści, czuł Norwid kiedy pisał, że w Polaku Polak jest olbrzymem a człowiek karłem, nie co innego kryje się też pod okrzykiem Wypiańskiego: „poezjo precz, jesteś tyranem!”. Brzozowski otwarcie sztydził z „polskiego Oberamergau”. Zasluga Boya-Żeleńskiego była próba przywró-

cenia bogów mniejszych ich ludzkości, zdarcia ich złożonych masek, ale godził też, pośrednio, w same niszczące rządy większego bóstwa, co odgadywali jego przeciwnicy. Niemniej aparat badawczy jakim rozporządzał był skromny, na modłę bardziej nowoczesną nie przeprowadzono, jak dotychczas, badań nad całym tym splotem, łącznie z jego konsekwencjami w dwudziestolecie 1918-1939.

Takie badania ujawniłyby zapewne kobiecość bóstwa, narzuconą przez samą żeńskość gramatyczną oraz jego rodowód sięgający Kontrreformacji tj. zależność od kultu maryjnego. Jak Matka Boska przestała być dla jej polskich wyznawców Żydówką z Palestyny, zmieniając się w posiadany na własność idol, w opiekunczą Izys, tak druga bogini odrywała się stopniowo od ziemi, wzbijała się w niebo pełne lnianowłosych i niebieskookich pacholąt, po czym obie boginie zlewały się w świetlistości i eteryczności. Seksualne ideały takich pisarzy jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński rzutowane na tę postać, a także dane nie do pogardzenia dla socjologa jak np. rysunki aniołów w gościnie u bardzo prasłowiańskich Piasta i Rzepichy mogłyby zapewne wyjaśnić niejedną rys mitu niepokojąco rasistowski.

Przez wydrążanie natury ludzkiej rozumie co następuje. Narodziny bogini przypadły na czas wyjątkowo dużych zaburzeń w cywilizacji europejskiej, kiedy rozpadał się ład hierarchiczny i arystokratyczny (broniony jeszcze przez tak przenikliwych ludzi jak Metternich), a emancypująca się jednostka, tracąc pewniki dziedzicznych wierzeń i przyzwyczajęń, musiała niejako siebie postuluować, wynajdować swój własny fundament, wkrótce zresztą borykając się z nowym rodzajem zamrożenia przez burżuazyjny „establishment”. Tym nadludzkim nieraz wysiłkom jednostki wszystko zawdzięcza myśl europejska ostatnich bezmała dwóch stuleci. Natomiast Polska-bogini uwalniała swoich wyznawców od samotności wobec istnienia, okrywała ich swoim płaszczem i w niej rozwiązywała się każda sprzeczność. Polacy, tępieni i prześladowani, żyli jednak w niebywałym luksusie psychicznym jeżeli się ich porówna z innymi Europejczykami. Karą za ten luksus był brak rozmyślań nad kondycją ludzką, która została wchłonięta przez kondycję polską i, jako jeden ze skutków, partykularyzm polskiej literatury, nie całkowity zresztą, jak błędnie się twierdzi, ale wymagający żmudnej interpretacji żeby wyłuskać z niego ziarno uniwersalne.

Niczego podobnego nie obserwujemy w sąsiednich dużych zespołach kulturalnych. „Deutschland” nie miała władzy nad umysłami pierwszorzędnymi, nad Goethem, Marksem, Nietzschem. A choć w Rosji „Swiataja Ruś” uwodziła wielu, widocznie kształty jej nie nabrały dostatecznej hieratyczności, skoro nawet groźny

imperialista w swojej publicystyce, Dostojewski, zdejmował strój kapłana zasiadając do swoich powieści i tylko od czasu do czasu w nich sobie popuszczał. Inteligencja rosyjska budowała sobie, poczynając od Bielińskiego, całkiem inną władczynię, która miała okazać niszczącą siłę nie zaraz. („Pogwałcenie praworządności, wykorzenienie, jeżeli nie jest wynikiem podboju, jeżeli zdarza się w kraju wskutek nadużycia praworządnej władzy, musi rodzić obsesję postępu, bo dążenie do celu kieruje się wtedy w przyszłość” — powiada Simone Weil).

Tamto polskie dwudziestolecie nie było wcale nagłym odejściem od narodowego obrządku. Ekskluzywność w dopuszczaniu do niego tylko osobników odpowiadających pewnym kryteriom prowadziła do podziału mieszkańców kraju na obywateli pierwszej kategorii i drugiej kategorii, do takich objawów jak np. brak ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie i później do małej odporności na pomysły importowane z Niemiec, dokąd co niektórzy wodzowie „młodych” jeździli na przeszkolenie. Toteż niechęć większości polskich Żydów do Polski (z czym zawsze kontrastowało całkiem irracjonalne przywiązanie niemieckich Żydów do Niemiec i rosyjskich do Rosji) znacznie się w dwudziestolecie wzmocniła.

Ale sprzeciw wobec urzeczenia pięknem bogini, całkiem, zdawałoby się, u niektórych radykalny, nie usuwał jej ze świadomości, jej obraz trwał ambiwalentnie, to przyciągając to odpychając, albo przyciągając i odpychając równocześnie. I kiedy wiele było w sferze myśli do zrobienia, zużywano energię na szamotanie się z tym obrazem, czego kampania Boya przeciwko „bronzownikom” była przykładem, nie jedynym. Nie wydaje się, żeby można było sprzeciw i uległość wyraźnie rozgraniczyć, bo obsesyjna obecność czegoś, czy zaopatrzone znakiem plus czy minus, pozostaje obecnością.

Spróbujmy możliwie trzeźwo ocenić następstwa tego splendoru jakim otoczona była eteryczna a wyższa istota. W latach bezpośrednio poprzedzających wojnę niepostrzeżenie pograżano się w łajdactwo albo stawano na pograniczu łajdactwa, przy czym i ci co dzisiaj uchodzą za paragon cnoty, z rzadkimi wyjątkami, znieczulali się stopniowo i, ulegając złudzeniu, że drwina dostatecznie chroni ich czystość, przechodzili stopniowo do cichej zgody na czyny brzydkie, byle wykonywane przez innych. Stosunki towarzyskie i ogólny paraliż wynikający ze strachu przed opinią nakłaniały do przemilczeń (legalizowania antysemityzmu, niszczenia prawosławnych cerkwi etc.) albo nawet do bakań, że „ostatecznie...”. Ówczesną mętność i towarzyskie powiązania niech zilustruje przykład. Jeden z moich kolegów, wówczas redaktor kolumny literackiej w pewnym warszawskim dzienniku, po otrzy-

manii przez Polskę podarunku od Hitlera w postaci Zaolzia, dał całą stronę wierszy mających świadczyć, że poeci radośnie „powróć ziem do macierzy” aprobują (już to w Europie wschodniej nic nie obędzie się bez aprobaty poetów). Znalazłem też tam swój wiersz, na całkiem inny temat, który ów kolega w jakiejś starszej publikacji wyszperał i przedrukował. Oczywiście nie było mowy żeby dziennik wydrukował moje sprostowanie, bo znaczyłoby to, że ktoś występuje otwarcie przeciwko majestatowi świetlanej. Stosunki moje z tym kolegą ochłodziły się ale nie szukałem okazji do publicznego manifestowania wrogości. I tak, stopniowo, gęstniała ciemność, w której wszystkie koty są szare.

Naturalnie we wszystkich Sarmacjach i Rumuniach ówczesna polityczna koniunktura tak samo wykorzystywała lokalne mity i warto raczej zastanowić się nad inną, trwalszą rolą nadrzędnej istoty, co łatwiej przyjdzie, jeżeli nazwiemy ją np. Burmą czy Indonezją. „Pracować dla Burmy”, „działać w imię Burmy”, niedużo to jako filozofia i żadne z wybitniejszych, znanych nam, dzieł myśli z takiego napędu się nie poczęły. Przestrzeń zajmowana w świadomości zbiorowej przez idol, mniejsza z tym czy wielbiony czy negowany, może jednak być tak duża, że, zwłaszcza jeżeli utrwała się od pokoleń, powoduje niedołęstwo w rozpatrywaniu jakichkolwiek problemów ogólnoludzkich, jeżeli nie są one do tego obszaru przynajmniej, odniesione. Zjawisko to wykpiono dostatecznie jako anegdotyczne „słoń a sprawa polska”, ale jego wewnętrznemu mechanizmowi dopiero przyszłość, myślę, udzieli uwagi.

Szkodliwość idolatrii jest jasna, natomiast trudniej jest uchwycić niektóre korzyści, płynące stąd, że obszar w świadomości pozostaje nawet kiedy wyparowuje z niego zamieszkująca go dotychczas istota, i że ten obszar dostarcza systemu odniesienia. W sytuacji w jakiej znalazła się zaawansowana technicznie część ludzkości nie ma być może innego lekarstwa niż wybijanie klina klinem tzn. uległość wobec rzeczy, które zjadają człowieka jak myszy, po kawałeczku, jeżeli znajduje jakąś przeciwwagę, to tylko w przywiązaniach do sfery uznanej za sakralną. Otóż kult bogini powodował żarliwe zajęcie się ruchem Historii, ten ruch, przez to, że od niego zależało obleczenie się bogini w ciało, ulegał z kolei sakralizacji, co w Europie przed 1848 r. nie należało do wyjątków, ale później nigdzie bodaj nie przetrwało tak silnie, toteż można zaryzykować tezę, że i z tego powodu każdy Polak naznaczony jest do dziś romantyzmem sprzed 1848 roku, duchowym potomkiem Rzeckiego z „Lalki”. (Nie będę zapuszczać się w kuszący problem powinowactw czy antypowinowactw pomiędzy „mentalnością polską” i „mentalnością marksistowską”, która też Historię sakralizuje). Cały opór wobec „normalnej” Europy pie-

niądza i handlowo-przemysłowej ekspansji przybrać więc miał postać wyposażania czasu historycznego w walory potencjalnie ten ład rozsadzające i niszczące, przy czym myśl dostatecznie napięta, jak Norwida, Brzozowskiego, dążyła do wypełnienia miejsca, z którego — dla nich — ulatniała się już bogini, nową treścią. Stąd ironia, zwracająca się podwójnie, przeciw polskiemu wyznawcom i przeciw a-historycznej stabilizacji w mieszczańskim postępie. Wygląda na to, że właśnie nałóg sakralności, jeżeli wolno tak się wyrazić, i pustka jaka powstaje kiedy nie ma on już obiektu, może być potężnym bodźcem do zabiegów całkowitych doświadczenie, o wiele trudniejszych dla tradycji czysto indywidualistycznej. Zestawiając Norwida, który umieścił w centrum swoich rozmyślań ludzkość w ruchu, w pochodzie chrystologicznym, pojętą jako ciało mistyczne, ze Stefanem Mallarmé, poetą skrajnego wyłączenia, udostojnionego przez demiurgiczny akt artysty, doszłoby się może do ciekawych wniosków. Ale i Joseph Conrad, negując podwójnie: narodowy idol przez ucieczkę z Polski i Europę wiktoriańską przez ucieczkę z niej na romantyczne morza, szukał w micie cywilizacyjnym Albionu obrazu zastępczego. A nawet urzekały go niekiedy różne dynamity podkładane pod europejską stabilizację. Sceptycyzm z jakim je traktował był tragiczny, skoro Londyn w „Tajnym Agencie” i Genewa w „W oczach Zachodu” są pokazane nieprzyjaźnie, wzgardliwie.

Dwudziestolecie było regresem i tylko w początkach niepodległości pisał Lechoń: „A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobacze”. Łatwo jest wyliczyć mnóstwo okoliczności, które unieвозмоżliwiły przekształcenie się kraju w zwyczajne państwo. Obrządek powrócił wkrótce w znacznie gorszym niż romantyczne wydaniu, komediowym, gdyby nie było zbyt żałosne. Tym, którzy wtedy dorastali została więc narzucona raz jeszcze walka Jakuba z aniołem, łącznie z jej wadami i zaletami.

Don Kichot

Udzieliłem sobie już dwóch wyjaśnień dotyczących mojego nieprzystosowania do łąk europejskich. Czy coś warte są te wyjaśnienia czy nie, podaję je jak są. Prawdopodobnie te same, niezależne od świadomych zamiarów, impulsy (zjadaczy chleba przemienić w aniołów; czas historyczny zabarwić wartościami) przesądzają o mojej odrzynie do *La Belle Epoque* w sensie dosłownym, tej sprzed 1914 roku, co zresztą łatwiej jest uzasadnić, bo znamy jej następstwa. Czy chcę więc czy nie chcę, wzrok mój kieruje się ku niebu Ideału. O donkiszoterii, jako rysie zasadniczym polskiej mentalności, często się wspomina, dziwne tylko, że nikt bo-

daj w niej szperać, szukać jej licznych odmian i przebrań nie próbował. Rycerz smętnego oblicza naczytał się, jak wiadomo, romansów i pod ich wpływem rzeczywistość obojętna, niewzruszona, po prostu istniejąca, poza dobrem i złem (barany, wiatraki czy też roślinno-zwierzęca Dulcynea z Toboso) przekształciła mu się w scenę walki pomiędzy siłami jasnymi i ciemnymi. Otóż zastanawiając się nad literaturą polską jako nad wyrazem zbiorowego ethos, musi się dojść do wniosku, że właściwy jest jej brak zainteresowania rzeczywistością nie-zwaloryzowaną, a nawet odmowa jej przyjęcia, że jest to literatura anty-realistyczna. Tak np. uroczy realizm szczegółu w „Panu Tadeuszu” zostaje podporządkowany idei sielskości, upocziwienia, a bitwa w Soplicowie choć padają tam trupy zmienia się w heroikomiczny pastisz „Iliady”, krew jest tylko czerwoną farbą, jak później w „Trylogii”. W tym roku nb. upływa 250-lecie urodzin litewskiego poety Christiana Donajłajta warto więc wspomnieć, że brutalność opisów wsi w jego „Porach roku” (które Mickiewicz znał, w niemieckim przekładzie) kontrastuje z łagodnością „Pana Tadeusza”, choć wieś opisywana przez obu poetów jest bliska i miejscem i czasem.

Być może śledząc sprzeciw wobec rzeczywistości nagiej trzeba byłoby cofnąć się w stulecia szlacheckiego bytowania względnie wolnego od trosk, kiedy to cała ciemna strona egzystencji ludzkiej zostawiona chłopom ulegała (także wskutek towarzyskości) przesłonięciu. Przyjmowano założenie, że kondycja ludzka jest zasadniczo dobra i że tej dobroci zagrażają niebezpieczeństwa z zewnątrz, a nie tkwiące w niej samej. Sielankowość, idylliczność nie oznaczają przecie nic innego jak postawienie znaku plus przy pojęciu życia. Tak przygotowywał się nienajlepszy grunt do konfrontacji z Rosją, co chyba rzecz ostatecznie przesądziło. Odbyła się wtedy gwałtowna polaryzacja i rzeczywistość, ta samowystarczalna, sobie — tylko — odpowiadająca, została przyciągnięta przez jeden albo drugi biegun: dobra (rodzimego) i zła (rosyjskiego). Wstrząs doznany przy zetknięciu z Rosją był zrozumiały, w grozie i moralnym oburzeniu cudzoziemców, zmuszonych z nią się zapoznać, nigdy nie było przesady i dlatego np. opisowy poemat podróżnika po niej, Mickiewicza, jest mocny. Niemniej fenomen samodzierżawia traci tam do pewnego stopnia swój niejako ogólnoludzki ciężar przez to, że poemat jest kroniką wypraw w krainy barbarzyńców, przy stałym podkreślaniu kontrastu z cywilizacją europejską, która dla uwypuklenia kontrastu jest idealizowana: organiczność wzrostu miast, greckich, rzymskich, średniowiecznych, przeciwstawiona nagłemu wydzwignięciu Petersburga wołą Piotra Wielkiego, nastęrczałaby pewne obiekcje co do jej rzekomej idylliczności, a cesarz rzymski, nawet

gdy to był Marek Aureliusz, nie mógł być postacią aż tak świetlaną jak chce autor, kiedy godzi w despotyzm Piotra. Nie znaczy to, że należy kwestionować dokładność Mickiewicza-reportera, ważne jest co innego — obraz dobrej w zasadzie egzystencji obecny w jego umyśle i wywodzący się z Rzeczypospolitej szlacheckiej, która czytając Cyncerona i Senekę widziała siebie jako rodzaj upiększonego Rzymu. Tak samo nie ma powodu zarzucać niedokładności pamfletowemu dziełu markiza de Custine, który wskutek przyjaźni z Polakami i z pro-polsko, pro-zachodnio nastawionymi Rosjanami (Kozłowski?) przejął polską odrazę do demonizmu. Demonizmu wyłączono z egzystencji ludzkiej jako takiej i umieszczonego geograficznie w Rosji.

Przyzwyczajenia kształtowały się przez parę pokoleń i można je śledzić na przykłady stosunku Polaków do literatury rosyjskiej po 1863 r. Była ona odrzucana nie tylko jako nabytek wroga, służący do rusyfikacji. W mnóstwie wypowiedzi powtarzają się: „mrok”, „ciemność”, „beznadziejność”, „fatalizm”, „chorobliwość”, „szpetota”. Ale tym razem oskarżenia nie kierowały się już przeciwko rosyjskiej rzeczywistości tylko przeciwko jej *opisowi* w dziełach Gonczarowa, Turgieniewa, Dostojewskiego, Tołstoja. Czyli gwałtownie broniono się przed uznaniem, że ci pisarze mogli przekazywać prawdę o człowieku: nie, prawda o człowieku nie powinna była być aż tak ponura, jeżeli miała być prawdą to jedynie w zastosowaniu do Rosjan. Dążność do uchwycenia bezwładu i oporu jako cech świata, w którym porusza się człowiek, a także bezwładu i oporu w nim samym tj. skłonność realistyczna rosyjskich pisarzy odpychała i raziła Polaków. Żeby uniknąć nieporozumień wtrąca tutaj, że zdają sobie sprawę z zagadek, jakie kryją się w pojęciu „realizmu” choćby dlatego, że jakiegokolwiek fotograficzne odtwarzanie w dziele literackim jest niemożliwością tj. akt wyboru, akt etyczny sam sobie ukazujący się jako akt estetyczny, leży u jego podstawy. Jednak dążność do możliwie ścisłego rozróżnienia pomiędzy wojskiem i baranami daje inne wyniki niż pochopność Don Kichota, który nie dopuszczał myśli, że masa jaka zagroziła mu drogę mogła być czymś bez-zamiarowym, bez-świadomym, bryłą poruszającą się według swoich tylko praw. Wiele razy zastanawiano się nad słabością powieści w polskiej literaturze. Otóż zabieg samego Cervantesa, który nad swoim bohaterem góruje i ma do niego serdeczno-ironiczny dystans, jest zabiegiem typowo powieściowym, natomiast jeżeli literat sam, cały, zamknięty jest w Don Kichocie, pozostaje tylko bohaterem romantycznym i powieści nie napisze.

Jak słusznie twierdzą badacze literatury, powieść w jej objawach klasycznych opowiada przygody „bohatera problematycznego”, który oddaje się „demonicznemu poszukiwaniu” tj. przebija

się przez haszcze i bagna rzeczywistości w nadziei wyjścia na równą drogę, po to tylko żeby stopniowo odkrywać jak wielka jest siła oplątująca go i ciągnąca w dół. Definicji tej odpowiadają całkowicie jedyne dwie polskie powieści dużej klasy, „Lalka” i „Faraon” — dwie na cały wiek XIX to niedużo. Natomiast proza dydaktyczno-panegiryczna, poza tym w polskiej literaturze dominująca, jest oparta na skrzyętym wyłączeniu poza nawias „mroku” (dlatego w „Trylogii” śmierć nie jest śmiercią ani krew krwią) i natykając się na dramat istnienia stara się go przebudować na melodramat, rozrzewniający a więc akceptowany towarzysko. Podejrzewam, że zamiłowanie tej prozy do pastiszu (pisanie pod język gadułów XVII czy XVIII wieku) też tłumaczy się chęcią zatarcia zbyt ostrych kantów, teatralizacji, tak żeby element baśniowy, „na niby”, był stale na pierwszym planie.

Nic bardziej charakterystycznego dla wrażliwości polskiej niż „Latarnik” Sienkiewicza. Autor nic tu nie wymyślił, historia była zupełnie prawdziwa, wysoce tylko ciekawe jak materiał wykorzystał. Polak-latarnik w Aspinwall miał przeszłość malowniczą, ale tłuł się był po Australiach i Amerykach nie mogąc nigdzie zagrać miejsca nie dlatego, że zły los ścigał wszędzie tułacza, pielgrzyma, jak to podaje Sienkiewicz. Było inaczej: człowiek ten cierpiał na manię prześladowczą i gdziekolwiek się osiedlił, spostrzegał po pewnym czasie tropiących go agentów carskiej policji. Latarnia morska nie oznaczała dla niego schronienia po „burzach życia”, ale jedyne miejsce bezpieczne i wolno przypuścić, że w samotności nie gustował, z chwilą jednak kiedy cały świat był terenem działalności carskich agentów, nie pozostawało innego wyjścia jak ucieczka w samotność na wyspie. Owego pamiętnego wieczoru, kiedy to zapomniał zapalić latarni, nie przeniósł się duszą na ojczyzny łono nad kartami „Pana Tadeusza”. Paczka książek przysłana przez nieznanego ofiarodawcę zawierała powieści Kraszewskiego, pograżył się w lekturze, bo wciągnęła go awanturnicza akcja, czyli traktował książkę jak detektywne romans. A potem, kiedy stracił pracę, był wściekły i przekonany, że agenci znaleźli sposób, żeby go i na bezludnej wyspie osiągnąć, że oni to paczkę przysłali.

Niepolski pisarz oceniłby patos tego prawdziwego materiału i bogactwo gotowych symbolów (świat — bezludna wyspa, zło ludzkiego społeczeństwa zagnieżdżające się w samym bohaterze poprzez jego obłąd, społeczeństwo w nim jako pasja czytelnika detektywnych romansów, uniemożliwiająca mu zostanie na wyspie). Z pewnością iść wiernie za przygodami latarnika Sienkiewicz nie mógł ze względu na cenzurę, gdyby jednak podbił go ludzki dramat, znalazłby wyjście, choćby zmieniając narodowość postaci. Nawiasem, obłąd latarnika był niejako wzmocnionym

dziwactwem Don Kichota, bo przypadki niezamierzone przez nikogo *musiał* przypisywać świadomej woli złowrogich mocy. U Sienkiewicza występował jako szlachetny *vieux Polonais*, bohater budującej powiastki patriotycznej.

Ktoś może uznać taką obróbkę materiału, który sam wpadł w ręce, za coś nie nadającego się do uogólnień, za błąd słabego pisarza. Ale Sienkiewicz w jednym był majstrem: wyczuwał jak pracuje wyobraźnia zbiorowa, też stale dokonująca podobnych opracowań i grał na tym bez pudła.

Jeżeli jednak wyobraźnia zbiorowa umie wyłączać za nawias demoniczny fundament życia, demoniczny w sensie bezwładu, konieczności, następstwa są poważne. Nieraz zapytywałem siebie, jak te polskie pokolenia się urządzały, żeby w swojej projekcji, w utrwalonych pojęciach o sobie, być tylko panami i paniami zawsze *ubranymi*, nie obnażonymi nawet w śmierci. Ale także stosunki siły i wynikające z nich problemy władzy nie mogły być spotkane oko w oko. Kiedy dziewiętnastowieczna Europa, zaprawiona zresztą nieźle przez wieki twardych rządów królewskich i książęcych, godziła się mniej czy bardziej chętnie na nieunikniony brud państwowych interesów, Polacy oddawali się antropomorfizacji tj. państwa przerabiali na istoty obdarzone wrodzoną im dobrocią albo złośliwością. A za każdym razem — aż do połowy naszego stulecia włącznie — kiedy państwa te działały według dających się przewidzieć prawideł, nie tak ostatecznie różnych od tych, na mocy których jabłko zrzucone ze stołu spada na podłogę, wrzaskom i lamentom nie było końca.

W 1927 roku mój krewny, Oskar Miłoz, napisał w Paryżu traktat, w którym nazywał Polskę „państwem mesjanicznym” i udowadniał, że właśnie ta mesjaniczność nie pozwoli jej ułożyć rozsądnie stosunków z sąsiadami a tym samym stać się w Europie środkowo-wschodniej centrum skutecznego oporu przeciwko Niemcom, toteż ogniwem zapalnym następnej wojny będzie prawdopodobnie Gdańsk. Termin „państwo mesjaniczne” zdaje się być o tyle trafny, że przypomina o trwałości pewnych postaw, które nie znikły przecie nagle w 1918 roku. Nie utrzymuje się bezkarne przez czas dłuższy przekonania, że jest się Chrystusem narodów. Stanąwszy wobec przyziemnych, a nieznanych dotychczas obowiązków i odpowiedzialności, wyobraźnia wytrenowana w podziale na jasność i ciemność, czystą ofiarę i nikczemną przemoc, musiała uznać mechanizm państwowy za przedłużone ramię anioła. Co jednak nie jest łatwe, bo politykierzy, poborcy podatków i policjanci rzadko noszą aureolę.

Stąd mnóstwo prób przewyciężenia dostrzeganej sprzeczności, od idealizacji samych siebie za cenę ślepoty, do cynizmu politycznego i makiawelizmu za trzy grosze, cechującego neofitów

racji stanu (podobno żadne hamulce w tej dziedzinie nie powinny przeszkadzać, więc walmy na całego). Zwłaszcza ambiwalencja skrajnej prawicy, z jej pielgrzymkami na Jasną Górę, przywiązaniem do Polski-Absolutu i pałką zalecaną jako środek na pogmatwania życia społecznego, była wyjątkowo dziwaczna i nawet skłania do refleksji o mesjanizmie starszym niż wiek XIX, antyprotestanckim i antytureckim mesjanizmie kontrreformacji.

Ale nie mam zamiaru wytaczać procesu donkiszoterii, a tym samym wykpiwać się kazaniami. Uwagę moją przyciąga trwałe *residuum*, które pozostaje również kiedy całą rzecz przesunie się na wyższy niż oczywiste parodie poziom. Don Kichot jako bohater romantyczny jest figurą wysoce złożoną i faktu, że patron nowoczesnej poezji polskiej, Norwid, identyfikował się z nim („my, kawalery błędne”) nie trzeba pomijać. Otóż zaryzykuję tutaj wniosek paradoksalny, uprzedzając zresztą, że poruszam się na tym mało zbadanym terenie po omacku. Umysł, który nie może przyjąć żadnych elementów z zewnątrz zanim ich nie ułoży wokół osi krystalizacyjnej etyki, geometrycznie — tak w wierszu Norwida o Don Kichocie życie jest wyprawą po prawdę, księżniczkę zakłątą, strzeżoną w wieży przez smoki — zgłasza wobec tego, co po prostu jest, nieufmowane, zastane, chaotyczne, votum nieufności i być może zgłasza votum nieufności wobec pasywnej, wegetatywnej części ludzkiej natury, zawierającej znajomość z chaosem. Taki umysł może wędrować przez wiele doświadczeń, nawet mistycznych ale przyciąga go przede wszystkim *intelektualizm moralitetu*. Na pierwszy rzut oka twierdzenie to wygląda na nonsens, bo przecie uczucie, irracjonalność, barokowość etc. Założmy jednak, że Mickiewicz jest jakoś dla tej odmiany umysłu znamienity i porównajmy jego wybuchowe, uczuciowe dzieło z o wiele bardziej klasycznym, bardziej osiemnastowiecznym dziełem Puszkina. Nie tylko w „Dziadach” akcja rozgrywa się przy uczestnictwie duchów z prawej i duchów z lewej strony. Żarliwe i gwałtowne wartościowanie powtarza się we wszystkich prawie utworach Mickiewicza, nawet w wierszach religijnych (dychotomia rozumu i wiary) i jest jedną z przyczyn jego zamilknięcia. Natomiast pod chłodną formą Puszkina czai się materia wieloznaczna i wyszłizgująca się moralnemu osądowi. W „Jeźdźcu Miedzianym” Puszkina jest i wielbicielem potęgi imperium, usymbolizowanej w potędze Piotra Wielkiego, i przyjacielem małego człowieka, Eugeniusza, którego niszczy symbolicznie państwo. A inny Eugeniusz, Oniegin, jest „problematycznym bohaterem”. Toteż Puszkina mógł przejść do prozy, otwierając rozdział powieści rosyjskiej, podczas kiedy Mickiewicza sama enigmatyczność stosunków między ludźmi nie interesowała.

Są dwa znakomite komentarze do polskiej specjalności mora-

listycznej. Pawła Hostowca „Polacy w powieściach Dostojewskiego” (w tomie „Eseje dla Kassandry”) i Wacława Lednickiego „Dostojewski and the Poles in Siberia” (w książce „Russia, Poland and the West”). Z obu tych prac wynika, że nienawiść Dostojewskiego do Polaków (pomijając możliwe wewnętrzne kłopoty z polskim pochodzeniem jego rodziny) zwracała się przeciwko ich opancerzeniu: bij takiego ile chcesz, a on, będąc na samym dole, żaloszny, śmieszny, będzie się czuł wyższy i od tych co go biją i od podobnie jak on bitych Rosjan, bo on *wie* gdzie przebiega granica między dobrem i złem, a oni nie wiedzą: „Gordyj Paljak”. Lednicki zestawia wypowiedzi Dostojewskiego o jego polskich współwięźniach w „Domu Umarłych” ze świadectwem jednego z tychże współwięźniów, Tokarzewskiego, zawartym w jego pamiętnikach. Nie trzeba być Polakiem żeby przyznać, że Tokarzewski, zaiste rycerz bez skazy, światły demokrat, uczestnik spisku ks. Ściegiennego, reprezentował o wiele wyższy typ ludzki niż Dostojewski, który tamże, na katordze, marzył o poszerzeniu granic i potęgi rosyjskiego imperium, uważał Polskę, Litwę i Ukrainę za własność rosyjską z bożego nadania, bo kraje te, gdyby nie car, byłyby pogrążone w nędzy i barbarzyństwie, szczylił się bez ustanku swoim szlacheckim pochodzeniem, a zarazem zarzucał Polakom-demokratom ich arystokratyczną wyniosłość. Trzeba jednak zrozumieć, że chodziło tu o konflikt bardzo głęboki. Katorżnikami i kryminalistami na katordze Polacy gardzili i odgradzali się od nich swoją dumą więźniów politycznych, którzy *wiedzą w imię czego cierpią*, są ofiarami despotycznej władzy przez nich nieuznawanej. Kryminaliści natomiast uważali swoją winę za część samej esencji życia, wyobrażali więc dla Dostojewskiego chrześcijańską pokorę ludu rosyjskiego i jego osobistym problemem było jak przewyciężyć własny wstręt do tych bandytów. Oddaje głos Hostowcowi:

„W oczach Dostojewskiego Polacy jak gdyby uchylają się od istotnego męczeństwa i dlatego właśnie, wbrew pozorom, nie tylko nie zasługują na litość, ale przeciwnie powinni być zdemaskowani. Polacy reprezentują dla niego najbardziej niebezpieczną, bo schodzącą na samo dno kategorii, próbę racjonalnego czy mistycznego wytłumaczenia męki potępionych, która w całej twórczości Dostojewskiego ma nosić zasadniczo charakter *nieczym niewytłumaczony*, apelujący do nas swym wiekuiwym, niemożliwym do tłumaczenia protestem”.

Jeżeli intelektualizm moralitetu słabo nadaje się do wyrażenia go w powieści, znakomicie, myślę, godzi się z poezją, zwłaszcza jeżeli wkracza na piętro humoru, satyry albo auto-satyry. W poezji zaprawionej humorem (np. „Pan Tadeusz”) dobrotliwa istota bytu nie jest podawana w wątpliwość. Kiedy śmiech czy

uśmiech stają się zjadliwe, zakłada się z góry miarę wartości tzn. nieobecność wartości w opisywanym świecie nie ukazuje się jak w powieści dopiero przy końcu „poszukiwania demonicznego”. (Gogol byłby w moim rozumowaniu raczej poetą i tu jego ukraińska formacja chyba nie bez kozery). Toteż literaturę polską odczuwam jako poetycko-eseistyczną, przy czym w jej najwyższych osiągnięciach sceną moralitetu jest historia. Czyż nie stosuje się to też do Norwida, do Wyspiańskiego, do Brzozowskiego?

Ciągle o literaturze, to żenujące. Ale biorę ją jako *pars pro toto*, przypisuję jej znaczenie jako zespołowi znaków, ułatwiających ogarnięcie tej całości kulturalnej, która we mnie przenikała. Nie tylko, a może przeważnie nie przez słowo drukowane. Choć były i książki, także te nowe. Tylko czy „Przedwiośnie” Żeromskiego np. to też nie moralitet głoszący, że Polska szklanych domów („kryształowe pałace” Czernyszewskiego!) gdzieś w przyszłości jest, gdzie, nie wiadomo, choć darmo byłoby jej szukać zarówno w Rosji Sowieckiej jak w Nawłoci? I czy Stanisław Ignacy Witkiewicz, wpływ decydujący, ojciec naszego „katastrofizmu”, nie przywiązywał właściwie mało wagi do miotań się swoich postaci, tych lalek z makabrycznej szopki, z góry przez niego skazanych, bo *faza* historyczna w jakiej działały nie obiecywała żadnego zbawienia?

Gdybym, zamiast rzucać dorywczo powiązane myśli, chciał je wyłożyć systematycznie, musiałbym napisać całą książkę, co mi nie na rękę, więc niech będzie „mądrej głowie dość dwie słowie”. Gatunek samo-analizy jaki tutaj uprawiam jest niewystarczający, niemniej dla mnie użyteczny, bo nieraz, przy rozmowach, zastanawiałem się jaki jest *ukryty bagaż* każdego z rozmówców. Zdarzało mi się naturalnie trafiać kiedyś w paryskich knajpach na tak zaciekłe dyskusje np. o polityce Napoleona III-go, że dyskutanci bili pięścią w stół i niemal ciskali w siebie szklankami. Na ogół jednak takich w cywilizacji przemysłowej nie jest wielu, podczas kiedy mój ukryty bagaż składa się właśnie z pasji historycznych. Niby nic normalniejszego, uchodźcy, których wszędzie pełno, mogą naprawdę rozmawiać tylko o swoich Mołdawiach, Polskach i Siedmiogrodach. Tylko że, poza względnie niedługim czasem moich rozpraw ze stalinizmem, perypetie polityczne tam przestały mnie bliżej obchodzić a nostalgii rzadko mnie nawiedzały, może dlatego że Polska nie jest krajem mego dzieciństwa. Ustalenie więc mojej tożsamości nie przebiegało po linii „tu — tam” ale „ja tu — oni tu”. Ale ci „oni”? W ciągu dziesięciu lat, spędzonych we Francji nie wszedłem w żadne „środowisko” i teraz odwiedzony Paryż, tak

swojski, był dla mnie niemal pusty. Znane są ksenofobia towarzyska i konformizm towarzyski Francuzów, więc to też normalne. Ale przecie miałem tak zwane „sukcesy”, więc nie było trudno zadomowić się w kółkach takiej czy innej Madame Verdurin. Tłumaczenia moich książek na inne języki nie dawały mi jednak żadnego „kick” (poza finansowym, bo żyłem z pióra) a ku oburzeniu moich przyjaciół (jeżeli Francuzów to zwykle obcego pochodzenia) wymigiwałem się z wszelkich okazji żeby swoją „famę” dziennikarsko-towarzyskimi zabiegami podpierać. Prawda, że jako poeta przede wszystkim, byłem zahamowany, bo czyż nie przykre jest dla ambicji nie móc pokazać się ludziom w tym, co w nas najmocniejsze? Nie zabiegałem też o przekłady swoich wierszy, bo co to za kontakt z czytelnikiem? Ale założywszy nawet, że umiałbym pisać w języku francuskim, wyjątkowo przeciwnym memu wewnętrznemu rytmowi, nie bawiło mnie to, ponieważ literatura jest dla mnie czymś organicznym, w co jest się wrośniętym, pisze się przeciw, chce się naprawić co naszym zdaniem w niej źle funkcjonuje i bez tego zabawy nie ma. Kultywowałem więc planowo swoją cudzoziemskość.

A teraz pozwólmy sobie na komentarz satyryczny. *Gordyj Paljak* może być analfabetą albo intelektualistą, analfabeta bredzi a intelektualista swoich bredni się wstydzi, ale jeden i drugi mają wszystkie nacje na świecie za psią podszewkę. Więc wcale nie wykluczam, że zachowywałem się, nie uświadamiając tego sobie, dokładnie tak jak polscy robotnicy we Francji w latach 1918-1939, pełni pogardy dla „katanów” o ileż bardziej od nich cywilizowanych, albo polski bohater naszych czasów, marynarz Kostek z powieści Czesława Straszewicza, obnoszący się w Ameryce Południowej ze swoją konstytucją, książką kucharską i lekceważący sobie tubylców, bo nie umieją przyrządzać flaków: „Indyany ciemne one są”. Albo jak w anegdocie o Rosjaninie, który w Paryżu próbował po pijanemu tłuc lustra, a drugi go powstrzymywał: *Broś, Wania, wsio rowno nie pojmut*. Zapewne chwytnie się walorów kulturalnych (książka kucharska) w jednym wypadku, głębin duszy w drugim, byle siebie wobec naporu obcości jakoś uratować, reprezentuje dwie możliwości ratunku dla przybyszów ze wschodu Europy. Niemniej komiczne i niezbyt uzasadnione poczucie wyższości (którego wiele przykładów w ostatnich paru dekadach można zaczerpnąć z książek Iwaszkiewicza, Rudnickiego, Różewicza) po odpowiednim odwróceniu może stać się cnotą. Być garbatym jest źle, ale jeżeli tylko dzięki własnemu garbowi zauważa się garbatość wszystkich, co nas otaczają, garbatość inną, przez nich nieprzyznawaną, warto niekiedy swój garb hodować.

Gdyby nie cudzoziemskość określonego rodzaju, wiedziałbym

dużo z tych rzeczy które wiem, bo należą one do współczesnego rynsztunku, ale wiedziałbym na poziomie abstrakcyjnym, nie byłoby one dla mnie dotykalne. Trudno np. byłoby mi wtedy uznać za pewnik, że świadomość ukryta pod świadomością indywidualną, wyrażająca się w stylach i modach epoki, podlega ruchowi, przewrotom i ekspansji, tak że niedawne jeszcze punkty graniczne zostają wchłonięte przez jej nowe terytoria. Doświadczenie Polski tamtego dwudziestolecia, przede wszystkim momentu, kiedy jej przynależna świadomość zmieniała się w obiekt muzealny, przeżywając tylko w nielicznych grupach albo w środowisku emigracji, było dla mnie zasadnicze, tak jak i drugie doświadczenie: prób uzyskania dystansu, wzbicia się *ponad* tę świadomość (*collective sensibility? Zeitgeist?*) przed wojną, prób udanych tylko *abstrakcyjnie* tj. nieudanych.

Ludzie na ogół przyzwyczajają się z nadto czyli to *co jest* wydaje się zwykłe, takie jakie musi być. Jakikolwiek ich opór wobec ustalonego porządku pozostaje na tej samej płaszczyźnie co porządek czyli może być oporem najwyższym politycznym. Wysięk taki jak Swifta, który swoje społeczeństwo zobaczył w jego względności, jest czymś rzadkim. Przychodząc z zewnątrz automatycznie już niemal popada się w sytuację Swifta, uzyskując „udziwnienie” obyczajów i norm najzupełniej swojskich dla ludzi w swoim społeczeństwie pogrążonych.

Popełniłbym nieuczciwość gdybym teraz nie napomknął, że moje wywody mają ukryty słaby punkt, ten mianowicie, że uczenie rozprawiam o czymś, co wymaga może innej sondy, bo prawdopodobnie urodziłem się już cudzoziemcem z powołania. Kiedy miałem szesnaście lat gapiałem się na to co mnie otaczało jak na spektakl nakręconych zabawek. Więc może później szukałem tylko okazji, żeby swemu wyobcowaniu nadać prawomocność a np. dobrowolna ekspatriacja nie była dla mnie niszcząca jak dla tyłu innych bo dla mnie żadna zasadnicza zmiana nie zaszła. Jeżeli tak, to nie ma potrzeby uogólniać i nawet niezbyt przyzwyczajony jest przywoływać do pomocy cechy danej zbiorowości. Na swoją obronę mogę przytoczyć tę znaną prawdę, że prywatna tylko, wywodząca się z indywidualnego losu, „alienacja” bywa niekiedy prekursorska. Poza tym żywiła się ona przeciw tym co było w jej zasięgu, modyfikowała się na rodzimą modłę romantyczną, w donkiszoterii, w intelektualizmie moralitetu dobierając się do swoich praw i przywilejów. Są obiektywne sprawdziany tej mojej rodzimości, zaświadczające, że wyobcowanie przed wojną (po czątek nałogu) nie było może aż tak wyłączenie nakazem indywidualnego losu, raczej nacisk niekiedy wolno położyć na to, przeciwko czemu było zwrócone.

Więc Europa. Ależ oni zachowali, pomimo wszystko co

ich nawiedziło (nieprawda, że tego było niewiele) znakomitą ciągłość i żaden z nich nie musiał, jak stary Leopold Staff, na ziemi spustoszonej i znieważonej zaczynać „od dymu z komina”. Kiedy jednak wciągała ich pracowita zwykłość, w której znów jednostka i czas jednostkowy i jednostka wobec jednostki jedynie waży, niepokoiło ich to, bo rozumieli, że coś zaszło, choć jakby poza ich plecami i lichy wie co. Więc akurat w moich latach paryskich byłem świadkiem ich skoków protestu, skoków w dawno przez nich zaniechany moralitet Historii z pierwszej połowy XIX wieku, w heglizm, marksizm i zdumiewające to było widowisko. Wszystkiemu czego nadmiar, i wskutek nigdy nie pożegnanych romantycznych porywów i wskutek nowych wydarzeń, doskwierał nam tak bardzo, nostalgicznie hołdowali, powodując tym samym sprzeciw ze strony lepiej, choć wbrew woli i smętnie, zaprawionych w tej gimnastyce. Choć w istocie te ich ćwiczenia cerebralne pozostawały na powierzchni a spod niej, wyładowując się w sztuce i literaturze, przezierało co innego: dalszy ciąg wypraw przedsięwziętych przez samotne ja, zaczętych w romantyzmie, który w Polsce zaprowadził na zupełnie inne tory. Dalszy ciąg ale oczywiście w innych okolicznościach i mało do poprzednich faz podobny a nawet, chyba słusznie, podawany za przewrót. *Art informel, le théâtre de l'absence*, pro-kafkowska powieść. I wobec tych zjawisk cierpiałem na rozdwojenie. Starsza niż ja sam zaprawa powstrzymywała mnie od zanurzania się bez zbroi w *abyssus*. Stąd moje gniewy i, na przekór, chętki zamknięcia się w tematach, dających się jasno obrysować stylem klasycznie prostym. Czujność natomiast podszeptowała, że wypadaloby rozróżnić co w moich gniewach było odruchem siły witalnej, buntującej się przeciwko rozpowszechnionej naokoło mnie subtelnej rozpacz, a co emanowało z noszonego przeze mnie na głowie kołtuna, *plica polonica*, (czy kołtun ma coś wspólnego z grzywą Samsona, oto pytanie).

Porażki. Nie mam zamiaru ich mierzyć tym, że Stasiowi albo Miciowi lepiej się, względnie gorzej udało. Ani tzw. „pójściem na emigrację”. To prawda, że moja poezja, bynajmniej dla czytelnika w Polsce nie zawiła, jest zrozumiała dla pięciu albo dziesięciu osób za granicą, bo zagraniczni Polacy reprezentują formację dawną, która mnie kiedyś wyobcowywała, o wiele niższą umysłowo niż ta, jaką reprezentują ich krajowi kuzyni. To samo stosuje się do trochę trudniejszej prozy. Jednakże lista przeszkód, na jakie natrafia w drugiej połowie dwudziestego wieku każda realizacja, jest tak długa, że tylko ten, kto swego wieku nie zna, potrafi poważnie powoływać się na fartuszek, zawadzający złej tancerce. Nie, porażki moją inny sens. Skoro weszło się na pewne piętro świadomości, znalezienie dla niej wyrazu jest wygraną, nie znalezienie, porażką. Świadomość pisarza (używam tego sło-

wa niechętnie, bo jest nadęte, ale się przyjęło) nie jest ideologiczna ani polityczna. Gdyby była, zadawałaby się układaniem manifestów czy programów albo pisaniem artykułów, co w tej chwili robię, nie żywiąc jednak żadnych złudzeń. Otóż wydaje mi się, że w zestawieniu z zachodnią Europą świadomość licznych ludzi w Polsce, nielicznych na emigracji, jest bardziej pojemna, mniej odcięta od pamięci, ogarniająca lepiej *wymiar* przemian w tym stuleciu, zrosnięta z wyobraźnią historyczną. Dziedziczny garb i przeżycia ostatnich dekad raczej tu pomogły. Nie przeczy to memu twierdzeniu, że Europy nie rozumiem. Nie rozumiem ale nie tkwię w niej jak mucha w bursztynie, a o to tylko chodzi.

Ostrzejsza świadomość nie musi ciągnąć do monumentalnych dziejowych wątków. Byłoby to naiwne wznoszenie budowli z tektury. Najbardziej subiektywny jednak utwór zyskuje wtedy inne proporcje, jest *umieszczony* przez autora inaczej w przestrzeni ludzkiej. Współczesna poezja polska po r. 1956 całkowicie to potwierdza. Ale tylko poezja, satyra, małe formy teatralne, eseistyka. A w dodatku, pomijając już chroniczną słabość polskiej prozy beletrystycznej, a także rozpad tradycyjnej narracji pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, odbywa się obecnie w Polsce stopniowe zaprzepaszczanie ostrości raz uzyskanej, roztapianie się jej w prowincjonalizmie. Ten prowincjonalizm przybiera dwojaką postać. Co nie udało się Przybyszewskiemu, który myślał dobitniej niż jego dzisiejsi konkurenci, rzekomo ma się teraz udać tj. przy użyciu zachodniej ściągaczki, wyzwalając się od nieznosnej służby społecznej, ma się nadzieję pokazać, w jakimś wszędzie tj. nigdzie, „ja” postawione wobec demonicznej istoty bytu. Biedne dzieci wchodzące między ostrza potężnych szermierzy! Zachodni Europejczycy nauczyli się wieki temu przyjmować nędzę życia jako założenie pierwsze, utrzymując państwa, żeglując, mordując, handlując i w zestawieniu z nimi poczciwcy, podnoszący krzyk że życie jest złe zawsze będą tylko historyczni. A podczas kiedy wolne duchy tak się zabawiają, spokojnie rozwija się prowincjonalizm inny, zbożnie-organicznikowski, zacny ale od kłopotów ludzkości odwrócony. Czyli doskonała prawidłowość: Moderna i Rodziewiczówna równocześnie. Mówię to, żeby przypomnieć, że stamtąd gdzie możliwość sprzedawana jest za miskę soczewicy, nie należy oczekiwać pomocy ani objawień.

Więc z Europą samotrzeć. W moich latach paryskich byłem na tym przedstawieniu „En attendant Godot” w Théâtre Babylone, od którego zaczęła się międzynarodowa sława Becketta. Elegancka publiczność, elita. I szczyptałem się w policzek, żeby przywrócić sobie poczucie rzeczywistości. Na scenie Oświęcim — Pozzo torturuje Lucky’ego a oni pokładali się ze śmiechu. Czy jestem obłąkany? Sztuka biła ich po pysku, rujnowała wszelkie podsta-

wy ich ładu, ale nikt z nich nie czuł się odpowiedzialny, z ładem istniejącym solidarny, ta faza cywilizacji była wobec każdego z nich zewnętrzna i przez każdego z nich już potępiona. Można Becketta interpretować tylko „wiecznościowo” ale chuda to metafizyka i wtedy lepiej czytać Pascala. Powracam, po krażeniach, do początku mego artykułu. Jeżeli umysł, we wszystkich swoich przejawach, zwraca się przeciwko swojej cywilizacji, każdym swoim aktem odbierając jej *zasadność*, czy należy uznać to za stały atrybut zachodniej Europy, za umiejętność poniżania, wyłączenia myślicieli i artystów, którzy się mszczą, co zawsze obraca się wreszcie na jej korzyść, czy też za zapowiedź mniejszej albo większej apokalipsy? Jak ja mam się do tego odnieść, skoro wiem co zapowiadały media w transie, Rimbaud, Laforgue? Zakładając, że jest to tylko gra indywiduum, konstruującego swoje napowietrzne zamki, gra w swoich skutkach pozaosobistych jałowa, nie umiałbym jej uprawiać, bo nie otrzymałem dostatecznie indywidualistycznego wychowania i czas jest dla mnie zawsze zwaloryzowany (przy całej śmieszności, „rym socjalistyczny” Peipera był bardzo polskim pomysłem). Zakładając natomiast, że stacje benzynowe w Weronie i francuscy fryzjerzy rozmawiający już tylko o swoich samochodach, i obfitość i któraś z kolei rewolucja przemysłowa są rozdętą kulą purchasek, jedną apokalipsę mam już za sobą, co zobojętnia, a poza tym moralitet historyczny został dotknięty paralizem, bo za dużo załamało się utopii.

Moja zachłanność i zaraz odrzucanie. Te zęby wściekłych osaczonych szczurów, które wyglądają z książek, sztuk, obrazów — dziwne wrażenie czegoś *déjà vu*. Jakby lata 1930-1939, Witkacy, katastrofizm, wyczerpały w skrócie zapas nihilizmu.

Ale świadomość z ambicjami powinna przynajmniej umieć uchronić się od nieporozumień, choć te są nieuniknione i ledwo raz weźmie się za pióro, nigdy już klarowaniu swojej, jak to się nazywa, wizji nie będzie końca, a niczym chyba innym nie jest życie w tym zawodzie czy zakonie, niż uległością wobec niejasnego imperatywu, który każe jak najmniej ze złożoności swojej myśli uronić. Jako poeta uprawiający też prozę, a więc zmieniający konie, niemało trudu zużyłem na opór wobec upraszczających a więc fałszujących, przez zamknięcie w którymś gatunku, klasyfikacji. Obawiam się, że i teraz wiele rozprawiając o dziejach, dawnych i nowych, przyczyniam się do nieporozumień. Ktoś na pewno będzie przypuszczał, że „stawanie się dziejowe” jest dla mnie największej wagi, że intelektualizm moralitetu podoba mi się a nie ciśnię jak strój niewygodny, narzucony i że roślinne, bierne, intuicyjne chłonięcie świata jest dla mnie czymś przypadkowym, co usiłuję w sobie pokonać. Inaczej, że wstydzę się swoich, używając terminologii Zen, *satori*. Wcale tak nie jest, podejrzewam jednak,

że to już moja nie-polska częśćka i dlatego do traktowania tutaj się nie nadaje.

Żadnych konkluzji nie będzie. Dziedziczne obciążenia, błogosławieństwa tych obciążeń i nędze tych błogosławieństw, uciążliwości stąd pochodzące kiedy z takim bagażem żyje się poza jednym, maniakalnie uwielbionym „Państwem środka”, doznanie porażki bez którego zapewne żadna wygrana nie bywa możliwa — nic więcej jak otwarcie hipotetycznej dyskusji.

Ale gdzie Ameryka, do której wrócił podróżny z Europy tylko rodzinnej co obcej? Albo do Ameryki stosuje się, wskutek zasadniczej jedności cywilizacyjnej, co się już rzekło, albo się nie stosuje, a tam gdzie nie, „to już zupełnie inna historia”.

Czesław MIŁOSZ

PKO - Dary do Polski wolne od cła
- Od 7 lat za pośrednictwem

oficjalnego przedstawicielstwa Banku PeKaO

ALIMEX - Handels-GmbH

8 München 2

Neuhauser Strasse 34/V, Tel.: 55 06 41

Skrytka pocztowa: 8 München 33, Schliessfach 140

lub:

Berlin: Alimex-Büro, 1 Berlin 12, Kantstr. 165/VI. Tél.: 91 32 59

Przyjmujemy wpłaty na paczki standardowe, artykuły różne (z mieszkaniami i jednorodzinnymi domami włącznie) oraz przekazy pieniężne dla wypłaty gotówką w złotych po dogodnym kursie Banku PeKaO w tym: — spadki, odszkodowania (z wyjątkiem bieżących rent miesięcznych) i alimenty.

ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH CENNIKÓW

Nasze biuro udziela chętnie wszelkich informacji w języku polskim.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

ESEJ BERDYCZOWSKI

Już tylko niespełna dziesięć lat dzieliło nas od upadku trzech cesarzy, którzy od Kongresu Wiedeńskiego panowali nad obszarami Środkowej i Wschodniej Europy, kiedy mój ojciec wziął mnie z sobą w podróż po Międzymorzu. Zaraz po żniwach wyjechaliśmy z okolic Baru i zdążaliśmy powoli na północ. Jechaliśmy po dawnych terenach Rzplitej Jagiellońskiej, znanych mi częściowo z poprzednich podróży. Myśli nasze i rozmowy szły jednak tym razem w stronę przeszłości.

Panowanie trzech cesarzy zaczęło się właśnie wykruszać w wyobraźni poddanych. Koniec ustalonego porządku był już w zasięgu przewidywań. Nawet bliskość terminów dawała się chwila mi odczuwać, jak dreszcz poprzedzający wysoką gorączkę. Tym trudniej było wyjść myślą poza abdykację monarchów, ucieczkę ministrów, otwarcie więzień, słowem poza koniec istniejącego porządku. Wiadome było tylko, że nowy rozdział historii zacznie się od zwołania zgromadzeń konstytucyjnych. Jakie idee porządkowe i jakie interesy ludności dojdą w nich do głosu?

Jak iskry w gęstym dymie, pytania te pojawiały się i gasły w rozmowach z miejscową inteligencją, rewolucjonistami różnych obrządków, działaczami samorządowymi, mieszczanami i chłopami. Żaden konkretny obraz nie wynurzał się z tych rozmów. Rzecz w tym, że dawna Rzplita została w tym kraju niezliczone grupy społeczne, narodowościowe, wyznaniowe i zawodowe; każda wydawała się zamknięta w swym języku i obyczaju, bez żadnej więzi i nawet bez bliższego kontaktu z innymi. Powrót do warunków, w jakich powstał ten dziwny twór historyczny, wydawał się niemożliwy, przynajmniej w drodze rewolucji i zgromadzeń konstytucyjnych. Na domiar złego Zachód, w którym triumfował wówczas nacjonalizm, ofiarowywał jako wzór do naśladowania tylko pań-

stwo narodowe w stanie wiecznego zagrożenia i permanentnej mobilizacji. Model ten wydawał się niepraktyczny, zbyt daleki od rzeczywistości Międzymorza. Zresztą po dwóch wojnach sprzykrzył się także w Europie Zachodniej.



Berdyczów był jedną z pierwszych stacji podróży, która przez Mińsk i Kowno miała nas zaprowadzić do Rygi. Inne oglądane po drodze miasta stały trochę Berdyczów w mojej pamięci. Nie potrafiłbym go dokładnie opisać. Otoczony był przedmieściami tonącymi w zieleni sadów. Przyprószone kurzem, ciemne listowie czereśni i śliw wydawało się blaszane. W krytych słomą chatach mieszkali tam kołodzieje, kowale, kabannicy; w drewnianych dworach siedzieli panowie szlachta, zubożali, praktykujący wolne zawody i kształcący progeniturę w miejscowych szkołach.

W środku miasta, będącym zarazem dzielnicą handlową i gettem, przy brukowanych ulicach stały dwupiętrowe domy białe wapnem, do którego tamtejszym zwyczajem dodawano szczyptę ultramaryny lub farb wodnych barwy róży i szafranu. Latem przejeżdżające wozy podnosiły obłoki kurzu.

Najokazalszym budynkiem był dawny klasztor karmelitów, mieszczący wówczas rosyjskie urzędy. Wspomnę tu tylko krótko przeszłość miasta: zbudowano je w czasach Giedymina, zdobywał je Chmielnicki, konfederaci barscy kapitulowali w nim po miesięcznym oblężeniu, po rozbiorach miasto przeszło okres upadku trwający do połowy XIX wieku.

Do trwałych osobliwości Berdyczowa należy znajdujące się za miastem obszerne wzniesienie, szeleszczące na wietrze suchymi trawami. Jest to sławna na cały kraj Łysa Góra, miejsce sabatów czarownic.

Po kilku dniach wyjechaliśmy z Berdyczowa, dokąd nie miałem już wrócić. Wspomnienie jego drzemało długo w mojej pamięci. Dopiero w pół wieku później zacząłem wracać doń myślą coraz częściej. W 1909 szukałem tam na próżno — jak mi się wydawało — obrazów przyszłości. Byłem w błędzie. W Berdyczowie widziałem kilka uderzających wzorów rzeczy przyszłych nie umiałem ich jedynie odczytać.



Przy ulicy Machnowieckiej, głównej arterii Berdyczowa, znajdował się sklep Szafnagla, do którego panowie szlachta z bliższych i dalszych okolic, zwłaszcza przed świętami i uroczystościami rodzinnymi, przyjeżdżali po pieprz, imbir, wanilię i

inne towary kolonialne. Był to centralny punkt polskiego Berdyczowa. „Na Machnowieckiej, przed samym sklepem Szafnagla” — pisał Michał Czajkowski.

Długi szereg pojazdów stał przed sklepem: karety, powozy, fajetony, wasagi, bryczki, szarabany i wozy drabiniaste. Wzdłuż nich, parami lub w małych grupach, przechadzali się przyjezdni w pudermantlach, prowadząc ożywione rozmowy. Dla rozproszonych po powiecie Sarmatów, ziemian czy oficjalistów, ulica Machnowiecka i sklep Szafnagla były głównym miejscem spotkań i źródłem ostatnich nowin. Przechodząc słyszałem strzępy rozmów o imieninach u cioci Tekli, o chrzcinach u Kapruckich, o tym jak Szułybułdowicz próbował kupić w Jarmolińcach czwórki koni, i co z tego wynikło. Zniżając nieco głos mówiono także *de publicis*, o wiadomościach, jakie Hejbowicz przywiózł z Petersburga a Ciotowicz z Warszawy. Dzieleno się informacjami o cenach zboża, przywiezionymi przez kupców z Odessy. Źródłem wielu wiadomości było też getto berdyczowskie, gdzie wielu miało krewnych w Nowym Jorku i w Buenos Aires.

Rozmowy toczyły się wesoło, wielkim głosem, jakim mówią na wsi; wszyscy byli radzi spotkaniu i okazji do wymiany nowin. Miałem przed sobą obraz najgłębszej prowincji; wieści ze świata przychodziły tam rzadkie i spóźnione, w relacjach podróżnych. Kronika wypadków miejscowych nie zawierała wiadomości ważniejszych od przygód Szułybułdowicza w Jarmolińcach. Zdawało się, że poza terminami płatności weksli przechadzający się po Machnowieckiej nie mieli większych trosk. Ich świadomość historyczna — *Geschichtsbewusstsein*, jak nazywają to Niemcy — była w uspieniu. Żyli w zaciszu, z dala od głównego nurtu wypadków, mających przynieść — także w Berdyczowie — wielkie przemiany.

Byłem wówczas bardzo młody, ale widziałem już stolice Europy Zachodniej, gdzie ważyły się losy świata. Widziałem pruskich oficerów z pałaszami, pętającymi się w połach granatowych surdutów, oficerów austriackich w obcisłych bluzach i sztywnych czapkach z bączkiem, widziałem wreszcie wojskowych francuskich w czerwonych portkach. Znałem nazwiska mężów stanu, trzymających rękę na dzwonku alarmowym.

Widok Sarmatów, przechadzających się „przed samym sklepem Szafnagla”, dostarczał mi pustej zabawy. Nie znałem jeszcze Tukididesa i — jak pozostali Europejczycy — nie widziałem jasno nieuniknionego końca wojny o hegemonię kontynentu, do której właśnie główny protagoniści zajmowali pozycje wyjściowe. Nie przewidywałem też wcale, że obraz Machnowieckiej ulicy stanie się dla mnie miarą rzeczy, rodzajem trzciny, którą anioł Apokalipsy każe mierzyć instytucje i ludzi.

Dopiero w 35 lat później, gdy na tarasie genewskiej kawiarni przeczytałem pierwszą obszerniejszą relację z konferencji jałtańskiej, zgromadzenie szlachciców przed sklepem Szafnagla stało mi przed oczami jak żywe. W ramach amerykańsko-rosyjskiego pokoju okrojona Europa zeszła do rzędu prowincji. Zajęci swą *prosperity*, jak berdyczowscy Sarmaci sprzedają zboża i płatnością weksli, Europejczycy nie mogą dokonać niczego, co by mogło zmienić ustalony w Jałcie porządek rzeczy. Niektórzy patrzą z niedowierzaniem lub nawet wzburzeniem na nową sytuację. Mądrzejsi radzą nie szarpać się, znosić, czekać. Nawet rozmowy Europejczyków zbliżyły się do berdyczowskich wzorów. Wiadomości z miejsc, gdzie zapadają decyzje, przychodzą w późnych i zniekształconych wersjach, podobnych do relacji Hejbowicza z podróży do Petersburga.

Idąc wieczorem ciemnymi ulicami miasta spostrzegliśmy oświetlone okna, z których dochodziły głosy przypominające modlitwy. Żydzi berdyczowscy byli w znacznej części chasydami i mieli — jeżeli wierzyć encyklopedii Brockhousa — 74 domy modlitwy. Gdy zbliżyliśmy się, głosy stały się wyraźniejsze. Zatrzymaliśmy się, nasłuchując. Czytano tam głośno pierwszy tom *Kapitału* Marxa. Ojciec mój zastukał do okna, w którym ukazała się blada twarz. Resztę wieczoru spędziliśmy na czytaniu *Kapitału* z miejscowymi marksistami.

Na stole stała naftowa lampa, oświetlająca ubogi warsztat krawiecki. Dokoła siedziało kilku przedstawicieli tego bardzo źle płatnego rzemiosła. Posiadacz jedyne go egzemplarza *Kapitału* czytał głośno i śpiewnie tekst, zatrzymując się po każdym zdaniu. Obecni prosili wówczas o wyjaśnienia lub powtórne odczytanie trudniejszych zdań.

Kapitał nie jest łatwą lekturą, ale to co słyszałem nie przypominało szkolnego czytania trudnych tekstów. W szkole wspólna lektura ma za cel wytłumaczenie tekstu, sformułowanie niejasnych miejsc w terminach już przyswojonych, ustawienie ich w perspektywie rzeczy znanych.

Krawcy berdyczowscy nie stawiali sobie takich zadań. W miarę lektury Marx stawał się coraz ciemniejszy, ale to nie znaczyło, że wcale. Czytany tekst był dla nich prawdą objawioną, nie wynikającą z żadnych rzeczy znanych i przez to nie poddającej się wytłumaczeniu. Czytali sposobem wyznawców, przyswajając sobie tekst nie przez jego zrozumienie, lecz przez jego egzaltację, przez wyniesienie zawartej w nim prawdy ponad wszystkie dane i doświadczenia.

Wychowany wśród pozytywistów, słuchałem ze zdumieniem tej osobliwej lektury, do której Marx najmniej się na pozór nadawał. W dziwnym podnieceniu krawców skłonny byłem widzieć objaw chorobliwy, wywołany chronicznym niedożywieniem i brakiem snu. Myliłem się. Miałem przed sobą wzór postawy myślowej, mającej szerzyć się później także wśród najlepiej odżywiającej ludności Europy.

Krawców berdyczowskich przypominałem sobie czytając w *Les Temps modernes* obszerną apologię terroru stalinowskiego, napisaną przez Merleau-Ponty, późniejszego profesora Sorbony. Było to na krótko przed rewelacjami Chruszczowa i wyrzuceniem zwłok dyktatora z leninowskiego mauzoleum. Wiele innych pochwał sowieckiego terroru ukazało się już przedtem na Zachodzie; apologia uczonego filozofa przeznaczona była dla wybredniejszej publiczności, bardziej literacka w swej retoryce i egzaltacji. Postawa autora wydawała się jednak uderzająco bliska wzorowi berdyczowskiego. Stalin był dlań heroldem prawdy objawionej, nie poddającej się konfrontacji ze znanymi uprzednio pojęciami i danymi doświadczenia.

Berdyczów z okresu rewolucji znam tylko z relacji mego brata, zmobilizowanego w 1917 i odbywającego służbę w oddziale samochodów pancernych.

Dokoła stacji kolejowej biwakowało kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy z różnych formacji, którzy, po zabicu lub ucieczce oficerów, opuścili front i z bronią w ręku cofali się w głąb kraju. Brak taboru kolejowego utrudniał rozładowanie Berdyczowa, do którego napływały wciąż nowe oddziały zbuntowanych.

Czekając na transport, wybrane przez różne jednostki rady żołnierskie debatowały nad losem aresztowanego w Berdyczowie dowództwa frontu południowego. Wielki tłum żołnierzy otaczał budynek, w którym trzymano aresztowanych generałów, i którego bronili uczniowie szkół oficerskich, późniejsi *dobrowolcy*. Co pewien czas tłum przybierał groźną postawę rycząc: *Dajcie nam ich w ruki*. Tak mijały godziny i dni; wszyscy czekali na możliwość wyjazdu.

Pertraktacje toczyły się tymczasem między kadetami i rąkami żołnierskimi. Kadeci byli znikomą mniejszością, ale zbuntowani żołnierze myśleli przede wszystkim o powrocie do domu. Stało na tym, że aresztowani generałowie zostaną odstawieni do Mohylowa, gdzie znajdowało się dowództwo frontu w stanie likwidacji.

Komunikacja kolejowa utykała, czas się dłużył, mnożyły się

kwestie sporne. Zdaniem rad generałowie znajdowali się w stanie aresztu i do Mohylowa mogli być odstawieni tylko w wagonach dla aresztantów, których brakło w Berdyczowie. Dni schodziły na jałowych pertraktacjach i co pewien czas odzywały się ryki: *Dajcie nam ich w ruki.*

Radiostacja wojskowa na Łysej Górze znajdowała się w rękach zbuntowanych i wzywała nieustannie żołnierzy do zaprzestania działań zbrojnych, do tworzenia rad i rozprawy z kontrrewolucją. Pewnego dnia rozeszła się w Berdyczowie wiadomość, że nowy efemeryczny dowódca frontu południowego, generał Korniłow, wysłał pułk kozaków orenburskich w celu obsadzenia lub zniszczenia radiostacji. Rady postanowiły jej bronić, ale kopanie okopów i wojowanie z kozakami nie uśmiechało się żołnierzom wracającym do domu. Przypomniano więc sobie obecność w Berdyczowie oddziału samochodów pancernych. Większość ich była w remoncie, utrudnionym przez brak części zamiennych. Kilka zaledwie wozów okazało się w stanie sprawności bojowej. Odszukano rozproszonych po mieście automobilistów i kazano im ciągnąć losy. Mój brat znalazł się w grupie wyznaczonych przez losowanie obróńców Łysej Góry. Gdy wymawiał się, że go sprowadzono ze szpitala, towarzysze nie chcieli o niczym słyszeć: „Los padł na ciebie, musisz jechać”. Brat mój nie sprzeczał się dłużej; przyszło mu na myśl, że w szybkim wozie, uzbrojonym w lekki k.m., będzie mógł wreszcie uciec z Berdyczowa.

Samochody zajęły pozycję na stoku Łysej Góry. Bratu przypadło miejsce przy trakcie, na którym w obłoku kurzu ukazały się czarne mundury kozaków. Zamiast rozwinąć się przed Łysą Górą, jechali spokojnie czwórkami na Berdyczów. W czołowej grupie kłusował powoli pułkownik i dwóch oficerów. W ruchach mieli coś niezwykłego, co zwróciło uwagę brata. Gdy zbliżyli się, zobaczył, że mają ręce związane na plecach.

Ten ostatni znany mi obraz Berdyczowa nasuwa różne porównania i refleksje. Zachód Europy widział upadek Wilhelma II, Mussoliniego i Hitlera. Przelano przy tym morze krwi, ale nie popełniono żadnego godnego uwagi aktu nieposłuszeństwa. Jak można wnosić chociażby z pism H.D. Thoreau, Céline'a i z manifestów surrealistów, „rzadka i trudna cnota nieposłuszeństwa” miała tu też zwolenników, ale ślady jej znaleźć można tylko w twórcach wyobraźni. W rzeczywistości od czasów Napoleona kult dyscypliny za wszelką cenę jest jednym z najistotniejszych rysów cywilizacji europejskiej. Rys ten był niezbędnym warunkiem wojen o hegemonię kontynentu i w dalszych konsekwencjach przygotował Europę do obecnej roli prowincji.

Paweł HOSTOWIEC

Protest 34 w perspektywie międzynarodowej

Należałoby wyciągnąć pewne wnioski dotyczące Protestu Trzydziestu Czterech, rozpatrując ten protest nie na płaszczyźnie wewnętrzno-polskiej, ale w szerszej perspektywie międzynarodowej. Po pierwsze, protesty pisarzy i uczonych przeciw pewnym aspektom życia politycznego czy kulturalnego własnych krajów stały się w ciągu ostatnich dziesięciu lat zjawiskiem tak częstym (i niezależnym od ustrojów polityczno-społecznych), że muszą chyba odpowiadać pewnym cechom wspólnym społeczeństw współczesnych. Protesty te są nowością w krajach o systemie monopartyjnym: byłyby nie do pomyślenia w kraju komunistycznym za czasów stalinowskich, są natomiast, jak się okazuje, możliwe w dzisiejszej Polsce; byłyby niemożliwe w Niemczech hitlerowskich — nie umie im już dziś zapobiec Hiszpania Franca. Ale w krajach demokratycznych protesty pisarzy są również nowością; wydawałoby się, że pewne tradycje opozycji liberalnej, radykalnej, przez dziesiątki lat wyrażające się w grze parlamentarnej, a poza parlamentem w prasie, w opinii elity liberalnej złożonej z „wolnych zawodów” funkcjonują dziś mniej sprawnie, mniej spontanicznie, jeśli pisarze i uczeni w krajach Europy Zachodniej tak często czują się jakby zobowiązani swym zbiorowym wystąpieniem opozycję tę nie tyle zastąpić (ma ona przecież wszelkie prawne i formalne dane do swobodnego wyrazu) co wzmocnić. W Anglii cała akcja przeciw zbrojeniom atomowym jest w rękach intelektualistów, a przeciw wyprawie sueskiej protestowali zbiorowo i publicznie pisarze, artyści, uczeni. We Włoszech niezliczone są zbiorowe protesty pisarzy przeciw cenzurze książek i filmów, przeciw ingerencji Kościoła w życie publiczne. Celuje w nich „Associazione Italiana per la Liberta della Cultura” pod przewodnictwem Ignazia Silone. W Niemczech Zachodnich pisarze protestują przeciw nawrotom rasizmu, przeciw tolerancji, która bywała okazywana byłym hitlerowcom na posadach państwowych. We wszy-

stkich tych krajach oczywiście protesty te mogą utrudniać politykę rządów, mogą być „wykorzystywane” przez wewnętrzną opozycję lub przez propagandę komunistyczną zagranicą — należą one do normalnego życia demokracji i nikomu by nie przyszło do głowy czynić z tego powodu podpisany pisarzem najmniejszego zarzutu. Odmienny charakter miał francuski „Manifest Stu Dwudziestu Jeden”, w którym ci pisarze i intelektualści publicznie wystąpili przeciw wojnie algierskiej (za którą głosowały wszystkie partie, łącznie z partią komunistyczną) i których można było oskarżyć o „zachęcanie żołnierzy do nieposłuszeństwa”. Dlatego też postaram się w tym artykule zestawić doświadczenie francuskie (a również jeszcze bardziej do polskiego protestu zbliżony list pisarzy i uczonych hiszpańskich do ministra Fragi) z Protestem Trzydziestu Czterech.

Rola protestów pisarzy i uczonych w dzisiejszym świecie — to temat dla socjologa współczesnej inteligencji. Zaryzykuję jednak twierdzenie, że tak w wypadku ustrojów monopartyjnych, jak w wypadku ustrojów demokratycznych protesty te są zjawiskiem związanym z przechodzeniem współczesnych społeczeństw na wyższy szczebel cywilizacji przemysłowej. W ustrojach monopartyjnych sprawa jest prosta: jedynie terror może zapobiec tego rodzaju protestom, a nie można na długą metę pogodzić tej formy terroru z osiągnięciem pewnego stopnia uprzemysłowienia i ogólnego dobrobytu. W ustrojach demokratycznych, które osiągnęły już wysoki stopień uprzemysłowienia i ogólny dobrobyt, warunki cywilizacji przemysłowej osłabiają bazę ruchów opozycyjnych; skądinąd, typ formacji humanistycznej, kształtujący wrażliwość na problemy moralne i intelektualne (wolności i kultury) wypierany jest przez typ formacji technicznej, którego kryteria są praktyczne i gospodarcze (sprawne funkcjonowanie systemu). Społeczeństwa te się „technokratyzują”, elita liberalna prawników, lekarzy, wypierana jest przez elitę przemysłowców, inżynierów. Myślę, że ten właśnie proces skłania pisarzy i uczonych do tak częstych zbiorowych wystąpień w sprawach, które uważają oni nadal za najważniejsze, podczas gdy — przejściowo być może — ogół społeczeństwa ma już inną hierarchię wartości.

Byłem bliskim obserwatorem przebiegu dwóch protestów pisarzy i intelektualistów, gdyż w obu wypadkach łączyły mnie więzy przyjaźni z szeregiem organizatorów: „Manifestu Stu Dwudziestu Jeden” we Francji, na tle wojny algierskiej, oraz zbiorowego listu do Fragi, hiszpańskiego ministra Informacji, w którym, pod koniec ubiegłego roku, czołowi hiszpańscy opozycyjni pisarze i uczeni protestowali przeciw torturowaniu robotników strajkujących w Asturii, aresztowanych przez policję Franca.

Zaznaczmy zaraz różnice między tymi protestami i protestem Trzydziestu Czterech. Protest francuski i protest hiszpański miały charakter polityczny (mimo uniwersalnych założeń moralnych, które skłoniły w obu wypadkach ludzi kultury do zabrania głosu), podczas gdy protest polski dotyczy ściśle dziedziny kultury,

to jest spraw, za które podpisujący czują się bezpośrednio odpowiedzialni. We Francji i w Hiszpanii manifesty zostały podpisane przez pisarzy i intelektualistów stojących w całkowitej opozycji do rządu (we Francji) lub wręcz do samego reżymu (w Hiszpanii). Manifest polski podpisany jest przez ludzi, którzy bądź sami czynnie przyczynili się do przewrotu październikowego, który przyniósł Gomułce władzę, bądź przynajmniej jak najpozytywniej przewrót ten przywitali. Następna różnica: tak we Francji jak w Hiszpanii organizatorzy starali się zebrać jak największą ilość podpisów, tak że figurują wśród nich nazwiska najwybitniejsze (jak Sartre czy Maurice Blanchot z Francuzów; Pedro Lain, Aranguren czy Jose Bergamin z Hiszpanów) oraz nazwiska stosunkowo nieznanne.

W Polsce zdecydowano zebrać podpisy najwybitniejszych tylko pisarzy (względnie najpopularniejszych, bo trudno stawiać literacki znak równania między Dąbrowską, Słonimskim czy Ważykiem a Zofią Kossak i Wańkowiczem), najwybitniejszych uczonych, nie zwracając się do młodego pokolenia. Jak bardzo się to udało, świadczy fakt, że wśród pisarzy polskich istnieją tylko dwa nazwiska należące do tej samej „klasy” czy „rangi” literackiej, których podpisów brak: Iwaszkiewicz i Przyboś.

Istnieje natomiast bardzo ważny element wspólny, związany z przemianą jakiej uległo na szczęście w ciągu ostatnich dziesięciu lat pojęcie „zaangażowania” pisarza, intelektualisty. Z brechtowsko-sartrowskiego zaangażowania we własnej twórczości (które, poczęte w imię „służby” idei kończyło się zbyt często na wysługiwaniu się aparatom), pojęcie to nawróciło do prostszej koncepcji Tołstoja, Zoli, do zwykłego poczucia odpowiedzialności za prawdę, sprzed zdrady klerków. Stąd w polskim proteście ogólne, proste stwierdzenie, że istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i obiektywnej informacji jest niezbędnym warunkiem postępu.

Nie znam oczywiście szczegółów powstania listu Trzydziestu Czterech. Ale jestem przekonany, że w tej dziedzinie powtarzają się metody, typy ludzkie, powtarzają się również reakcje urażonej władzy. Zaczniemy od tych, którzy podpisu odmawiają. Zarówno we Francji jak w Hiszpanii zadziwiła mnie proporcja politycznego Tartarina, który rwie się do karabinu i bomby, ale podpisu odmawia mówiąc z politowaniem: papierki... znów papierki! Karabin mi dajcie! Uchyła się również ten, który mówi: ja obok takiej świni jak X, który w czasie wojny domowej był frankistą, podpisu, panie, nie złożę! Na darmo mu tłumaczyć, że X od dwudziestu lat jest w opozycji o ileż czynniejszej niż on „czysty”: nie splami się, i tyle! O wiele częstszy jest szanowny, przeczorny, zacny, który „myślę się solidaryzuje”, ale „nie zgadza się z metodą”; sprawę należy załatwić interwencją poufną, ustną, w gabinecie ministra... A teraz ci, którzy podpisują. Znakomita mniejszość zdecydowanych: Tołstoje, Zole nigdzie nie obfitują. Większość tych, dla których opinia „środowniska” jest bardziej decydująca (w danej przynajmniej chwili) od obawy przed przykrymi

konsekwencjami: jak nie podpisać jeśli podpisali Y i Z, z którymi rozmawiało się wczoraj, wspólnie się oburzało?

Tak powstaje manifest. Jak reagują władze? Tutaj reguła jest niezmienna, zasadnicza: rozbić solidarność wewnętrzną grupy. W Hiszpanii jednym z głównych organizatorów jest poeta Jose Bergamin? Wystarczy sięgnąć do jego stalinowskiej przeszłości z czasów wojny domowej, ogłosić we wszystkich pismach tekst przedmowy, w której aprobował skazanie na śmierć anarchistów za „zdradę”. Wszyscy, którzy list razem z nim podpisali, wiedzieli o tej przedmowie? Cóż z tego — Bergamin staje się uciążliwy — lepiej się od niego odseparować. Następnie należy podzielić podpisujących na dwie grupy: szanowni, nawet czcigodni, których nabrano, którzy padli ofiarą prowokacji i nicpo- nie, huncfoty, prowokatorzy. Represje? Należy przede wszystkim unikać w represjach jakiegokolwiek logiki. Można uderzyć w wielkie nazwisko, jeśli jest całkowicie politycznie zdyskredytowane (Hiszpania). Ale N., który wczoraj był na obiedzie w ambasadzie amerykańskiej, a przedwczoraj u księżnej Alba, pozostanie „naszym Wielkim N.”: zamówi się nawet u niego z miejsca artykuł o Lope de Vega do monarchistycznego „ABC”. Z młodymi pisarzami, jeśli są na posadzie „rządowej” (w uniwersytecie) — brutalnie, bez rękawiczek: niektórzy odwołają. Albo przynajmniej powiedzą, że nie chcieli aby ich podpisy „zostały wykorzystane przez propagandę komunistyczną”. We Francji, sędzia śledczy wezwie wszystkich młodszych, wszystkich mniej znanych i wytoczy im sprawę o „zachęcanie wojskowych do nieposłuszeństwa” (istotnie: manifest francuski głosił, że w warunkach wojny algierskiej obowiązkiem moralnym wojskowych jest nieposłuszeństwo). Ale na próżno o podobne oskarżenia będą się ubiegać Sartre, Simone de Beauvoir: spotka ich grzeczna odmowa. Młodemu rysownikowi Siné wytoczy się na raz dwa procesy o obrazę moralności publicznej w rysunkach ogłoszonych przed paru laty. No i poważniejsze firmy (śladem *Gaz de France*) wycofają zamówienia jego plakatów, filmów rysunkowych. Wszyscy urzędnicy państwu- wi zostaną zawieszani (na krótko zresztą) w czynnościach (kil- kunastu profesorów gimnazjalnych, urzędnik Izby Deputowa- nych).

Ale oczywiście rząd francuski, ani nawet rząd hiszpański, nie kontroluje wszystkich środków dochodu. Nie może na przy- kład zabronić nikomu pisać artykułów ani wydawać książek, po- nieważ nie jest właścicielem ani pism, ani wydawnictw.

Polska propaganda reżymowa uciekła się oczywiście do kla- sycznego polskiego chwytu (klasycznego niezależnie od reżymu), który bym nazwał „chwyttem żytoptaków”. Zły to ptak co włas- ne gniazdo kala... Choćby cię smażono i palono w smole... Brudną bieliznę pierze się w domu...

Wytocono przeciw Trzydziestu Czterem cały arsenał tych niezawodnych przysłów, którymi równie sprawnie (w równie re- torycznych parafrazach) posługiwała się Sanacja. W ogóle, jakże styl tych anonimowych ujadów przeciw Trzydziestu Czterem za-

latuje najgorszą Sanacją! „Polityka” na przykład gorszy się „wy- jątkowo obcesową formą tej wypowiedzi, przeznaczoną przecież dla szefa rządu”. Widać, że dla tego niepodpisanego pismaka byle premier (Sławoj, Cyrankiewicz, obojętne) jest *naprawdę* Czcigod- ną Osobą, ważniejszą od Ossowskiej, Dąbrowskiej, Słonimskiego czy Kotarbińskiego. Jakże tak? Bez „najgłębszych wyrazów”? Bez „mamy zaszczyt Pana Premiera, Obywatelowi Premierowi, To- warzysza Premiera”?

Podobnie jak w Hiszpanii chodzi również w Polsce o podział autorów listu na dwie grupy. Faszystowskie pismaki w Madrycie dokonywały pierwszego podziału na „prawdziwych pisarzy” i „nikomu nie znane indywidua” (w swej bezdennej ignorancji za- liczylu na przykład do tej drugiej grupy młodego malarza Saure, o sławie światowej). W Polsce, trudno wobec prestiżu wszystkich Trzydziestu Czterech iść tak daleko. Jeśli „Polityka” twierdzi, że chodzi o „grupę obywateli w większości godnych szacunku i za- służonych dla kultury i nauki polskiej”, to przecież nie śmie wy- mienić „mniejszości niegodnych szacunku i niezasłużonych”. Te- za reżymu jest prosta: list sam w sobie „nie byłby żadnym curio- sum, gdyby nie fakt, że komuś zależało na tym, by sprawę roz- dmuchać, przedstawić w fałszywym świetle na forum zagranicz- nym, dać żer kampanii kłamstw i przeinaczeń o wyraźnie anty- polskim nastawieniu” („Polityka”). Podobnie Bohdan Czeszko w warszawskiej „Kulturze”. Najpierw z wielopiętrowymi zastrze- żeniami stwierdza, że „nie lekcewałyby sobie” samego listu. „Kiedy jednak grupa cwaniaków lub świętych naiwnych, faktu zabłąkanych pośród owych szanownych obywateli... udostępnia propagandzie wrogów” to już Czeszko musi „czy chce czy nie chce” uznać to „za akcję w swoich skutkach wrogą i to z wielu względów”.

Na tym właśnie tle — przemawiając do „sumienia żyto- ptaków”, operując niezawodnym straszakiem „rewizjonizmu nię- mieckiego”, argumentem „cui bono, Panowie, cui bono?”, wid- mem „antykamunistycznej hecy” („Polityka”) i Radia Wolna Europa udało się reżymowi (pozornie przynajmniej) rozbić soli- darność grupy. „Polityka” (25.IV.) pisze: „Jeśli ktoś znalazł się w przykraj sytuacji moralnej, to przede wszystkim autorzy listu których nazwiskami wycierają sobie gęby przeróżni poli- tykierzy antykomunistycznej maści. Zresztą świadomość tego faktu występuje wśród znacznej części osób spośród podpisa- nych pod listem, którzy choć po niewczasie, uświadomili sobie, że dali się wciągnąć w pułapkę przez złośliwych organizatorów tej hecy politycznej”.

Kim jest ta „znaczna część osób” widzimy z następującego listu do „Timesa” (28.IV.), podpisanego przez dziesięciu pol- skich uczonych:

„Z żalem przeczytaliśmy w „Timesie” z 18. IV., korespondencję z Warszawy i list podpisany przez 21 intelektualistów brytyjskich, dotyczący sytuacji uczonych i pisarzy w Polsce.

Zagadnienia poruszone przez nas w naszym liście z 14 marca do Premiera Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i ponownie podczas spotkania z nim 8 kwietnia, miały charakter ściśle wewnętrzny. Dotyczyły one pewnych spraw kulturalnych w naszym kraju; w kraju, który w ciągu ostatnich 20 lat przeszedł przez gruntowną rewolucję kulturalną, która udostępniła kulturę i nauczanie całej polskiej ludności.

Żałujemy bardzo, że ta sprawa doprowadziła do kampanii przeciw naszemu krajowi, akcji opartej na fałszywych informacjach, rozszerzanych specjalnie przez prasę zachodnio-niemiecką i przez Radio Wolna Europa. Pragniemy stwierdzić, iż nie jest nam wiadome jakoby ktokolwiek z tych, którzy podpisali list do Premiera, został ostatnio pozbawiony prawa wykładania lub wydawania książek.

Dowiadujemy się z zalem, że wielu naszych brytyjskich kolegów dało się tak pośpiesznie wprowadzić w błąd, a również, że Pańskie pismo, wysoce szanowane w naszym kraju, uważało za stosowane opublikowanie korespondencji nieprawdziwie odzwierciedlającej stan rzeczy.

Aleksander Gieysztor, Konrad Górski, Leopold Infeld, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Kumaniecki, Edward Lipiński, Wacław Sierpiński, Jan Szczyptański, Władysław Tatarkiewicz, Kazimierz Wyka. Warszawa, 22 kwietnia 1964".

Dodajmy tu nawiasem, że prócz francuskiego „Le Monde” i włoskich „Il Punto” i „Il Mondo”, które podały pełną listę nazwisk Trzydziestu Czterech, inne pisma zagraniczne wymieniały w różnej proporcji i kolejności tylko nazwiska następujące: Andrzejewski, Dąbrowska, Infeld, Kotarbiński, Kott, Parandowski, Słonimski, Ważyk. Z tym ośmiu Polaków o „sławie międzynarodowej w skali prasowej” (wśród uczonych z pewnością również znany jest choćby prof. Sierpiński) — jeden tylko prof. Infeld podpisał wycofujący się list do „Timesa”.

Pozostawmy na boku sprawę represji i sankcji, o których donieśli wszyscy zagraniczni korespondenci w Warszawie. Skoncentrujmy się na dwóch zagadnieniach: 1) Czy sprawy dotyczące wolności słowa i swobody opinii oraz represji wobec czołowych polskich pisarzy są zagadnieniem ściśle wewnętrznym?

2) Czy istotnie protest Trzydziestu Czterech był faktem chętnie powitany przez europejską prawicę, przez zachodnie rządy, przez „zawodowych antykomunistów”?

Na pierwsze pytanie odpowiedź jest prosta i daje ją John Mander, odpowiadając, w imieniu angielskich intelektualistów, na list dziesięciu polskich uczonych:

„W sprawie czy represje zastosowane wobec polskich pisarzy i intelektualistów posiadają „ściśle wewnętrzny charakter” wolno mieć odmienne zdanie. Jest to argument, który mógłby być równie dobrze zastosowany do warunków w Afryce Południowej czy w Portugalii. Doświadczenie w poprzednich wypadkach — np. uwolnienie i całkowita rehabilitacja Tibora Déry na Węgrzech — wskazuje, że dane rządy przywiązują dość duże znaczenie do opinii pisarzy i intelektualistów w tym kraju. Warto może zaznaczyć, że dobrze poinformowane pismo szwajcarskie „Neue Zürcher Zeitung” przypisuje w niedawnym artykule (22.IV.) pozorne wycofanie się władz polskich presji zachodniej opinii publicznej, ze specjalnym uwzględnieniem deklaracji brytyjskiej”.

Warto może przypomnieć, że argument „nie mieszania się do

spraw wewnętrznych innych krajów” jest klasycznym argumentem dyktatur, które operując na zasadzie „Wolność Tomku w swoim domku”, nie wtrącają się do spraw innych Tomków („nie rób drugiemu co tobie nie miło”). Charakterystyczna jest tu dyskrecja delegacji sowieckiej w ONZ we wszystkich sprawach wewnętrznych Hiszpanii. Skądinąd oczywiście istnieje również równoległy specjalny aparat propagandy komunistycznej, działający w odwrotnym kierunku. Jest to zresztą argument, który przemawia w pierwszym rządzie do prawicy — stąd (między innymi) całkowity brak głosów prawicowych w sprawie Listu Trzydziestu Czterech.

To doprowadza nas do odpowiedzi na drugie pytanie, która jest równie prosta: postaram się wykazać, że sprawa listu Trzydziestu Czterech była nie tylko całkowicie obojętna zachodnim rządóm i aparatom propagandowym, ale że w danej chwili uznano ją za żenującą. Oraz, że protesty (nie licząc polskiej emigracji, której reakcja jest jak zawsze skomplikowana i zaangażowana emocjonalnie) wyszły właśnie z tych kół zachodniej lewicy, które z największą sympatią powitały polski październik.

Zbiorowe protesty i wyrazy solidarności zachodnich pisarzy i intelektualistów

Zbiorowych protestów zachodnich pisarzy i intelektualistów było, o ile mi wiadomo, siedem: protest angielski (w formie listu do „Timesa”), protest włoski (zamieszczony w „Il Mondo”), protest Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego PEN-Klubu, na zebraniu z 18.IV. w Londynie, protest francuskiej „Union des Ecrivains pour la Verité” w formie listu do Cyrankiewicza, wręzonego ambasadzie polskiej w Paryżu, protest Europejskiej Wspólnoty Pisarzy w formie telegramu sekretarza generalnego Giancarlo Vigorelli de Prezesa Z.L.P., protesty zbiorowe profesorów uniwersytetów amerykańskich Columbia i Harvard. Protest PEN-Klubu Międzynarodowego był tym naturalniejszy, iż jego wiceprezesem jest Jan Parandowski (protestowały również niektóre lokalne PEN-Kluby, m.in. PEN amerykański). Jak wiadomo, jednym z celów PEN-Klubu jest przestrzeganie wolności słowa, stąd szereg protestów PEN-Klubu w ciągu ostatnich kilku lat, dotyczących cenzury czy prześladowania pisarzy w Hiszpanii, Portugalii, Południowej Afryce, na Węgrzech. Równie naturalne są protesty profesorów amerykańskich: wielu z nich zna osobiście i wysoko ceni szereg polskich uczonych, którzy podpisali manifest.

Natomiast protesty intelektualistów angielskich, włoskich i francuskich mają pewne wspólne cechy, które postaram się zanalizować poniżej.

Oto obszerny wyjątek z listu pisarzy angielskich do „Timesa” który wywołał odpowiedź 10 polskich uczonych (18.IV.64.):

„Z niepokojem i troską (*with dismay*) dowiadujemy się o akcji rządu polskiego... który ograniczył wolność słowa i publikacji szeregu wybitnych polskich intelektualistów i pisarzy... Wydaje się pożałowania godne, w okresie w którym perspektywy pokojowego współistnienia między Wschodem i Zachodem wyglądają na polepszone, że Rząd Polski wybrał tego rodzaju akcję. Wypadki z października 1956 wywołały wielkie nadzieje, w tym kraju i gdzie indziej, daleko idącej liberalizacji w dziedzinie kulturalnej i intelektualnej, podczas gdy wysoka wartość niedawnych osiągnięć polskich w dziedzinie filmu, teatru i literatury wywołała nasz podziw. Czy byłoby to zbyt wiele mieć nadzieję, że Rząd Polski potrafi znaleźć sposób nie tylko zlikwidowania obecnych sankcji, ale również spełnienia niewątpliwie umiarkowanych wymagań polskich intelektualistów dotyczących zwiększenia stopnia wolności słowa w Polsce r. 1964 r?”

List podpisali: A. Alvarez, A.J. Ayer, Alan Bullock, David Carver, Peter Hall, Anthony Hartley, Dan Jacobson, Arthur Koestler, Donald G. MacRae, John Mander, Henry Moore, Malcolm Muggeridge, V.S. Pritchett, Bryan Robertson, Andrew Shonfield, Stephen Spender, Kenneth Tynan, John Wain, J.G. Weightman, Arnold Wesker, Angus Wilson.

Protest włoski został ogłoszony w formie listu skierowanego przez Nicola Chiaromonte do najpoważniejszego tygodnika włoskiego „Il Mondo”, zbliżonego do lewicowego „Partito Radicale”:

„Jest gorzką ironią że, podczas gdy na Węgrzech ten sam rząd, który podjął się okrutnej represji powstania z listopada 1956, stopniowo zdejmując więzy z życia intelektualnego swego kraju, w Polsce, rząd który doszedł do władzy dzięki oporowi robotników i intelektualistów przeciw stalinizmowi, w ciągu ostatnich lat ścieśniał do granic coraz węższych wolność słowa...”

Po zacytowaniu tekstu protestu i wszystkich podpisów, oraz represji zastosowanych przez rząd, włoscy intelektualiści stwierdzają:

„Po otrzymaniu wiadomości o petycji uczonych i pisarzy polskich, pewna liczba włoskich intelektualistów chce publicznie wyrazić swoją solidarność z nimi. Oto nasze nazwiska: Giorgio Bassani, Guido Calegero, Nicola Chiaromonte, Giorgio Levi della Vida, Ettore Lo Gatto, Giovanni Maver, Paolo Milano, Alberto Moravia, Riccardo Picchio, Luigi Salvatorelli, Ignazio Silone”.

I dalej Chiaromonte:

„Jestem pewien, że również „Il Mondo” zechce przyłączyć się do tej manifestacji solidarności, ogłaszając petycję intelektualistów polskich, którzy zasługują na sympatię wszystkich ludzi wolnych poprzez upór z jakim oparli się i opierają presji partii, która wydaje się w specjalny sposób dręczyć ducha wolności swoich uczonych i swoich pisarzy”.

Amerykańscy profesorowie z Harvard piszą w liście wręczonym 30 kwietnia ambasadorowi PRL w Waszyngtonie (po podaniu w skrócie faktów):

„Wobec ścisłych więzów między amerykańskimi i polskimi społecznościami uniwersyteckimi i artystycznymi, niżej podpisani protestują przeciw tym sankcjom oraz wyrażają poważną nadzieję, że rząd polski odpowie pozy-

tywnie na apel polskich intelektualistów. Jedynie taka odpowiedź mogłaby pozwolić na kontynuację i dalszy rozwój owocnych kontaktów kulturalnych między Polską i Stanami Zjednoczonymi”.

List ten podpisali: Crane Brinton, Franklin L. Ford, Oscar Handlin, Harry T. Levin, Archibald MacLeish, Richard E. Pipes, William Quine, I.A. Richards, David Riesman, Adam Ulam, Wiktor Weintraub, Morton White, George Williams.

W chwili gdy piszę te słowa, protest francuskiej Union des Ecrivains pour le Verité nie został jeszcze opublikowany, podobnie zresztą jak protest Międzynarodowego PEN-Klubu. W obu wypadkach postanowiono zapoznać się z polską odpowiedzią (a przynajmniej dać czas rządowi — w wypadku Francuzów — czy zarządowi polskiego PEN-u — w wypadku PEN-u Międzynarodowego na przesłanie odpowiedzi). W razie braku odpowiedzi — oba protesty zostaną ogłoszone.

Rzeczą charakterystyczną jest, natomiast, że wszyscy pisarze angielscy, włoscy i francuscy, którzy protest podpisali, są przekonani lewicowych, że niemal wszyscy w swoim czasie z entuzjazmem powitali polski Październik, podczas gdy niektórzy mają wręcz wyraźne sympatie do komunizmu. Również godny uwagi jest fakt, że we wszystkich wypadkach chodzi o pisarzy, którzy byli czynnie zaangażowani w protestach zwróconych przeciw polityce lub cenzurze w swych własnych krajach. List do „Timesa” zawiera nazwiska tych właśnie pisarzy, którzy protestowali przeciw wyprawie sueskiej — oraz kilku zdecydowanych przeciwników brytyjskiej polityki atomowej w ramach NATO. List włoski zawiera nazwiska pisarzy, którzy w sposób najbardziej ostry zwalczają metody włoskiej cenzury i ingerencję Kościoła w sprawy Państwa. Francuska „Union des Ecrivains pour le Verité” grupuje jeśli nie większość, to znaczną część pisarzy, którzy podpisali „Manifest Stu Dwudziestu Jeden”. Jak wiadomo, pisarze komunistyczni nie podpisali „Manifestu” (dla komunisty, zachęcanie żołnierzy do nieposłuszeństwa to dziś sprawa zbyt drażliwa), tak że „Stu Dwudziestu Jeden” reprezentowało skrajną lewicę niekomunistyczną. „Union des Ecrivains pour la Verité” narodziła się w roku 1956, kiedy kierowany przez komunistów „Comité National des Ecrivains” nie chciał zaprotestować przeciw interwencji sowieckiej na Węgrzech. Niemal wszyscy pisarze niekomunisty (ci właśnie, którzy podpisali Manifest 121) wystąpili wtedy z C.N.E. i założyli „Union des Ecrivains pour la Verité”. Pierwszy wniosek: solidarność z Trzydziestoma Czterema wyrazili publicznie na Zachodzie tylko pisarze lewicowi, będący sami antykonformistami i nie wahający się ostro występować przeciwko własnym rządowi. Ciekawy szczegół, rzucający charakterystyczne światło na polityczne oblicze sprawy: na Komitecie Wykonawczym PEN-u Międzynarodowego w Londynie, na 23 delegacje z różnych krajów świata, cztery tylko delegacje głosowały przeciw projektowi protestu: czeska, węgierska, bułgarska i... francuska.

Francuzi, którzy nie chcieli urazić Gomułki, to tradycyjny, prawicowy pisarz francuski Yves Gandon i sekretarz generalny PEN-u francuskiego Jean de Beer, jeden z najbardziej zapalonych propagandystów reżymu gaullistowskiego.

Jeszcze bardziej charakterystyczna jest reakcja COMES-u (Europejskiej Wspólnoty Pisarzy). Włoskie pismo „Il Messaggero”, w artykule o proteście 34-ch wyraziło zdziwienie, że represje zastosowane wobec polskich intelektualistów nie wywołały reakcji COMES-u, który zawsze ostro — i jak najbardziej słusznie — protestuje przeciw prześladowaniu pisarzy w Hiszpanii, w Portugalii, w Afryce Południowej. Należy tu opisać w kilku słowach sytuację COMES-u, aby zrozumieć dlaczego Vigorelli był obecnie specjalnie wrażliwy na tego rodzaju zarzut. COMES zorganizował ubiegłego lata międzynarodowe spotkanie pisarzy w Leningradzie. W czasie tego spotkania, być może niesiony krasomówczym zapętem, być może — jako były gorliwy faszysta — specjalnie na problem faszystwu uczulony, Vigorelli oświadczył że COMES jest organizacją otwartą dla wszystkich pisarzy, bez względu na ich przekonania ideologiczne czy polityczne, „z wyjątkiem antykomunistów: antykomunizm — twierdził Vigorelli — to równia pochyła w kierunku faszystwu. Niestety, wielu członków COMES-u, którzy nie tylko nigdy faszystami nie byli, ale czynnie, od pierwszej chwili, z faszystwem walczyli, uważa się za antykomunistów dla tych samych powodów, dla których byli i pozostali antyfaszystami. Wśród nich znalazło się nawet paru wiceprezesów COMES-u: angielski pisarz John Lehmann i Belg Victor Van Vriesland, skądinąd prezes Międzynarodowego PEN-Klubu. Oświadczenie Vigorellego, ogłoszone z triumfem przez prasę komunistyczną, spowodowało kilka głośnych dymisji oraz list Van Vrieslanda — w imieniu PEN-Klubu — do Ungarettiego — prezesa COMES-u. W liście tym Van Vriesland pytał Ungarettiego (ten wielki poeta był mniej zapalony ale równie oficjalnym członkiem partii faszystowskiej jak Vigorelli) czy COMES rzeczywiście reprezentuje punkt widzenia wypowiedziany przez Vigorellego. Jeśli tak — ciągnął Van Vriesland — należy się zastanowić czy statuty PEN-Klubu pozwalają jego członkom należeć również do tak zaangażowanej organizacji jak COMES. Zanim Van Vriesland otrzymał odpowiedź od Ungarettiego, list jego został zaatakowany w artykule Surkowa, ogłoszonym w międzynarodowych „Problemach Komunizmu”. Ta osmoza korespondencji poufnej między Florencją i Moskwą wywołała burzę, po której COMES zdecydował się wycofać ze stanowiska zajętego przez swego sekretarza generalnego, skromniej deklarując, że „jako organizacja” nie może być „antykomunistyczną”, w tej samej mierze w jakiej nie może być „antyliberalną” czy „antychrześcijańską”. Zapytanie „Messaggero” dawało więc być może Vigorellemu dogodną okazję zaznaczenia, że COMES jest w sprawach wolności słowa obiektywny. Oto tekst jego telegramu do Iwaskiewicza:

„Drogi Prezesie, prasa włoska i zachodnia prowadzi intensywną polemikę

o świeżej wypowiedzi intelektualistów polskich i spowodowanych nią oficjalnych sankcji, które dotknęły również sześciu naszych członków: Andrzejewskiego, Dąbrowską, Kowalską, Parandowskiego, Wykę, Zagórskiego. Pragnę zostać natychmiast poinformowany szczegółowo przez Ciebie, jako Prezesa a również jako autorytatywnego członka naszego zarządu, o tym poważnym incydencie. Jeśli potrzeba, gotów jestem pojechać do Warszawy aby przestudiować w duchu ufnej przyjaźni tę przykrą sprawę i aby razem znaleźć godne i pilne rozwiązanie w całkowitej zgodzie z waszymi prawami, ale również w całkowitej wierności ideałom COMES-u. W oczekiwaniu na Twoją odpowiedź, proszę Cię abyś wyraził mój niepokój i wspólną odpowiedzialność oraz nadzieje wszystkich natychmiastowej pomocy interwencji. Wspólnota Europejska Pisarzy ponawia swój szacunek i wiarę w rząd polski i naród polski, pozdrawia z podziwem Związek Literatów Polskich, ale z równą lojalnością i zalem protestuje solennie przeciw groźnym sankcjom zapowiedzianym w stosunku do pisarzy, naszych członków, i w każdym razie naszych kolegów. Drogi Iwaskiewiczu, dajmy wspólnie raz jeszcze przykład braterskiej współpracy potwierdzając, że jakiegokolwiek trudności wzmacniają a nie osłabiają naszą wolę owocnego dialogu między pisarzami zachodnimi i pisarzami socjalistycznymi. Serdeczne pozdrowienia. Giancarlo Vigorelli”.

W dalszym ciągu swego listu do „Il Messaggero”, Vigorelli podaje szczegóły, które w każdym razie w sposób najbardziej autorytatywny demontują tezę dziesięciu polskich uczonych w liście do „Timesa” jakoby nie było represji...

Vigorelli pisze:

„Pod nieobecność Iwaskiewicza, który właśnie wyjechał do Włoch, telegram został przeczytany przez pisarza Jerzego Putramenta, spełniającego funkcje prezesa Z.L.P., który natychmiast do mnie zatelefonował i zapewnił mnie, że kryzys ma wszelkie możliwości, a nawet gwarancje, rozwiązania albo przynajmniej złagodzenia i który oświadczył, że protest COMES-u — jak najbardziej stanowczy, ale nie tendencyjny — został wzięty jak najbardziej poważnie pod uwagę i że da on niedługo swoje owoce”.

W międzyczasie — ciągnie Vigorelli — przyjechał do Rzymu Iwaskiewicz, z którym rozmawiał on intensywnie przez dwa dni, wciąż telefonując do Warszawy.

„Otóż prezes Iwaskiewicz poinformował mnie w sposób o wiele bardziej szczegółowy niż dzienniki włoskie czy zagraniczne o audyencji danej przez Cyrankiewicza delegacji spośród Trzydziestu Czterech pisarzy „protestujących” i zapewnił mnie, że kryzys idzie w kierunku rozwiązania, oraz że sankcje zostały już bądź odwołane, bądź ograniczone”.

Ucieszny to paradoks, że jedyne potwierdzenie ze strony samych polskich władz, że sankcje i represje przeciw Trzydziestu Czterem odpowiadają prawdzie, przedostało się zagranicę za pośrednictwem właśnie Vigorellego.

Głosy Prasy

Ten polityczny profil kół, które wyraziły na Zachodzie solidarność z Trzydziestoma Czterema — lewicowy, liberalny, anty-

konformistyczny — potwierdzi przegląd artykułów prasowych na ten temat. Zaczynamy od Anglii:

„The Observer”, najpoważniejsze liberalno-lewicowe niedzielne pismo brytyjskie komentuje manifest i związane z nim represje w artykule redakcyjnym z 19.IV.1964.

„Polska, która była w awangardzie liberalizacji w bloku sowieckim, stoczyła się teraz w tył za inne kraje, takie jak Węgry. Szczególnie niepokojącą jest ostatnia represja wolności intelektualnej i wolności słowa”. (Po podaniu faktów „Observer” wyciąga wnioski): „Problem pogodzenia komunizmu z pewnym stopniem wolności publicznej dyskusji nie jest oczywiście ograniczony do Polski. Być może sytuacja, która się wytworzyła w Polsce po 1956 była zbyt dobra żeby mogła trwać i że partia komunistyczna siłą rzeczy musiała na nowo potwierdzić swój absolutny autorytet. Ale gdzieś, kiedyś, któryś z rządów komunistycznych będzie musiał przekroczyć ten Rubikon — gdyż w przeciwnym razie komunizm stanie się równie zastępy jak Kościół Średniowieczny”.

W tym samym „Observerze” znajdujemy jednak i odmienny ton, w artykule korespondenta pisma w Warszawie, Neal Ascher-sona z 25.IV. Rozmawiał widać z jednym z „przekonanych złytoptaków”:

„Jeden z pisarzy (czy nie raczej jeden z uczonych? przyp. mój) powiedział mi: „Nie możemy nadal zachowywać się tak jakbyśmy byli członkami liberalnej międzynarodówki i apelować do zachodniej opinii, tak jakby była w stanie wpłynąć na sytuację tutaj. A zresztą rząd wie jak reagować na demonstracje i ataki publiczne: natomiast nie wie jak sobie dać radę z nienaganą przyzwoitością i dyskrecją”.

Argument genialnie dopasowany do Anglików, u których do-tychczas pokutują resztki mitu o niezwalczonej sile „gentlemana”: dzikusy nie wiedzą jak sobie poradzić z facetem, który w dżungli je obiad w smokingu i pokotem padają na kolana przed „Białym Sahibem”. „Na rybę? Z nożem?!!”. Niestety, gentleman, którego rekin przekonał o potrzebie „nienagannej przyzwoitości i dyskrecji” zostaje natychmiast przez rekina pożarty.

Z tego samego artykułu, perełka mimowolnego humoru na temat Jana-Józefa Lipskiego:

„Człowiek, który podobno dostarczył tekst listu do prasy został na krótko uwięziony, gdzie go zresztą potraktowano z wielką gościnnością”.

„Times” podał tekst manifestu i obszernie, obiektywne informacje o przebiegu wypadków. Z pism konserwatywnych, „Daily Telegraph” zamieścił również obszernie informacje. Charakterystyczne, że żadne pismo angielskie zdecydowanie prawicowe (jak „Daily Express”) nie zamieściło żadnego nawet echa na ten temat.

We Francji, jedyne pismo, które sumiennie i obiektywnie przedstawiło cały przebieg sprawy, to oczywiście „Le Monde”. W numerze z 21.IV., w obszernym artykule, Bernard Féron cytuje list i wszystkie podpisy oraz stwierdza:

„Tekst był podpisany przez pisarzy, których wierność reżymowi wydaje się niewątpliwa. Większość z nich należała przed wojną do środowiska liberalnego lub socjalistycznego... Ostatnie wydarzenia wykazują, że nie ma już atmosfery zaufania między intelektualistami polskimi i władzą, która wydaje się coraz bardziej poddana wpływowi „partyzantów”. Wiele już razy były oznaki napięcia między pisarzami i kadrami partyjnego aparatu. Większość pism, które siedem i osiem lat temu prowadziły kampanię na korzyść Gomułki, zostały zlikwidowane... Ale obecny kryzys jest może poważniejszy od poprzednich. W każdym razie, nigdy jeszcze od r. 1956 pisarze o wielkiej sławie nie zorganizowali petycji domagającej się zmiany polityki”.

Jedyny francuski dziennik poza „Le Monde”, który zabrał głos, to „Combat”. Oto urywek z artykułu z 3.IV.64:

„Wydaje się obecnie oczywiste, że olbrzymie błędy zostały popełnione przez niektórych przywódców polskich. Likwidacja doświadczenia odnowy i odnowienia, rozpoczętego w r. 1956, doświadczenie, które mogło się rozwinąć tylko w klimacie swobody intelektualnej, było bardzo ciężkim ciosem dla lewicy polskiej i dla lewicy światowej. Bez wątpienia, należy się bardzo surowo osądzić odpowiedzialnym za tę klęskę, której konsekwencje na długą metę będą groźne dla Polski, która dotąd wydawała się być krajem raczej liberalnym”.

Uderza całkowite milczenie prawnicowe i „programowo antykomunistyczne” „Le Figaro”, jak również „Le Figaro Littéraire”!

Z tygodników, lewicowy „Express” podaje — w obramowaniu — obszernie streszczenie protestu, wspomina szereg wypowiedzi polskich w ciągu ostatnich lat w obronie swobody intelektualnej, i pisze:

„Faktycznie jednak, sprawujący władzę, to jest p. Gomułka, mnożył od tego czasu pogroźki pod adresem pisarzy „zwracających się ku Zachodowi po natchnienie” i dziennikarzy, którzy „mają skłonność do praktykowania destruktywnej krytyki i siania goryczy i sceptycyzmu”. W tym to klimacie pogroźek, cenzury i ograniczeń papieru w stosunku do niekomunistycznych pism — ciągnie „Express” — Manifest 34-ch został przekazany prasie zagranicznej 28 marca, w dziesięć dni po oddaniu go p. Cyrankiewiczowi — który pozostawił go bez odpowiedzi”.

Przytoczmy jeszcze bardzo solidarne wystąpienia dwóch lewicowych miesięczników: „Esprit” i „Preuves”. Natomiast żadne z czasopism prawicowych w ogóle tej sprawy nie porusza.

Przejdźmy do Włoch.

„L'Espresso” należy do tzw. pism „progresywnych”. Prowadzi zdecydowaną politykę „odprężenia”, jest umiarkowanie antyame-rykańskie, jego ekspertem od spraw bloku komunistycznego jest Izak Deutscher. Tym bardziej charakterystyczna jest notatka tego pisma (z 26.IV.1964) pt. „Polski Zdanow”:

„Wystarczy wiadomość taka jak ta, która przysłała ostatnio z Polski, gdzie Gomułka zastosował represję w stosunku do najbardziej żywych sił kultury polskiej, aby zrozumieć jak bardzo odwilż polityczna i kulturalna w Europie

Wschodniej jest powolna i podatna do nieoczekiwanych powrotów w kierunku niedawnej przeszłości”.

Po streszczeniu manifestu 34-ech i podaniu głównych podpisów, „Espresso” ciągnie:

„Reakcja Gomułki zdumiała w pierwszym rządzie tych, którzy dotychczas uważali polskiego przywódcę za najbardziej zdecydowanego poplecznika destalinizacji w dziedzinie kulturalnej... Wypadki tego rodzaju skłaniają do gorzkiej refleksji: jeśli należy oczywiście cieszyć się z wszystkich tych przejawów czy faktów, które wykazują rozwój demokratyczny reżymów komunistycznych, nie należy zapominać, że brak jakiegokolwiek poważnej gwarancji ciągłości tego procesu sprawia, iż możliwe jest dziś jeszcze niesprawiedliwe policyjne prześladowanie intelektualistów”.

„Corriere della Sera” dało obszerne i obiektywne informacje o przebiegu sprawy. Ale „Corriere” to włoski odpowiednik angielskiego „Timesa”, konserwatywne pismo o tradycji liberalnej. Zanotujmy jeszcze głosy lewicowego tygodnika „Il Punto”, który w numerze z 11.IV. przedrukował na pierwszej stronie tekst Manifestu wraz z wszystkimi podpisanymi, oraz doniósł o aresztowaniu Lipskiego. Socjaldemokratyczne pismo „L’Umanita” z 15.IV. podało fakty również na pierwszej stronie i w obramowaniu, pt. „Dyktat Gomułki”.

W miesięczniku „Tempo Presente” (marzec-kwiecień), Gustaw Herling podał tekst Manifestu wraz z podpisanymi oraz napisał w komentarzu:

„W jakiegokolwiek formie by się mogła wyrazić, solidarność intelektualistów włoskich z podpisanymi pod tym protestem narzuca się sama przez się”.

W kilka dni później ukazał się zbiorowy protest intelektualistów włoskich w „Il Mondo”.

Podobnie jak we Francji, włoskie pisma pravicowe milczały. Najbardziej na prawo trzeba zaliczyć głos demochryścijańskiego „Il Messaggero” oraz pravicowo-liberalny „Giornale d’Italia”, który ograniczył się do podania faktów.

W Szwajcarii, „Gazette de Lausanne” z 23.IV.64 ogłosiła bardzo obszerny artykuł François Landgrafa pt. „Bunt Trzydziestu Czterech”. Landgraf szczegółowo analizuje polską sytuację polityczną, kulturalną i gospodarczą i pisze:

„W tych warunkach, p. Gomułka nie może sobie pozwolić na ostry konflikt ze swymi intelektualistami, konflikt, który by się szybko rozszerzył”.

Najlepiej ze wszystkich pism zagranicznych była oczywiście jak zwykle poinformowana „Neue Zürcher Zeitung”, która w szeregu artykułów swego wschodnioeuropejskiego eksperta (począwszy od 8.IV.64) zdała dokładnie sprawę z całego przebiegu wypadków.

W Danii obszernie zajął się protestem i represjami lewicowo-liberalny główny dziennik duński „Information”.

Obfite głosy prasy amerykańskiej, ale podobnie jak w Europie, protest zainteresował w pierwszym rządzie pisma liberalne. „New York Times” w depeszy swego korespondenta z Warszawy, datowanej z 17 kwietnia, daje obszerną wersję wypadków i donosi, po raz pierwszy, że „zastosowano nacisk w stosunku do autorów protestu, aby wycofali swoje podpisy. Dwóch uległo, ale 32-ch się oparło”.

„New York Herald Tribune (19.IV.64) w depeszy swego korespondenta w Warszawie Arnolda Beichmanna, podaje również obszerne sprawozdanie, wraz z tekstem Manifestu, i pisze:

„Dwóch spośród protestujących intelektualistów dokonało technicznego wycofania. Profesor Jan Szczepański z uniwersytetu łódzkiego, który był gościem uniwersytetu w Stanford w r. 1960-61 oraz Kazimierz Wyka, profesor literatury oraz pro-rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, odpowiedzieli na presję rządową stwierdzając, że gdyby byli wiedzieli, że list zostanie ogłoszony nie byłiby go podpisali”.

„New York Times” zamieszcza również w numerze z 19.IV. krótki redakcyjny artykuł, w którym protest polskich intelektualistów rozpatrywany jest na równi z innymi trudnościami polskiej partii (kryzys gospodarczy, wewnętrzne tarcia itd.).

Christian Science Monitor” z 4.V. zamieszcza obszerny artykuł Geoffrey Godsell:

„Listy oplakujące niezręczną reakcję polskich władz ukazały się w „New York Times” oraz w „Timesie” londyńskim, podpisane przez czołowych intelektualistów amerykańskich i brytyjskich. Wydaje się, że rząd w Warszawie stara się wynaleźć jakąś formułę, która by pozwoliła mu, zachowując twarz, zmniejszyć rozpowszechniony w Polsce szok i gorycz z jaką przyjęto tę próbę dania intelektualistom nauki. Ale poza bezpośrednim przygnębieniem istnieje oczywiście niebezpieczeństwo — dla p. Gomułki podobnie jak dla Polski — jeśli Gomułka będzie nadal stawiał intelektualistów w coraz bardziej rozpaczliwej sytuacji. Polacy nie byli nigdy narodem uległym”.

Wbrew temu co tak uparcie twierdzi reżymowa propaganda — żadnych wyrazów solidarności z Trzydziestoma Czterema, żadnych redakcyjnych komentarzy w Niemczech Zachodnich. Prasa zachodnio-niemiecka bardzo wstrzemięźliwie i krótko omawiała wypadki. Wyróżnia się długi, dobrze poinformowany artykuł w „Süddeutsche Zeitung” (z 14.IV.) — tyle że autor myli Jana-Józefa Lipskiego z Edwardem Lipińskim.

Obserwowałem z bliska reakcje zachodnich czynników oficjalnych i półoficjalnych oraz zachodniej opinii publicznej na Manifest Trzydziestu Czterech i jego konsekwencje. W skrócie i schematycznie scharakteryzowałbym je następująco:

Zachodnie koła oficjalne uznały wystąpienie polskich intelektualistów za wydarzenie drobne, ale raczej kłopotliwe. Centralnym zagadnieniem jest konflikt chińsko-sowiecki oraz stosunek do tego konfliktu rządów poszczególnych krajów bloku komunistycznego. Należy na długą metę popierać decentralizację, usa-

modzielnianie się poszczególnych krajów komunistycznych. Najpozytywniej oceniany jest kurs rządu rumuńskiego, który mobilizując elementy nacjonalistyczne, zręcznie wygrywa konflikt sowiecko-chiński. Wewnętrzne fermenty i trudności utrudniają rządowi komunistycznym swobodę manewru, osłabiają ich znaczenie w policentrycznej licytacji. Trudno jest oczywiście mówić o jednolitej zachodniej myśli politycznej, ale na ogół zachodnie czynniki polityczne mniej lub bardziej świadomie życzyły sobie zbagatelizowania sprawy polskich intelektualistów.

Skłonności te były oczywiście często racjonalizowane w sposób jak najbardziej dla polskich intelektualistów zyczliwy: „Czy zachodnie protesty nie mogą jeszcze pogorszyć sytuacji tych dzielnych, zacnych, szanownych pisarzy i uczonych?”

Wbrew temu co uparcie twierdzi polska propaganda reżymowa, reakcje na Manifest Trzydziestu Czterech nie były inspirowane przez żadne czynniki polityczne. Raczej przeciwnie: dzięki strukturze demokratycznej doszły do głosu środowiska przywiązujące szczerą nadzieję do liberalizacji kulturalnej świata komunistycznego, środowiska które darzyły po-październikową Polskę najwyższą sympatią i które w swoich protestach wyraziły swój niepokój i rozczarowanie oraz solidarność z ludźmi, którymi Polska zawdzięcza tak znaczną część swego kulturalnego prestiżu w ostatnich latach.

K. A. JELEŃSKI

P.S.: — Przeczytałem „Kontr-Protest” pisarzy i intelektualistów ogłoszony w „Trybunie Ludu”, kiedy artykuł powyższy był już oddany do druku. Potwierdza on moją tezę o niezmiennie szowinistycznym charakterze każdej polskiej propagandy, sanacyjnej, endeckiej czy „komunistycznej”. Gdyby kierownictwo Partii zredagowało uczciwy i poważny tekst, głoszący na przykład:

„Niżej podpisani pisarze polscy, przekonani że budowa komunizmu jest celem nadrzędnym, któremu należy podporządkować wszystkie inne cele, stwierdzają: 1) że ograniczenia papieru na druk książek i pism są koniecznym ze względów dewizowych poświęceniem na rzecz gospodarczej równowagi PRL; 2) że reakcyjny charakter szerokiej opinii polskiej z jednej strony, z drugiej zaś socjaldemokratyczne i liberalne przesady znacznej części inteligencji w pełni usprawiedliwiają ostrą cenzurę prasową; 3) że istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, wolności dyskusji i dostępu do obiektywnej informacji nie są wcale istotnym wskaźnikiem postępu, który mierzyć należy jedynie tempem likwidowania burżuazyjnych pozostałości i przesądów (czyli w polskich warunkach tempem kolektywizacji oraz walki z kościołem katolickim”

— nie zdołano by prawdopodobnie pod tym tekstem zebrać ani jednego podpisu. Ale wystarczy uderzyć w ton: Polska dla Polaków, wara od naszych spraw, nie będzie Niemiec itd. — a „Polonus naturaliter endecianis” podpisuje oburącz.

Suche oko

Gdyby sądzić z życiorysu Anny Achmatowej *Krótko o samej sobie*, włączonego do antologii sowieckiej z roku 1961, wielka poetka rosyjska została na mocy jakiegoś dekretu prawie pozbawiona ludzkiego prawa do prawdziwej autobiografii. Czyta się te zdania z nieodpartym uczuciem, że ręka ich autorki nie śmiała ani razu tknąć własnego życia poniżej pewnego schematycznego naskórka, typowego dla urzędowych podań.

„Urodziłam się 11 czerwca 1889 roku koło Odessy. Mój ojciec był wówczas inżynierem budowy okrętów w stanie spoczynku... Nauczyłam się czytać na elementarzu Lwa Tołstoja... Miałam jedenaście lat, kiedy napisałam mój pierwszy wiersz... Ukończyłam gimnazjum żeńskie w Carskim Siole... Zapisalam się na wydział prawa wyższych kursów żeńskich w Kijowie... Przeniósłszy się do Petersburga, uczęszczałam na wyższe kursy historyczno-literackie. W tym czasie pisałam już wiersze... W roku 1910 zarysował się jasno kryzys symbolizmu, i debiutujący poeci nie odczuwali więcej związków z tym kierunkiem. Jedni zgłaszali akces do futuryzmu, inni do akmeizmu. Ja stałam się akmeistką... W latach 1910 i 1911 spędziłam dwie wiosny w Paryżu... W roku 1912 odbyłam podróż po północnych Włoszech. Wrażenie, jakie zrobiły na mnie architektura i malarstwo włoskie, było ogromne: podobne do snu, który pamięta się całe życie... W roku 1912 ukazał się mój pierwszy tomik wierszy *Wieczór*... W roku 1914 wyszedł drugi tomik *Różaniec*... W roku 1917 wyszło *Białe stado*... Po Rewolucji Październikowej byłam zatrudniona w bibliotece Instytutu Rolnego, współpracując jednocześnie z różnymi pismami. W roku 1921 ukazał się zbiorek *Przydrożne ziele*, a w roku 1922 *Anno Domini*. Od roku mniej więcej 1925 zaczęłam z wielką pasją i z wielkim zainteresowaniem studiować architekturę starego Petersburga, oraz życie i twórczość Puszkina... Wojna roku 1941 zaskoczyła mnie w Leningradzie. Pod koniec września, już podczas oblężenia, przeniosłam się samolotem do Moskwy. Do maja 1944 mieszkałam w Taszkencie (1), wsluchując się z napięciem w wiadomości z Leningradu i z frontu. Jak inni poeci,

(1) Tam właśnie poznał ją w roku 1942 Józef Czapski (por. *Obłoki i gółbie w Na nieludzkiej ziemi*).

czytywałam często wiersze rannym żołnierzom w szpitalach... W maju 1944 wróciłam samolotem do Moskwy wiosennej, już pełnej radosnych nadziei i oczekiwania bliskiego zwycięstwa. W czerwcu wróciłam do Leningradu... Czytelnik tej książki przekona się, że nie przestałam pisać wierszy. Tkwi w nich mój związek z czasem, z nowym życiem mojego narodu. Kiedy je pisałam, żyłam rytmem rozbrzmiewającym w bohaterkiej historii mego kraju. Jestem szczęśliwa że żyłam w takich latach i że byłam świadkiem zdarzeń, które nie mają sobie równych”.

Jest w zasadzie prawdą (jak zobaczymy dalej), że Achmatowa żyła rytmem rozbrzmiewającym w historii jej kraju ojczystego; ale budzi wątpliwości twierdzenie, że były to lata szczęśliwe i nieróżnane (jakkolwiek pojęcie „zdarzeń, które nie mają sobie równych” może posiadać także odcień pejoratywny, lub w każdym razie dwuznaczny). Profesor Renato Poggioli mówi w *The Poets of Russia* nieco więcej:

„W roku 1921 wybitny poeta Nikołaj Gumilew, z którym Achmatowa rozwiodła się pod koniec wojny, został rozstrzelany jako kontrrewolucjonista. Achmatowa przeżyła głęboko okrutną i gwałtowną śmierć ojca swego syna, ale postanowiła nie opuszczać Rosji, gdzie przez dwadzieścia przeszło lat żyła pogrążona w samotności i milczeniu, za jedyne go towarzysza mając własny ból. Prócz garstki przekładów i kilku szkiców literackich nie zdołała ogłosić nic aż do roku 1940, kiedy ukazały się jej nowy tom *Wierzba* i wybór starych wierszy *Z sześciu ksiąg*. Jej sława odżyła w sprzyjającym klimacie zwycięskiej wojny, podczas której jej syn odznaczył się w lotnictwie sowieckim. Ale w roku 1946 wydrukowawszy parę wierszy w leningradzkim miesięczniku *Zwiewda*, poetka stała się przedmiotem ataku Żdanowa. Sowiecki dyktator kulturalny obrzucił Achmatową obelgami, określając ją jako typową przedstawicielkę poezji pozbawionej treści i obcej narodowi rosyjskiemu (Poggioli zapomniał najwidoczniej o głośnym zdaniu Żdanowa, w którym policzek wymierzony Achmatowej posunął się aż do nazwania jej „skrzyżowaniem prostytutki z zakonnicej”). Poetka została wydalona ze Związku Pisarzy Sowieckich i znowu zamilkła. W kilka lat potem wyszła napowrót z cienia, ogłaszając w roku 1950 i 1956 szereg wierszy które odślaniają nietknięte mi-strzostwo jej sztuki”.

Ale nawet ten profil naszkicowany przez rusycystę włoskiego ma luki, a raczej jedną wielką lukę. Prócz śmierci Gumilewa, drugim kolcem w życiu Achmatowej był jej jedyny i uwielbiany syn. Fakty znane są tylko w przybliżeniu. Sowiecki krytyk literacki Zawaliszin, który po ostatniej wojnie zdecydował się zostać na Zachodzie, ujawnił około roku 1950 na łamach organu emigrantów rosyjskich *Nowoje Russkoje Słowo*, że młodziutki syn Achmatowej i Gumilewa padł ofiarą masowych aresztowań w najczarniejszym okresie terroru stalinowskiego, w latach Jagody i Jeżowa (1934-1938). Nie wiadomo o co go oskarżono; można jednak przypuszczać, że na jego chłopięcą prawie głowę spadły „winy” ojca. Nie wiadomo również ile lat musiał spędzić w więzieniach i łagrach. Za rzecz pewną Zawaliszin uważa

tylko to, że dzięki interwencji córki Mołotowa, zagorzałej wielbielki poezji Achmatowej, syn dwojga poetów został ostatecznie „ułaskawiony” i zwolniony. I jak widać z noty profesora Poggioli, w sam czas by wstąpić do lotnictwa sowieckiego i odznaczyć się w *otieczestwiennej wojnie*. (Czapski jest dokładniejszy, ale nie podaje źródeł z których czerpał swe informacje: „Syna Achmatowej zesłano w roku 1938. Chłopiec studiował w Moskwie języki orientalne i marzył o wyjeździe do Środkowej Azji. Nikt nie wiedział dlaczego i dokąd go zesłano. Do wybuchu wojny sądzono że znajduje się w Norylsku, później chodziły słuchy że widziano go w Buchcie-Nachodce, w drodze na Kołymę”. Zastanawiające że choć Czapski poznał Achmatową w roku 1942, nic nie słyszał ani o zwolnieniu jej syna, ani o powołaniu go do wojska).

Z tym przejmującym epizodem w życiu Achmatowej związany jest cykl wierszy, który drukujemy poniżej. Tomik ukazał się kilka miesięcy temu w Monachium nakładem *Towarzystwa Zarubieżnych Pisatielej*. Otwiera go krótkie oświadczenie wydawcy: „Otrzymałiśmy te wiersze z Rosji i drukujemy je bez wiedzy i zgody autorki”. Zatytułowany jest *Requiem*. Ale znacznie stosowniejszy byłby dlań tytuł *Stabat Mater*.

Czytając *Requiem*, trzeba pamiętać o jednym. Wspomniałem już na wstępie, że Achmatowa ma niewątpliwie prawo powiedzieć: „Żyłam rytmem rozbrzmiewającym w historii mego kraju”. Ten rytm był jednak dla niej tragiczny, równie tragiczny jak dla Jury Żiwago. „Zaakceptowawszy historię”, i zaakceptowawszy ją jako nieodwracalną siłę natury, stawało się przed wyborem dwóch tylko dróg: zostać na miejscu i cierpieć wraz ze wszystkimi, albo uciec. Tania Żiwago uciekła z dziećmi i rodzicami; Jurij został. Uciekł także Gumilew, na swój sposób, z wyzywającym gestem (mawiał o sobie po Rewolucji publicznie, że jest „przekonanym monarchistą”); Achmatowa została z synem. I to ona sama wyjaśnia swoją decyzję w wierszu bez tytułu i daty, który ukazał się niedawno na łamach krakowskiego *Życia Literackiego* (w przekładzie Wiktora Woroszylskiego):

Nie z tymi co, matego ducha,
Rozdartej ziemi swej odeszli —
Nie z tymi jestem! Nie usłucham
Ich pochlebstw — i nie oddam pieśni.

Tak — żal mi zbiega i wędrowca,
Niczym chorego, niczym więźnia:
Piotunem wszędzie gleba obca,
W gardle łaskawy chleb ugrzęźnie.

*Lecz tu, w czadzącym tyglu losów,
Myśmy, młodości resztki trwoniąc,
Od piersi swej żadnego z ciosów
Nie odwrócili butną dłońią.*

*Więc wiemy że, choć nie łagodna,
Uzna historia w dniu wyroku:
Nie ma dumniejszych, prostszych od nas
Ludzi, o bardziej suchym oku.*

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Requiem

Nie czymś cudzoziemskim niebem,
ani pod ochroną obcych sił
żyłam z moim ludem w dniach potrzeby
tam gdzie, na nieszczęście, lud mój żył.

ZAMIAST PRZEDMOWY

W straszliwych latach jeżowszczyzny, przez siedemnaście miesięcy wystawałam w kolejkach przed leningradzkimi więzieniami. Któregoś dnia ktoś mnie rozpoznał. Wówczas stojąca obok mnie kobieta z błękitnymi wargami, która, naturalnie, nigdy nie słyszała mego nazwiska, ocknęła się z właściwego nam wszystkim odrętwienia i spytała mnie na ucho (wszyscy w tych kolejkach mówili szeptem):

— Potraficie to wszystko opisać?

Odpowiedziałam:

— Potrafię.

Wtedy coś jakby uśmiech przewinęło się po tym miejscu, które niegdyś było jej twarzą.

1 kwietnia 1952 roku. Leningrad.

DEDYKACJA

Nawet góry jak bezsilne karły
ustępują przed takim nieszczęściem,
ale mocno zasuwę się zwały
i za nimi wciąż więzienny barłóg,
rozpacz serce zaciska w pięści.

I

Wzięli ciebie o świtanu białym,
ja za tobą jak za nieboszczykiem.
W mrocznej izbie dzieciaki płakały,
drżąca świeca paliła się z sykiem.

U twych ust zimny dotyk ikony,
pot śmiertelnej na czole troski.
Teraz mi jak żonom powieszonych
wyć po psiemu u murów kremlowskich.

1935.

II

Nurt spokojny w Donu wodzie,
żółty księżyc w dom mój wchodzi:

czapkę zagiął, jak na zwadę —
widzi księżyc widmo blade.

To kobieta schorowana,
to kobieta zawsze sama.

Mąż nie żyje, syn w więzieniu;
módlcie się za nasze cienie.

III

Nie, to nie ja, to ktoś inny tak strasznie się męczy.
Jabym nie potrafiła, a to, co się stało
niech żałobnym sukniem okryją
i niech zabiorą latarnie...

Noc.

IV

Gdybyż wtedy ci powiedziano,
wśród carskich parków zieleni,
w dniach młodości rozchichotanej,
w co się życie twoje zamieni —
że i ty w więziennej kolejce
będziesz stać, by paczkę przekazać.

Tak dla kogoś rzeźwiący wietrzyk,
zachód słońca na niebie czystym —
my nie wiemy, nas dusi powietrze,
zawsze krok żołdacki się wlecze,
zawsze kluczy zgrzyt nienawistny.

Podnosiły się jak do mszy rannej,
przez ulice szły stolicy dzikiej,
spotykali się jak w trumnie szklanej.
Słońce niżej, rzeka pod tumanem
i nadzieja dławi się krzykiem.

Wyrok... Na nią jedną świat się zwałił
niewstrzymanym strumieniem płaczu,
jakby z serca życie jej wyrwali,
jakby w ziemię butami wdeptali,
ale idzie... jak cień się zatacza.

Gdzie jesteście, towarzyszki ciche
tych dwóch strasznych lat w szatańskiej matni?
Co im śpiewa syberyjski wicher,
co się zjawia pod księżycem cichym?
Dla nich śpiew mój i pokłon ostatni.

Marzec 1940.

W S T Ę P

To był czas, kiedy uśmiech na ustach
tylko trupich — bo już śmierć, a więc radość.
I u bram swych katowni się huśtał
zbędnym widmem cień Leningradu.

Kiedy szły, od męki oszalałe,
niekończące się skazańców roty,
kiedy krótkie rozstania sygnały
podawały gwizdki lokomotyw.

Gwiazdy śmierci wisiały nad nami,
drgała Rosja z przetrąconym grzbietem
pod krwią zbryzganymi butami
i kołami więziennych karetek.

i łzą gorzką coraz goręcej
spalać dni z mroźnego żelaza.

Tam się drzewo więzienne kołysze,
martwa cisza — a iluż ich
bez win żadnych zakuto w tę ciszę...

V

Półtora roku krzyk mój trwa już,
i to już wieczność cała.
Do nóg katowskich upadając,
z powrotem cię wołałam.

Wszystko zmyliło się na wieki,
daremnie — nie odróżnię,
kto jest zwierzęciem, kto człowiekiem,
i kiedy padnę w próżnię.

I tylko kurz na kwiatach bladych,
kadzidła, dzwony, nikłe ślady,
wiodące mnie w donikąd.
Ogromna gwiazda niebo mroczy,
spogląda prosto w moje oczy
i grozi zemstą dziką.

VI

Płynie czas i rok już cały,
odkąd cię ode mnie wzięli.
Jak do twojej, synku, celi
białe noce zaglądały,
jak i teraz zaglądają
roziskrzonym sępa okiem
i o krzyżu twym wysokim
i o śmierci nam śpiewają.

VII

WYROK

I zwałiło się słowo kamieniem
na ramiona od męki pochyłe...

1939

Cóż — wiedziałam — tego nie odmienię,
trzeba przemoc się na siłę.

Tak zajęta jestem, tak zajęta:
muszę pamięć swoją zamordować,
muszę serce twardym głazem spętać
i nauczyć się życia na nowo.

A jeżeli... Nie potrafię uciec —
lato szepce i dyszy upałem.
Już od dawna wróżyło przeczucie
jasny dzień i dom opustoszały.

1939. Lato

VIII

DO ŚMIERCI

Przyjdiesz czy tak czy owak — więc dlaczego zwlekasz?
Czuję się coraz gorzej — przychodził
Zgasiałam światło, drzwi otwarte — czekam,
aż wdzięcznie zbliżysz się po cichu.

Kształt jakikolwiek przyjmij — ja się nie zatrwożę.
Chcesz — strutym uderz mnie pociskiem
podkradnij się i żgnij bandyckim nożem,
albo zarazy stryczkiem śliskim.

Czy też na inny sposób — ciężkim krokiem,
przed którym ludzkie twarze bledną —
ukaż mi się pod czapką z błękitnym otokiem,
jak innym tyle razy. Mnie już wszystko jedno.

Nad Jenisejem kłębią się tumany,
Polarna Gwiazda stoi nad twym cieniem
i jasny wzrok twych źrenic ukochanych
śmiertelne gasi prerażenie.

19 sierpnia, 1939 — Fontanny Dom

IX

Już ciężkim skrzydłem obłąkanie
okrywa udręczoną duszę
i w mroczne wabi mnie otchłanie
i płyn ognisty chłonać muszę.

i wiem, że już się nie wydzwignę,
bronić się przed nim nadaremnie
wsłuchanej w dziwnych słów malignę,
jakby ktoś obcy mówił we mnie.

I nie pozwala żadnych wspomnień
zabrać, niczego zapamiętać
(choćbym błagała najpokorniej,
żałością i rozpaczą zdjęta):

ani straszliwych syna oczu,
gdy się na drżących nogach ślaniał,
ani nieszczęścia chwili mroczne,
ni więziennego pożegnania;

ni ukochanych rąk dotyku,
ni gęstwy drzew z ogrodów ciemnych,
ni cichnącego w dali krzyku
i słów ostatnich, słów daremnych.

4 maja, 1940 — Fontanny Dom

X

UKRZYŻOWANIE

1.

Anielski chór i trzęsą się czeluście,
niebiosa w żywym ogniu roztopione.
Do Ojca wołał: „Czemuś mnie opuścił”
Do Matki: „Nie płacz nad mym zgonem...”

2.

Zrozpaczonej Magdaleny żałość,
łyzy na ucznia skamieniałej twarzy,

lecz na Matkę w milczeniu zdrętwiała
nikt się nawet spojrzeć nie odważył.

1940-1943.

I

EPILOG

Znam teraz dobrze skurcz w wychudłych szczękach,
powieki, które strach na zawsze zwarzył,
wiem jak klinowym pismem nocna męka
wpisuje się na strony ludzkich twarzy;

jak w puklach włosów, ciemnych jeszcze wczoraj,
nagle przedwczesna srebrzy się siwizna,
jak w drganiu ust ukrywa się pokora,
a śmiech do lęku sili się nie przyznać.

Więc nie za siebie, modłę się za wszystkich,
co w letnią spiekę i mroźną wicherę,
z rozpaczą myśląc o straconych bliskich,
stali wraz ze mną pod ośleplym murem.

II

Znów zbliża się pora skupienia i wspomnień.
Znów słyszę, znów czuję, jesteście koło mnie:

I ta, co chodziła po ziemi wpół żywa,
i ta, co daleko wśród obcych przebywa;

i ta, urodziwa, na życie łakoma,
co rzekła: „Ja czuję się tutaj, jak w domu”.

Tak chciałam wyrzec imiona ich drogie,
lecz spis odebrali, przypomnieć nie mogę.

To dla nich utkałam te wiersze, jak całun,
ze słów, które z własnych ich ust podsłuchałam.

Wspominam ich coraz to czulej i częściej
i będę pamiętać w powrotnym nieszczęściu.

A jeśli zagłuszą ten krzyk udręczony,
ten krzyk, którym skarżą się ludzi miliony,

to niechaj przypomną mnie inni i inne;
niech wspomną w przede dniu żałobnych wspominek.

A jeśli w dalekiej przyszłości potomni
zapagną w tym kraju wystawić mi pomnik,

udzielam mej zgody — niech będzie, niech stanie —
lecz jeden warunek: wystawiać zabraniam

nad morzem, gdzie życie się moje zaczęło —
to już zapomniane i w mroku zginęło.

I stawiać nie wolno w tym carskim ogrodzie,
gdzie widmo rozpacza i szuka mnie co dzień.

Chcę tutaj, gdzie tyle męczyła się czasu,
a rozbić nie mogłam ni krat ani zasuw.

Bo nawet przez śmierci mej spokój i ciszę
zgrzyt wozów więziennych chcę znowu usłyszeć.

Bo nie chcę zapomnieć, jak łoskot brzmi głuchy
i wycie zwierzęce nieszczęsnej staruchy.

By śnieg topniejący wciąż spływał na nowo
jak lzy nieustanne spod powiek spiżowych,

gruchanie gołębi w więzieniu przeklętym
i wolno po Newie niech płyną okręty

1940. Marzec

Anna ACHMATOWA

Z rosyjskiego przełożył: Józef ŁOBODOWSKI

Miasteczko

PRZYPISANE ŁUCJI

Tekst ten ma pewne usprawiedliwienie w ciągu dalszym opowiadania. Dlatego chciałbym tu podać streszczenie całości:

Ola jest małą dziewczynką i mieszka w małym miasteczku. Nawiązuje się pewien kontakt między nią i starym chłopem Żemajtisem. Żemajtis musi iść do bobrów na zlecenie aptekarza i mała prosi, aby ją zabrał ze sobą. Teraz zaczyna się część, która powinna być połączeniem bardzo ścisłych obserwacji, struktur językowych (polsko-litewsko-białoruskich) obyczajowych, geologicznych, przyrodniczych — z równoczesnym wspinaniem się Oli i Żemajtisa na Wielkie Drzewo. Czym wyżej, tym silniej elementy zwykłości podlegają transmutacji i, nie zdając sobie z tego sprawy, dziewczynka i stary chłop, wspinając się ku wierzchołkowi, zbliżają się do samej esencji życia, które jest aglutynacją tamtejszości — wody, bagien, drzew, języka mieszanego. Tak się ma przedstawiać całość.

Miasteczko leżało na skraju szosy. Tuż przed skrzyżowaniem dróg. Na skraju miasteczka było też jasne, zielone jezioro. Nazywali je Jasnoczka. Od głównej szosy uliczka i zaczynają się murywane domy, wreszcie rynek. Na skrzyżowaniu szos stał Chrystus. Murowany. Koło jeziora był nasz Chrystusik: z drzewa, skurczony, zielony, pod daszkiem, który się zapadał.

W willi mieszkała Ola. Jej matka była w miasteczku nauczycielką. Ojciec był i zniknął, zniknął i był, i zniknął. Nigdy Oli nie zdarzyło się zauważyć, jak przychodzi. Brał ją na kolana, pakował cukierki do ust, dziwnie pachniał, przynosił szabelkę, czapkę konduktorską. Chciał, aby urodził się chłopak, aby mogli być na „ty”, kolegować się, być przyjaciółmi, w przyszłości chodzić na dziewczynki. Ola wytrzymywała burzę, którą sprowadzał każdorazowy pobyt ojca. Nic nie było na swoim miejscu, ojciec chodził

pijany z kąta w kąta, służąca uciekała, matka zamykała się w sypialni. Ola była wystawiona na ojca. Nie cierpiała pocałunków, zarostu. Chciała, aby maszerowała z nim przez miasteczko, ale ona odmawiała. — Stój — mówił ojciec. — Usiądź — mówił ojciec. Drgała, szczękała zębami, nie chciała usiąść. Krażyla po pokoju. Zamykała drzwi. — Czego ty chcesz ode mnie? — mówiła czasem. Niekiedy przytulała się do niego. Zapach lawendy, alkoholu. Gonił ją po pokoju. Usiłowała wyskoczyć przez okno. I kazał siedzieć, podczas gdy ona nie miała czasu. Nie miała go nigdy.

Kończył się pobyt ojca. Wyskakiwała natychmiast z pokoju i biegła przed siebie. Zazwyczaj do pani, która miała trzydzieści kotów. Wlatywała do niej, rząc i o odruchach konia — mogła dowolnie ruszać wszystkimi partiami skóry. Pani to była emigrantka z Rosji. Koty miały swoje miejsca na bibliotecze zmarłego męża: półki i każdy kot miał swoje miejsce. Czasem było słychać w nocy z rosyjska mówiącą panią: — Wańka, ty znowu napaskudził.

Za miasteczkiem było jezioro Czarne. Zawsze nieruchome i trzciny na brzegu. Za jeziorem moczary. Czaple i kanał. Gdy się jechało, nie było widać wody. Łódka przedzierała się przez sito-wie. I gdy się w końcu osiągnęło jezioro, trzeba było się zatrzymać: było czarne, nieruchome. Tylko sen, grupa lilii wodnych na drugim brzegu. Przyciągało oczy jak niebo w nocy. Z rzadka ryby. Sumy. Puszczki po drugiej stronie. Na środku mała wysepka, na której rosły widłaki i skrzyp. Łąka pokryta trawą, jasnozielona. Łąka świeża. Trawy były zwodnicze. A gdy Ola próbowała po nich chodzić, to najpierw robiły się jak z gumy. Potem zapadały się.

Czasem Ola stawała w kanale. Nieruchome mgły. Wodorosty, pomiędzy którymi kijanki. Lubiła leżeć nieruchomo i patrzeć jak wodorosty falują. Poruszały się leniwie jak kobieta, która się przeciąga. Strzałka wodna, żabi skrzek, poruszały się ruchem wody, ruchem dobrze znanym i wdzięcznym, który znają fale.

Czasem Ola siedziała przy stole w domu i czytała: „...Z takich środków mechanicznych opiszemy przede wszystkim pesarium... Pesarium metalowe nie może być używane przez kobiety cierpiące na upławy. Wyjmować je trzeba przed okresem...”. Skąd wyjmować? Upławy były to mgliste, białawe postacie, które występowały w bajkach. I opowiadała sobie rytmem Biblii:

— I upławy siadały na wszystkim co żyje i owijały to, i potem pożerały. I wtedy umrze mąż, który obcował z nią, tylko sam. Ale dziewczęce nic nie uczynisz i upławy znikną. A gdy nie znikną, uczynisz ołtarz.

Chodziła też do ogrodu, w którym olbrzymie pająki-krzyżaki ustawiwały niewody. Piotr łapał żywe muchy i rzucał w sieć. Krzy-

żak biegł do muchy i owijał ją śliną, i po tym zostawała tylko mumia muchy.

— Ola, Ola!

— Mamusiu, tylko na chwilę, tylko na chwilę.

Na dole, w ogrodzie, Piotr stał u furtki. Jeszcze dwoje dzieci za nim. Jedno obce, trzyma szczenięta.

— Co?

— Małe psy. Chcesz się bawić?

Podeszła do obcej dziewczynki. Wzięła jedno szczenię. Było ślepe, trzęsące się. Najpierw wywołało obrzydzenie. Potem nieznanne wzruszenie. Zamruczała. Wszystkiego były trzy szczenięta, dwa białe w czarne łaty, jedno żółtawe. Przewróciła je na grzbiet: miało różowy brzuch.

— Idźmy nad Jasnoczkę.

— Dobrze. Jak się nazywasz? — zwróciła się do obcej.

— Marysia.

Marysia, która przyniosła psy, nie miała już żadnego. Pa-trzyła, co będą robić z jej szczeniętami. Wszyscy szli do pewnego lasku, w którym czuli się bezpiecznie. Tam rosły małe sosenki i był mech. Usiedli na ziemi. Piotr podniósł jedno szczenię.

— Zobaczmy, jak długo będzie piszczeć.

Trzymał je parę minut. Marysia odebrała dwa pieski. Zrobiła rodzaj uprząży z trawy i kazała ciągnąć gałąź. Ale nie umiały, roz-pętały się na różne strony.

— Spróbujemy, czy pływają.

— Głupia.

— To co będziemy robić?

— Spróbujemy, czy one potrafią nie żyć.

— Co?

— Głupia. Zrobimy je nie żyć.

— W jaki sposób?

— Będziemy się bawić w pogrzeb.

Nie patrząc na siebie wzajemnie, robili trumny z gałązek.

— Tak się robi.

Przewiązał gałązki trawą.

— Ja będę ksiądz — powiedział.

Włożyli szczenięta do trumien. Szedł na przedzie, za nim dziewczynki. Nieśli trumny ze szczeniętami, na przodzie szedł ksiądz z krzyżem. Szczenięta piszczały. Czy można je zrobić nie-żywe? Muchy to nie był przykład. Chodzi o to, aby były z mięsa. Szli pomału w głąb lasku.

— Tu.

Zatrzymali się. „Tu” było piaszczyste miejsce. Usiadł na ziemi, krzyżem wykopał pierwszy dołek. Jedno szczenię wylazło z trumny.

— Trzymaj je.

Wykopał trzy. Wstał i zaczął naśladować księdza. Trzy dziewczynki stały nieruchomo.

— Nooo! — powiedział.

W milczeniu zagrzebali pieski. Było widać lekkie wzniesienia. Ubijali piasek nogami.

— Nie ruszają się więcej.

— Nie.

— Ale nie umarły?

Jedna chciała iść na stronę. Ola powiedziała, że mama jej pozwoliła wyjść tylko na chwilę. Słońce już zachodziło. Biegła do domu.

— Gdzie byłaś tak długo?

— Bawiliśmy się.

Czuła, że jest wtajemniczona, jakby przeszli wspólnie przez ogień. Jakby byli razem na gwiazdzie. Co uważała za możliwe. Wierzyli, że wszystko jest możliwe, ale nie wiedzieli, co to jest śmierć. Poza tym, jak wieprza rżnęli.

Małe rudziatko (nikt w rodzinie nie był rudy, nawet aptekarz; zachowała się legenda, że babka matki była ruda, ale to nie było pewne) straszło okoliczne dzieci bajkami, w które nie wierzyła. O upławach, o topieniu. Dopiero po tym, jak opowiadała przez godzinę nieprawdopodobne brednie, zaczynała się sama bać. Brednie, od których dostawała gorączki. Więc upławy i pesarium zaczynały walkę. Pesarium miało kłodę z drzewa. Upławy były chytre. Upławy były z przodu i śmiały się, a inne upławy z tyłu dusiły. I używała całych wersetów z Biblii, a dzieci starsze od niej oblatywał strach. Bładły, nie słyszały, jak je wołano. Strach zaciśkał się w niej samej też, tak że urywała w środku i mówiła: — I koniec. Nie mogła złapać tchu. Zjeżona, rude włosy i piegi: mała, centkowana pantera.

Matka Oli była nauczycielką. Zrujnowany dworek z zaniedbanym obejściem. Parę ciemnych wilgotnych pokoi. Pianino, trochę reprodukcji. Parę książek czytanych ciągle, przez pokolenia; ojca pamiętała jeszcze, jego posesję, stary dom za miastem powiatowym, z dziko już rosnącymi jabłoniąmi, album z fotografiami. Obrazy materializowały się na chwilę i znikały: ona, czarnowłosa panna z przyszłym, nieudanym mężem na jakimś balu, matka, której nie pamiętała, i miłość, która się nie udała. Uciezka tutaj z resztkami majątku.

Była tu lubiana za bierną łagodność, urodę mimo utycia, pozostałość prowincjonalnej elegancji. Niektóre dziewczęta, uczennice, kochały się w niej. Niektóre próbowały się tak czesać jak ona i tym zwrócić jej uwagę. Lekceważyła to. Lubiły nosić jej teczkę do domu. Była sprawiedliwa, nie miała faworytów.

Nie miała dobrych znajomych — kobiet. Tylko mężczyźni. Nie brała ich nigdy na serio. Uważała ich za dziwaków, maniaków. Nie żyła z ojcem Oli, dla którego miała pogardę. Żyła natomiast obecnie z aptekarzem. To był szaleniec na swoją modłę, aptekarz wdowiec — tak przynajmniej mówił — chodził przed nią na kolanach dosłownie (na przykład: — Przyjdź tu na kolanach i przeproś), pełzał, w czym już znajdował przyjemność, ślinił się (czego bardzo nie lubiła), był obleśny (co lubiła). Podczas wakacji wyjeżdżali razem. Pozostawiał w aptece zastępcę niedołęgę i po powrocie musiał dużo pracy wkładać, aby naprawić co tamten zaniedbał.

Szaleństwo aptekarza polegało na tym, aby mieć środki naturalne. W witrynie apteki stały dwie ogromne kule, jedna napełniona płynem czerwonym, druga zielonym. Gdy wchodziło się do apteki, dzwoniło i wynurzał się z cienia aptekarz. Wychodził z miejsca, nad którym wisiał ogromny szyld „Laboratorium”. Od znachorów i zamawiaczy skupywał strój bobrowy (wydzielina okołomosznowa), który uchodził za znakomite lekarstwo na serce i choroby nerwowe. Poza tym niedojrzałe makówki, ziele jaskółcze (herba chelidonii), nasiona kulbczycy (semen strychni), ziele lobelii (herba lobeliae) i inne. Kazał uważnie zbierać, o danej porze roku, w miesiącu, przy księżycu czy rannej rosie, a znachorzy i zamawiacze kiwali głowami i wiedzieli swoje. Robił mikstury, od których głowa się kręci, i miał dużo szczęścia, że nie było wypadków śmiertelnych. Naturalnie sprostawał yochimbinę. Preparował, mieszał, dodawał efektywnych barwików i w dzień targowy było u niego pełno. Lekarz, którego wzywano z sąsiedniego miasteczka tylko do umierających, miał skromną praktykę. Za to on przyjmował w laboratorium, gdzie opowiadano mu świństwa, które chciano zrobić, które się udały, które się nie udały.

Miał z tego całą pociechę. Bawił się znakomicie. Był w środku każdej intrygi. Wiedział o wszystkim. To była jego skromna ambicja. Był uczynny. Ułatwiał poronienia przy pomocy sporyszu (secale cornutum). Największy wpadunek miał z kantarydą z przyszczałek (lytta vesicatoria). O mało nie umarł pewien chłop. Rozkoszował się swoimi możliwościami. Mógł mężczyznę doprowadzić do tego, że nie mógł, a kobietę, że bardzo chciała. Był bezkonkurencyjny. Trzeba się było mieć na baczności, gdy się szeptało tajne życzenie. Do niego należała książka ginekologiczna, którą czytała Ola.

Na środku rynku stała Matka Boska. Na niebiesko pomalowana. Wszędzie przeświecały gipsowo białe płyty, farba odpadała, była bowiem znużona zawiejami i deszczem. Koło niej szczypały trawę chude kozy. Kozy były własnością i właściwo-

ścią Icka, który trzymał karcznię. Icek z karczmy miał tuż obok dwie morgi ziemi, które uprawiał. Miał ziemię piaszczystą. Sadził na niej kartofle i trochę jęczmienia. Orał swoim zdechłym konikiem. Kartofle się jakoś udawały. Jęczmień — mało. Icek chodził do chłopów, którzy, w dobrej wierze, dawali całkiem sprzeczne rady. I Icek mówił: — Dlaczego ten jęczmień się nie udawa... Coś z kozy miał w ogóle i głos miał kozi.

Icek orał i modlił się i uczył się. Gdyby nie jego żona, to cała karczma by zmarniała. Żona była w blond peruce, życzliwa, usługująca i poddana losowi. Nie mieli dzieci. Mąż jej jeździł z nią do wielu cadyków, ale nie pomogli.

Lubiła bardzo, gdy pełno było w karczynie. Wtedy czuła się ożywiona, wyrwana ze snu. Latała rozgorączkowana, oczy błyszczące, niebieskie. Do pomocy miała Józkę. Zapisywała na kredę. Kupowała ryby za wódkę. Czuła się lubiana. Nawet pożądana przy swoich trzydziestu latach. Miała już dość awantur z żonami, które przychodziły ją sprać po pysku. Gdy była chora, z drugiej izby komenderowała Józka. Inaczej umarliby z głodu. Ale lubiła żyć na swój nieśmiały sposób i widziała życie, które wieczorem przepływało przez karcznię. Miała dwa pokoje dla noclegów. Więc tak: Sara i Icek.

Jarmark był tylko dwa razy do roku. Już o trzeciej rano wozy z odległych wsi. Stragany. Z piernikami, manufakturą, nasionami, masłem, pieczywem, glinianymi garnkami, zabawkami, naczyniem, wstążkami i koralami. Cygan podkuwał konie. Sprzedawano konie, bydło, drób. Były duże, poważne, gospodarskie interesy i małe zakupy — domowe, kobiece, dzieciinne.

Dzieci były prawie zawsze na jarmarku, bez względu na pogodę. Magicy łykali ogień, stawali na rękach i chodzili. Potem pokazywali blaszkę, która umieszczona na języku pozwala wydawać piski. Z wypłowiałego cylindra wyciągali różne przedmioty, w końcu królik albo para gołębi. Cyganki: — Powróżyć, powróżyć. Katarynka i onanizująca się małpa: — Obezjan-pawian, sam siebie żona, na bok starzy, niech dzieci też popatrzają.

Małpa wyciągała przepowiednie: — Ciemnego blondyna się strzeż. Daleka podróż. Mała nieprzyjemność. List od nieznanego. Nieszczęście a potem złagodzenie.

Budy. Kobieta brodata bez tułowia. W ciemnicy Czary-Mary. Oberwaniec zamawia różę. Skutecznie.

Tak, tłum wielki, budy szewców, łowiący szczury przy pomocy sowy, skupujący skórki kocie, rejwach okropny. Wszelkie relikwie, kostka św. Genowefy, a leki pod masłem. Chłopi pili kwas u Żydówki, ale to już była inna Żydówka. Czosnek w spirytusie, cebula żółciopędna, igły cisu porażające serce. I dawna

legenda o stroju bobrowym (castoreum). Miłek (herba Adonis vernalis).

Kościółek św. Wita, drewniany. Mała kolejka spowiadających się. Z drugiej strony cerkiew. I ciężkie wzdychanie. W zimie drogi są zawiane, w jesieni i na wiosnę wsie są odcięte bagnami. Korzysta się z lata, aby zrzucić trochę grzechów. I pozostawić trochę, aby gryzły. Tak ma się co robić w noc, w zimowe wieczory. Wtedy straszna nuda, boruje bardziej niż grzech śmiertelny. Nie można spać dwanaście godzin. Nawet na piecu. Najwięcej ataków szału w zimie. To nie wystarczy, że rąbie się przełęble i ryby wyskakują na wierzch. Zawraca się głowę snami i strachami. Wynajduje się strachy spod ziemi.

Na jarmarku Ola miała pełne oczy. Była zatumaniona. Każdego jarmarku opłacała bólem głowy. Szła wtedy do domu, kładła sobie gorącą flaszkę na głowę i potem wracała.

Szwendała się za Żemajtisem. Nie odstępowała go. Była zadowolona oniego, choć jej wcale nie znał. Gdy mówił z jakimś chłopem, to nienawidziła chłopca. A jeszcze gorzej z chłopką. Miał małe zawiniątko, z którym wszedł do apteki: „Świeże pijawki”. Długo czekała przed tym napisem. W końcu wyszedł. Chodziła za nim. Zauważył, ale nic nie mówił.

Nagle obrócił się i zapytał, czego chce. A ona milczała. Zapytał znów, a ona milczała. W końcu poprosiła niepewnie, aby ją zabrał do bobrów. Kazał jej się spytać, czy mama pozwala. Poprosiła, aby sam zapytał mamę, bardzo prosiła, aż jej przyrzekł i musiał przyrzekać pięciokrotnie.

— Tylko trochę zabrać. Do lasu. Do bobrów.

Uśmiechnął się. Powiedział, że za dwa tygodnie pójdzie. Spytała, czy na pewno. Na pewno. Złożyła mu ukłon, jaki widziała na średniowiecznych obrazkach. Odkłonił się poważnie, zginając się w pół. Potem poszli w różne strony. Żemajtis był stary, siwa broda, w domu tkany białoszary płaszcz, przewiązany pasem z kutasikami. Nogi w łapciach. Spodnie białe, przypominające gacie. Jeszcze przez chwilę widoczny wśród namiotów i bud.

Bрудna woda płynęła rynsztokiem, nawet na rynku. Poza tym śmierdziało uryną, zwłaszcza w dzień targowy, który wypadał w czwartek. W różne piątki Ola wychodziła niby tak i podpatrywała Żydów. Nie było ich dużo. Sklep Eichlera, kwas, Icek. Brakowało wielu do dziesięciu, aby można było się modlić. A przecież niekiedy modlili się. Kiwali się, mieli pretensję do Boga, krzyczeli, wyzywali nawet głośno. Napierali na Niego. Chcieli, już chcieli od Niego. Robili Mu wymówki. To nie było to co w kościele. Byli jakby z Bogiem bliżej w modlitwie. To, że kiwali się raz w jedną, raz w drugą stronę nie było wcale pokory. Były to gwałtowne ruchy, dawne, pradawne, jak u zwierząt. Ruchy namięt-

ne. Krzyczeli na Boga ostrym głosem. Upominali się o coś, nawet — może — grozili Mu. Taki był ton modlitwy.

W kościele organy grały. To już stwarzało nastrój pokory. Potem chór chłopskich dzieci. I klęczki. Jedno da się stwierdzić, że w kościele było chłodno. I proboszcz, suchy, ostry, miał mowy bardzo wzruszające. A czasem ograniczał się do kilku zdań, skierowanych w powietrze. Ale winny już się pilnował.

Ola bawiła się namiętnie. Tak jak robiła wszystko. Była dzika, chodziła po drzewach, jeździła kódką, rwała owoce, bawiła się w życie, a zwłaszcza bawiła się Marysią, która przyniosła psy. Marysia była potulna, więc denerwowała. Musiała udawać psa.

— Siedz. No, siedz.

I Marysia siadała na ziemi. Dostała kataru pęcherza. Musiała szczekać.

— Siedz, aż tu przyjdę.

I odbywała dalekie spacerki. Sprawiało jej radość, że Marysia będzie na pewno siedzieć jak pies, aż ona wróci.

— Służ.

Gdy Marysia protestowała:

— Nie będziemy się z tobą bawić. Idź sobie.

Przy czym była pewna, że Marysia nie pójdzie.

— Jakbyś połknęła dżdżownicę, to się będziemy bawić.

Marysia połknęła.

— Skocz ze stodoły, to się będziemy bawić.

Marysia skoczyła.

— Przeplętnij kawałek Jasnoczki.

Ole niepokoiły zakopane psy.

— Będziemy się bawić, że ja zakopię ciebie na noc. I zobaczymy.

Ale nie potrafiła wykopać tak dużej dziury, mimo piasku. Więc wykopała mniejszą.

— Udawaj piesków. Za to zrobię z ciebie Pana Jezusa i Wszystkich Świętych. Pod topolą.

I zaczęła się teatralnie modlić:

— Panie Jezusku, zamień się w Marysię, bo ona udaje pieski.

Przeplętnęło stado kaczek.

— No, w co się będziemy bawić.

— Nie denerwuj. Ja jestem mała dziewczynka.

Czasem Ola bawiła się sama sobą. Chciała wiedzieć, jak to jest być ślepym. Kazała się Marysi prowadzić. Czasem używała kijki. Macała co jest przed nią. Chciała wiedzieć, jak się jest kulawym. Przez całe dnie kulała. Matka niepokoiła się.

Umiała już czytać. Nauczyła się niespodzianie wszystkich świętych, rozkładu jazdy, taryfy pocztowej. Umiała na pamięć i bez trudu. Nie zdawała sobie z tego sprawy, aż matka ją przy-

łapała. Bez trudu. „Piątek — Zygmunta, sobota — Marii, niedziela — Florianiana, poniedziałek — Ireny”. Tak wszystkich. Nawet pamiętała podwójnych, potrójnych.

Gdy wieczorem czytała książkę, zdawało jej się, że papier jest przezroczysty. Pod nim widziała różne rzeczy, poruszające się. Zwłaszcza widziała uporczywie człowieka w zawoju poprzez książkę. Nie mówiła o tym, bo by się śmieli.

Widziała też zdarzenia w pokoju. Dziwne stworzenie siedało przed nią i opowiadało. Wiedziała, że ta rzecz się nie nadaje do powtórzenia. Miało skrzydła, było smutne, układało potworny łeb na ładnych białych rękach.

Opowiadało (było odziane w długą czerwoną suknię powleczoną kwiatami, a delikatne ręce o długich palcach ubierał pierścień; położyło prawą rękę na lewym ramieniu i wyprostowało się pokazując zmarszczki na szyi):

— Bóg stworzył świat i ziemię. A w szóstym dniu stworzenia stworzył człowieka, Ewę. Stworzył ją z prochu i tchnął w twarz jej dech żywota. I uczynił wszelkie zwierzęta, ziemskie i morskie, mówiąc człowiekowi: Panuj nad tym. A para wychodziła z ziemi, i wywiódł Bóg wszelkie drzewo wdzięczne na wejrzenie i smaczne ku jedzeniu. Wziął tedy człowieka i posadził go w ogrodzie Eden, aby go sprawował i strzegł. Ale Ewa nie była spokojnego ducha. Przebiegała była jedną krawędź Edenu na drugą. Rzekła do Boga: Źle mi jest i nie wiem, dlaczego. Ale Bóg milczał na wysokościach. Wtedy Zły w postaci węża ześliznął się z drzewa wiadomości Złego i Dobrego i szepnął: Masz tu żebro, niewiasto, i poproś Boga, aby ci uczynił towarzysza. i posłuchała niewiasta. Gdy się obudziła z twardego snu, ujrzała przy sobie męża. Ach — powiedziała. I obłapili się. A wygnał ich wtedy Bóg z ogrodu Eden.

Podniosło pysk i przeciągnęło się:

— Jadłem wszystkie owoce z tego drzewa. A gdy nie starczyło owoców, jadłem liście. A gdy nie starczyło liści, jadłem korę. A gdy nie starczyło kory, jadłem korzenie.

Ola spytała:

— Nic prawie nie rozumiem. Dlaczego opowiadasz to właśnie mnie?

Odpowiedziało:

— A komu bym miał opowiadać, jak nie nieznanym małym dzieciom, którym nikt nie uwierzy?

Ola poczuła się nagle strasznie samotna, za jeziorem Czarne, daleko, w lesie, gdzie się nagle zgubiła i nie mogła znaleźć drogi. W którą stronę biegła, ten sam bagnisty las, ciągle drzewa. Zobaczyła przestrzeń, okno między liśćmi, łąka porośnięta jasnozie-

loną świeżą trawą. Nie próbowała nawet przejść. Wiedziała: moczary, moczary.

Wyskoczyła z łóżka. W przyległym pokoju pali się lampa naftowa, tam była służąca Maryna. Maryna klęczy nad swoim kuferkiem zrobionym z drzewa, malowanym na czarno w kolorowe wzory. Kufer otwarty. Naklejanki. Dużo. Jakiś święty i na samym środku Matka Boska, ciemnoskóra. Zawiniątko. Bielizna świeża. Chusta, którą wkłada co niedziela. Lusterko.

— Co ty chcesz, smarkulo?

— Czy nie było tu nikogo?

— A co by miał być...

— I nic nie słyszałaś?

— A nic.

— Nie słyszałaś, żeby kto ze mną rozmawiał?

Wzruszyła ramionami. Nic nie odpowiedziała. Ola poszła.

Owo siedziało na komodzie:

— Była południca, która nie miała kogo obłapiać. Jej oczy zrobiły się strasznie duże, wygłodniałe...

Maryna śpiewa: „Da worebieja zona śliczna nadobna była, hocki cwir, cwic, nieboże...”

— I błąkała się po bagnach, lasach. Tam znalazła topielca i wskrzesiła na południowe lato. A nim kręciła, kręciła. Stawał się marniejszy topielec. Ciało z niego odpadało, zjadały go pomalutku, pomalutku gawrony. I południca miała z niego mało. Już mu oczy wylazły, już mu noga odpadła.

Maryna: „Śliczna nadobna była, dzień da wieczora piła...”

— Wtedy orłem spadł na nią zły, pazurami chwycił i zamienił na rybią dziewczynę.

Mrugnęła oczami i owo zniknęło. Ola znów z łóżka do komody. Warstwa kurzu starta, gdzie owo siedziało, kurzu, który miała jutro zetrzeć Maryna.

I tej nocy kwietniowo-majowej Ola nie spała. Pod płótem śpi kałuża, nów się jej przygląda, pająk rozstawia sieci i zamarł, niewody srebrne w ogrodzie. Maryna nuci: „Oj kazali ludzie da ludzie...”. Nieruchome, zawieszzone w trwaniu, sumy spały na dnie Czarnego, topielca obgryzają małe rybki, ozimina zaczyna kłosać w lepkiej ziemi, osika drży, trrr, trrr, chrabąszcze mrowią się już na liściach brzozy, długi cień aptekarza stoi i patrzy, czy nadchodzi Zemajtis. I czapła śpi na jednej nodze.

Leo LIPSKI

Archiwum polityczne

Polska - Rosja - Ameryka

„...Polecono nam przywieźć do Moskwy na Święta Październikowe delegacje pisarzy polskich. Cieszyłem się, że będziemy mieli sposobność przyjąć ich tak samo jak oni przyjęli nas. Pojechała z nami słynna pisarka Nałkowska (miała przeszło 60 lat), Kruczkowski, który był podówczas ministrem oświaty i młody poeta Dobrowolski. Do Brześcia jechaliśmy w specjalnym wagonie z wszelkimi honorami, w Brześciu natomiast nikt nas nie oczekiwał. Sprawa wyglądała katastrofalnie: w biurze „Inturist” odmówiono kategorycznie sprzedania biletów na kredyt dla gości, rubli radzieckich oczywiście nie mieliśmy. Nałkowska widząc stojący na peronie pociąg radziecki — powiedziała, że jest zmęczona i chciałyby się położyć. Odpowiedziałem, że jeszcze nie wolno wsiadać. (Pech chciał, że w tej samej chwili wsiadł do wagonu generał, adiutant dżwigał walizy)”

Powyższy epizod przepisuję z pamiętników Ilii Erenburga. W Brześciu nie było nikogo — nikt o niczym nie wiedział — zawstydzony Erenburg pożyczył od sekretarza okręgowego prywatnie trochę rubli i zakupił bilety. Na kolację już jednak nie starczyło.

Pointa tego epizodu jest wielce pouczająca. Stary cynik Erenburg, mrugając znacząco w stronę czytelnika pisze:

„Po roku, kiedy się zaprzyjaźniłem z Dobrowolskim, opowiedziałem mu co wówczas przeżyłem. Śmiał się długo i powiedział: „ależ to czysto polska historia”.

„Teraz” — kończy swą opowieść Erenburg — „nic nas już nie oddziela od Polaków”.

Istotnie nic. Ten sam wschodni, nieopisany bałagan, ta sama drewniana beznamiętna biurokracja, ta sama niewiarygodna pogarda dla zdrowego rozsądku.

Polska jest kluczem Rosji do Europy. Odcięta od Polski — Rosja staje się mocarstwem azjatyckim. Lecz przytoczony powy-

zej epizod — choć błahy i zabawny — symbolizuje pewien proces. To nie my europeizujemy Rosję — tylko Rosja azjatykuje nas. Różnice, które nas dzieliły — istotnie znikają lecz dzieje się to na warunkach rosyjskich.

Niniejszą analizę chciałbym rozpocząć od kilku ogólnych stwierdzeń.

Walkę z Rosją o przywództwo w Europie wschodniej przegraliśmy całkowicie. Za ostatni rozpaczliwy historyczny akt wywodzący się z tej tradycji uznać należy Powstanie Warszawskie, które politycznie — choć nie militarnie — zwrócone było przeciwko Rosji. Związek Sowiecki wyeliminował wszystkich zaborców i jest dziś naszym zaborcą-monopolistą.

Na wielu polach w ostatnich latach 50-ciu Rosja dokonała zdumiewającego postępu i dziś nikt już nie wyprze jej z Europy. *Rolling back policy*, „wyzwolenie” — to wszystko okazało się frazesami bez pokrycia.

Rosji nie tylko nie należy wypierać z Europy — lecz przeciwnie, trzeba ją z Europą związać, by ją móc zeuropeizować. Polska dzięki swej kluczowej, „pomostowej”, pozycji posiada wielkie możliwości w tej materii — lecz jest to gigantyczne zadanie, okazuje się że przekraczające nasze możliwości.

Jeżeli przyjąć, że Polska jest kluczem Rosji do Europy — to w konsekwencji należy stwierdzić, że stosunek Rosji do nas jest w znacznej mierze funkcją jej nastawienia do Europy. W takim razie — jeżeli powyższe rozumowanie jest słuszne — podstawowego znaczenia nabiera odpowiedź na pytanie jaki jest *de facto* stosunek Rosji do Europy na dziś i na jutro?

Rosji niewątpliwie najlepiej odpowiadałyby podział Europy na strefy rosyjską i amerykańską. W Moskwie nie tracą nadziei, że z czasem powiedzie się uzyskać od Amerykanów finalną zgodę na przypiecztowanie systemu jałtańskiego. Jeżeli wyłączyć Berlin — to pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi nie ma punktów spornych na terenie Europy.

Gdyby Europa zachodnia była w równej mierze satelicka jak Europa wschodnia — nic nie stałoby na przeszkodzie, by urzeczywistnić owe wzniosłe sowieckie marzenia. Lecz Europa zachodnia nie jest satelicka i z każdym rokiem staje się coraz bardziej samodzielna. Najpełniej ilustruje ów proces Francja, która ponownie staje się wielkim europejskim mocarstwem.

Satelizacja Europy zachodniej przez Amerykę leżałaby niewątpliwie w sowieckim interesie, ponieważ układ tego typu gwarantowałby poprawne funkcjonowanie systemu jałtańskiego. Z drugiej jednak strony całkowite podporządkowanie Europy zachodniej Waszyngtonowi wzmocniłoby niezmiernie Stany Zjednoczone — przeciwnika nr 1 Moskwy.

Stosunek Moskwy do Waszyngtonu i *vice-versa* jest w pewnym sensie zjawiskiem bez precedensu w politycznej historii świata. Te dwie super-potęgi są bowiem równocześnie wrogami i partnerami. Prezydent Johnson koresponduje z prem. Chruszczowem prywatnie i regularnie. Tak Moskwa jak i Waszyngton są przeciw-

nikami poszerzania klubu atomowego. W tej sprawie występują jako partnerzy dyrektoriatu atomowego, który rządzi światem (do czasu).

Siła atomowa Francji uszczupla wyłączną do niedawna władzę dwóch dyrektorów monopolu atomowego. Poza tym Francja operując swoją poza-monopolową, niezależną siłą atomową — może wciągnąć do wojny przeciwko Rosji Stany Zjednoczone nawet wbrew woli Waszyngtonu.

Jeżeli jednak ten sam problem rozpatrywać będziemy nie z punktu widzenia partnera lecz wroga — to wypadnie stwierdzić, że uniezależnienie się Francji w pewnym stopniu osłabia pozycję Stanów Zjednoczonych, wroga nr 1 Moskwy.

W owej dwoistości nie ma niczego tajemniczego czy złowrogiego. Pokój świata zależy wyłącznie od Waszyngtonu i Moskwy (do czasu). Obie super-potęgi nie pragną wojny — ponieważ tak Rosja jak i Ameryka na wojnie mogą tylko stracić. W dziedzinie utrzymania tak pokoju jak i potencjałów atomowych wyłącznie w swych rękach — Moskwa i Waszyngton pomimo wzajemnej nieufności — działają jako partnerzy. W dziedzinie ideologii, wpływów, „małych wojen” — występują jako wrogowie.

Dwoistość tego stosunku powoduje, że nie każde osłabienie Stanów Zjednoczonych leży w bezpośrednim interesie Moskwy. I odwrotnie, nie każde osłabienie Sowietów leży w bezpośrednim interesie Stanów Zjednoczonych (Chiny!).

Wymancypowana Europa z własnymi siłami atomowymi — kierowana hegemonicznie przez oś Paryż-Bonn — może częściej i wydatniej spędzać sen z powiek przywódcem na Kremlu — niż Europa zarządzana przez prokonsulów amerykańskich.

Jak zaznaczyłem, dwu-biegunowy system światowy jest zjawiskiem bez analogii i bez precedensu. Nie można go obiektywnie nazwać ani Pax Americana ani Pax Sovietica. Ów system stanowi dowód (jeżeli dowody komuś są potrzebne), że proces historyczny składa się z łańcucha zjawisk jednorazowych i niepowtarzalnych. W konsekwencji, nie może być mowy o prawidłowościach czy żelaznych „prawach” rozwoju historycznego.

System „wielkiej dwójki” niezmiernie odpowiadał Sowietom. Dramat Moskwy polega jednak na tym, że nim ów system zdołała w pełni ulegalizować — rozpoczął się rozkład. Zwrócił na ów fakt uwagę również amerykański autor Roberto Ducci.

Podstawę systemu dwu-biegunowego stanowią bloki państw, które uznają przywództwo hegemonów: Zachód przywództwo Ameryki — „blok państw socjalistycznych” przywództwo Związku Sowieckiego.

W obu blokach działają siły odśrodkowe. Blok zachodni nigdy nie był monolitem, wskutek tego prez. de Gaulle nie spełniał identycznej roli na Zachodzie, jak Mao na Wschodzie. Blok wschodni był jednak monolitem i Mao nie tylko rozbił ten blok, lecz podważył fundament światowego systemu dwubiegunowego, systemu z którym Moskwa łączyła wszystkie swoje nadzieje.

Dopiero na tym tle można przeanalizować stosunek Moskwy do Europy. Dopóki funkcjonuje pewnie i sprawnie system dwubiegunowy — Europa nie jest problemem. Wystarczy wówczas wszystko negocjować z Waszyngtonem bez potrzeby oglądania się na Paryż czy Bonn. Jeżeli jednak Europa zaczyna się usamodzielniać a blok komunistyczny rozpadać — mit o dwóch dyrektorach zarządzających światem trzeba pożegnać i wypracować inny typ polityki.

Należy podkreślić jeszcze jeden punkt. Waszyngton i Moskwa są swego rodzaju partnerami w akcjach zmierzających do utrzymania pokoju. Co stanowi gwarancję pokoju? Gwarancję pokoju stanowi zabezpieczenie *status quo*. Z chwilą kiedy system dwubiegunowy przestanie działać — utrzymanie *status quo* będzie niepojemnie trudniejsze niż jest dzisiaj. W tym sensie Mao, jako jeden z burzycieli systemu dwubiegunowego — jest politykiem antyjałtańskim.

Burzyciele systemu dwubiegunowego czasami podcinają (pozornie) gałąź na której wiszą. Wydawać by się mogło, że prez. de Gaulle winien być zagorzałym jałtańczykiem i entuzjastą hegemonów, którzy ten system gwarantują. Dopóki trwa system jałtański Niemcy są podzielone i bez broni atomowych. Ten układ z kolei zapewnia przewagę Francji na kontynencie. Jeżeli skończy się Jałta — skończy się i podział Niemiec a wówczas pozycja Francji ulegnie wybitnemu pogorszeniu.

W moim przekonaniu prez. de Gaulle nie wierzy w trwałość systemu dwubiegunowego, a tym samym nie wierzy w trwałość układu jałtańskiego. Zgadzam się z interpretacją prof. Z. Brzezińskiego, że „Europa po Ural” — pomyślana jest jako przeciwwaga zjednoczonych Niemiec.

Mimo, że Adzubej w czasie swojej wizyty w Paryżu, w połowie kwietnia, wypowiedział wiele komplementów pod adresem prez. de Gaulle'a — Rosjanie, mając do wyboru, z całą pewnością woleliby Europę „atlantycką” niż francusko-niemiecką. Anglosasi — jak wiadomo — nie są zainteresowani w rewizji *status quo*.

Realizację zamysłu prez. de Gaulle'a a więc zjednoczenie całej Europy — można by osiągnąć tylko poprzez europeizację Rosji. W moim przekonaniu zadanie europeizacji Rosji przekracza możliwości nie tylko Francji, lecz całej Europy. Przywrócić Rosję Europie mogłaby tylko Ameryka i tylko Ameryka mogłaby usmierzyć obawy Rosjan w stosunku do Niemiec. Innymi słowy, wielki zamysł de Gaulle'a mógłby być urzeczywistniony tylko poprzez Europę, która byłaby równocześnie de-gaulle'owska i atlantycka.

W prasie anglosaskiej, a w szczególności w prasie angielskiej, czytamy o pogłębiającym się „odprężeniu”, „ociepleniu” itp. Owe „ocieplenia” i „odprężenia” polegają na tym, że Rosja uwikłana w spór z Chinami — nie uważa za stosowne reżyserować nowego kryzysu w Berlinie czy na Kubie. Sowiety są obecnie w stosunku do Zachodu mniej agresywne ponieważ nie mogą sobie pozwolić na inną politykę. Tak jak obecny pokój nie jest Pax America-

na — tak i obecnie odprężenie nie jest dziełem polityki amerykańskiej.

Gdyby system dwubiegunowy, którego symbolem jest słynna linia telefoniczna łącząca Kreml z Białym Domem, dał się utrzymać, wówczas Amerykanie mogliby argumentować, że obrali politykę najmniej ryzykowną i najmniej kłopotliwą. Lecz epoka systemu dwubiegunowego dobiega kresu i w najbliższym czasie Ameryka będzie potrzebowała potężnych sojuszników w nowym policentrycznym układzie międzynarodowym.

Waszyngton w pewnej mierze winien zaadoptować francuski punkt widzenia na Europę — ponieważ Europa to przede wszystkim Francja i Niemcy a nie Anglia. Owo zbliżenie do francuskiego punktu widzenia leży w bezpośrednim interesie Ameryki i w dalszej perspektywie przesądzi o wartości sojuszu: Europa — Stany Zjednoczone. Europę można mieć za sojusznika tylko na kontynentalnych warunkach — nigdy na warunkach brytyjskich.

Komunizm jako doktryna polityczna całkowicie zawiódł. W bloku państw komunistycznych obserwujemy daleko więcej konfliktów i sprzeczności niż w świecie kapitalistycznym. Prof. Brzeziński w artykule opublikowanym w bieżącym zeszycie „Foreign Affairs” — przytacza ewolucję poglądów sowieckich na proces scalania się Europy zachodniej. Marksisci sowieccy wiktali się w sprzecznościach a analiza ich wypowiedzi stanowi świetną ilustrację nieudolności marksizmu-leninizmu w interpretowaniu nowoczesnego świata.

Komunizm rozpadł się na trzy frakcje: pro-sowiecką, prochińską i centrową. Centrowcy oficjalnie są zwolennikami negocjacji i jedności — w praktyce natomiast często na tej drodze szukają większego stopnia niezależności (Niestety nie dotyczy to Gomułki). Rozpadowi monolitu komunistycznego towarzyszy gwałtowny wzrost nacjonalizmu.

Zaznaczyłem powyżej, że Rosji nic można wyłączyć z Europy. Rosja jest państwem europejskim i rozwiązanie jej problemów musi iść po liniach europejskich.

Co należy rozumieć przez europeizację Rosji?

W najogólniejszym znaczeniu europeizacja musi oznaczać usmierzenie historycznego kompleksu lęku. Rosjanie boją się Niemców a Niemcy, zwłaszcza zjednoczone, to trzon Europy. Pas państw satelickich był pomyślany jako głębokie przedpole chroniące rdzenną Rosję przed wrogą Europą.

Punkt drugi wiąże się logicznie z punktem poprzednim. Europeizacja musi oznaczać de-kolonizację Związku Sowieckiego. Wszystkie mocarstwa europejskie są zdekolonizowane i Rosja jako członek Europy nie mogłaby w tej zasadniczej sprawie stanowić wyjątku. Imperium satelickie spełniające rolę wału ochronnego — nie byłoby już Rosji potrzebne, ponieważ ze strony Europy nie zagrażałoby jej żadne niebezpieczeństwo.

Rosjanie nie boją się Amerykanów i dziś są już absolutnie pewni, że ze strony Ameryki nie grozi im niespodziewany atak ato-

mowy. Ich historyczny kompleks lęku dotyczy wyłącznie (poza Chinami) Europy, ściślej mówiąc Niemiec. Ów kompleks podziela ją wszystkie narody wschodniej Europy.

Europejczycy zachodni nie są w możności rozładować tego kompleksu, bo przeszłość świadczy przeciwko nim. Trzecia Rzesza opanowała całą Europę i bez pomocy z zewnątrz nie byłoby wyzwolenia. Ów kompleks rozładować mogą tylko Amerykanie — bo tylko ich gwarancja i czynne zaangażowanie w polityce europejskiej zapewnić mogą bezpieczeństwo od strony Niemiec.

Amerykanie winni sobie zdać sprawę z kardynalnego faktu, że nie można odbudować jedności całej Europy poprzez Niemcy. Hasło: „Deutschlands Freiheit — Europas Zukunft” jest najniebezpieczniejszą z wszystkich recept politycznych. Realizacja tego hasła oznaczałaby zdeklasowanie Francji — hegemonię Niemiec, a w dalszych konsekwencjach albo Rapallo albo piętrzący się kryzys pomiędzy Rosją a dominowaną przez Niemcy Europą.

Istnieje ścisły związek przyczynowy pomiędzy pasem państw satelickich a niebezpieczeństwem niemieckim. Jest rzeczą wręcz niewiarygodną, że w oświadczeniu podsekretarza stanu Averell Harrimana z 10 marca br. dotyczącym polityki Stanów Zjednoczonych wobec wschodniej Europy — nie ma słowa o Niemcach.

Likwidację imperium satelickiego musiałoby poprzedzić spacyfikowanie Niemiec. Nawet Amerykanie nie mogą domagać się rozwiązania szowinistycznych związków ziomkowskich czy instytucji w rodzaju „Goettinger Arbeitskreis” Amerykanie mogą natomiast złożyć oświadczenie, że w przyszłym układzie pokojowym z Niemcami uznają za ostateczną granicę na Odrze i Nysie a pretensje „prawne” Niemiec do granic z 1937 r. — uważają za bezpodstawne.

Decyzja trudna, bardzo trudna: Lecz jaka jest alternatywa?

Milczące popieranie roszczeń niemieckich, choćby w realizm tych roszczeń nikt nie wierzył, zarówno w Bonn jak i Waszyngtonie — wyłącza politykę odbudowy jedności Europy i wyrównania stosunków z Rosją. Opierając się na Niemczech Amerykanie umacniają i utrwalają „żelazną kurtynę” i z każdym rokiem ich wpływy w Europie będą maleć. Będą maleć również w Niemczech, ponieważ sojusz z Ameryką w jego obecnej formie żywi fałszywe nadzieje.

Polityka obecna — nazwijmy ją polityką *status quo* — nie tylko nie ma celu lecz nie może mieć celu. Nie można bowiem uznać za cel przedłużania *status quo*, które z każdym dniem staje się większym przeżytkiem. Amerykanie z jednej strony, nie odcinając się kategorycznie od roszczeń niemieckich, podtrzymują pośrednio napięcie i nieufność w Europie wschodniej — z drugiej zaś strony wydają miliony na aparat oddziaływania, informacji i propagandy.

Jeszcze raz należy podkreślić, że polityka *status quo* w Europie opierała się w całości na systemie dwu-biegunowym. Rosja pragnie ratować ów system za wszelką cenę, gdyż żaden inny system nie zagwarantuje Sowietom ich satelickiego imperium.

Lecz Amerykanie nie mają najmniejszego interesu w ratowaniu tego systemu, ponieważ Stany Zjednoczone nie opierają się na satelitach, lecz na sojusznikach. Zbliżamy się do punktu, w którym system międzynarodowy ulegnie reorganizacji. W tym nowym okresie Ameryka będzie potrzebowała sojuszników i to nie tylko Niemiec czy Anglii, lecz całej zjednoczonej Europy. By to się ziszcilo Amerykanie w Europie muszą być bardziej europejscy — to znaczy muszą swą potęgą popierać nie Anglików, nie Niemców lecz Europę.

Daleko-falowa amerykańska polityka europejska winna zmierzać do odbudowy jedności całej Europy, przez co należy rozumieć: a) spacyfikowanie Niemiec, b) likwidację sowieckiego imperium satelickiego, c) europeizację Rosji.

W stosunku do Niemiec należy przyjąć zasadę: zjednoczone Niemcy w zjednoczonej Europie — podzielone Niemcy w podzielonej Europie. Zjednoczone Niemcy w podzielonej Europie, tzn. w Europie kończącej się na linii Odry i Nysy — wróżyłyby nieuchronną katastrofę.

Przez rozładowanie wschodnio-europejskiego i rosyjskiego historycznego kompleksu lęku w stosunku do Niemiec należy rozumieć: a) uznanie za nienaruszalną granicę na Odrze i Nysie — oraz b) powtórna, ściślej sprecyzowaną, gwarancję że Niemcy nie przekształcą się w tej czy w innej formie w potęgę atomową.

W dniu, w którym powyższe postulaty zostałyby spełnione — sto milionów ludzi w Europie wschodniej odetchnęłyby z ulgą i pomyślało: „to nie Sowiety tylko potężne Stany Zjednoczone chronią nas przed Niemcami”. W jednym dniu zmieniłby się psychiczny klimat w całym bloku wschodnim. W wojnie ideologicznej Ameryka uzyskałaby bezkompromisowe poparcie milionów ludzi. Wówczas, lecz tylko wówczas — pieniądze wydawane na aparaty oddziaływania na Europę wschodnią — uznać by należało za jedną z najbardziej celowych inwestycji polityki amerykańskiej.

Stosunek do Rosji w krajach wschodnio-europejskich nabrałby nowych cech. Z chwilą gdy Sowiety przestałyby być jedynym gwarantem terytorialnej nienaruszalności — doszłyby do głosu tłumione od lat uczucia narodowe. Status satelicki stałby się anachronizmem sprzecznym z rzeczywistością. Satelitą jest państwo, które może istnieć tylko w ramach protektoratu swego hegemonu. Z chwilą gdy niebezpieczeństwo rewizjonizmu niemieckiego zostałoby usunięte — rosyjska protekcja byłaby zbędna.

Nie twierdzą, że realizacja omawianych postulatów spowodowałyby przewrót i kontrrewolucję. Twierdzą natomiast, że rządzące w krajach satelickich partie komunistyczne utraciwszy platformę frontu anty-niemieckiego — musiałyby drogą koncesji

szukać poparcia społeczeństwa. Przede wszystkim narody satelickie w nowej sytuacji domagałyby się większej niż dotychczas państwowej niezależności. Status satelicki w zmienionych warunkach stałyby się po prostu nie do utrzymania.

Nikt nie rezygnuje z imperium jeżeli nie jest do tego zmuszony. Dopóki historyczny kompleks lęku przed Niemcami nie zostanie rozładowany mówienie o „wyzwoleniu” jest nonsensem. W Europie wschodniej musi się stworzyć warunki, które imperializm sowiecki pozbałyby treści.

Kraje satelickie mogłyby zatrzymać (w pierwszej fazie) obecny ustrój — mogłyby ściśle współpracować z Sowietami na polu gospodarczym — lecz odebranie Moskwie monopolu protektorki terytorium i granic uruchomiłoby ewolucję ku liberalizacji na wewnątrz i ku niezależności na zewnątrz.

Gdyby wizja straszaka niemieckiego zniknęła z widowni — Rosji byłoby trudno opierać się żądaniom narodów satelickich. Równocześnie wzrosłyby w całej Europie wschodniej wpływy Zachodu i pragnienie bliższych stosunków gospodarczych i kulturalnych z Europą. Po kilku latach ewolucji po tych liniach — sytuacja dojrzałaby do wysunięcia w formie jak najbardziej pokojowej — programu de-kolonizacji imperium sowieckiego.

Jeżeli mamy wrócić kiedyś do cywilizowanych warunków i uporać się z zagadnieniami rasowymi i narodowościowymi — prawo do samostanowienia musi obowiązywać nie tylko w Afryce lecz również w Europie i na całym świecie. Przed tym problemem nie ma ucieczki. Jeżeli idąc za radą pewnych anglosaskich polityków — postanowimy ów problem przesunąć na barki następnego pokolenia — winniśmy sobie zadać pytanie czy będą następne pokolenia?

Wysunięcie dziś postulatu przeprowadzenia wolnych wyborów w krajach satelickich byłoby nierealną bufonadą. Lecz gdyby postulaty, o których mówiliśmy, zostały spełnione — po kilku latach doczekalibyśmy się sytuacji, która w pełni usprawiedliwiałaby wysunięcie takiego żądania. Bo jeżeli jest już „i” — nikt się nie dziwi jeżeli się chce postawić nad nim kropkę. Wówczas Rosji należałoby równocześnie zaproponować pakt nieagresji pomiędzy NATO, a państwami paktu warszawskiego — względnie jakąkolwiek inną gwarancję, która chroniłaby ją przed Niemcami.

Amerykanom może się wydawać, że niemieckie niebezpieczeństwo jest nierealne. Lecz w tym wypadku mamy do czynienia z głęboko zakorzenionym kompleksem historycznym. Kompleks dla pacjenta jest rzeczą arcy-realną, bez względu na to co myślą na ten temat ludzie postronni.

Dla Rosji nie ma odwrotu z Europy. Dekolonizacja imperium satelickiego choćby szła powoli i stopniowo — wywarłaby decydujący wpływ na rozwój sytuacji wewnątrz Związku Sowieckiego. Polacy złożyliby dowód wielkiej niedojrzałości politycznej gdyby w zmienionych warunkach manifestowali niena-

wieść do Rosji. Opóźniłoby to bowiem proces europeizacji Rosji o pokolenia.

W miarę narastania konfliktu z Chinami Rosja będzie dążyć do odprężenia z Europą. Dla Rosji Europa to są Niemcy. Byłoby niepowetowanym błędem dopuścić do zawsze groźnego zbliżenia rosyjsko-niemieckiego — zamiast wykorzystać koniunkturę w celu zbliżenia Rosji nie do Niemiec, lecz do całej zjednoczonej Europy.

Nie domagamy się od Ameryki niczego rewolucyjnego, tym mniej absurdalnego. W moim przekonaniu Stany Zjednoczone z czasem uznają granicę na Odrze i Nysie jak również nie dopuszczają do atomowego uzbrojenia Niemiec. Lecz w polityce cała mądrość taktyczna sprowadza się do wyboru momentu. Uznanie tej granicy *dziś* byłoby posunięciem pro-rosyjskim i równocześnie aktywnie antykomunistycznym. Posunięcie to zwiększałoby bezpieczeństwo Związku Sowieckiego, jednocześnie jednak, usuwałoby fundament spod imperium satelickiego. Jeżeli kierownicy polityki amerykańskiej przeoczą ów taktyczny moment — kiedyś i tak uznają granicę na Odrze i Nysie z tą tylko różnicą, że nie odniosą z tego najmniejszej korzyści. Uznają tę granicę, bo nonsensem jest dziesiątkami lat nie uznawać faktu, którego nie można zmienić.

Chciałbym ten artykuł zakończyć uwagą ogólną. Antykomunizm staje się na Zachodzie domeną reakcjonistów, szowinistów i zawodowych aparaczyków. Intelktualiści, pisarze, inteligenci — ze zrozumiałych powodów — stroną od tego typu towarzysstwa. Nie tylko komunizm dotknięty jest kryzysem. Kryzysem dotknięty jest również antykomunizm. Zbliżamy się powoli, lecz nieuchronnie do momentu kiedy tzw. „wojnę ideologiczną” prowadzić będą po obu stronach wyłącznie zawodowi aparaczycy przy wzrastającej obojętności społeczeństw.

Sprawa jest zbyt wielka, zbyt istotna — by można ją było w całości powierzyć zawodowym aparaczykom.

Dogmatyczni komuniści wierzą w skomunizowanie świata. Dogmatyczni antykomuniści wierzą, że komunizm zostanie zmieciony z powierzchni ziemi siłą.

Zachodni pisarz czy intelektualista, który nie wierzy ani w dogmaty ani w „święte wojny” — rozkłada bezradnie ręce i mówi: „cóż my możemy zrobić?”.

Antykomunizm nie może być ideologią — musi natomiast być polityką. W tej chwili nie jest ani ideologią, ani polityką, lecz wyłącznie propagandą, za którą nie kryje się żaden program działania.

Stany Zjednoczone są władne stworzyć warunki polityczne, które kraje satelickie pchnęłyby na drogę niezależności. Wówczas ferment intelektualny, który jest dziś brutalnie dławiony, wydołyby się na powierzchnię. Rozpocząłby się proces przekształcania Europy wschodniej, a w dalszych konsekwencjach i Związku Sowieckiego.

Antykomunizm musi być albo daleko-falową *polityką* zmierzającą do konkretnego celu, albo będzie niczym.

Zwolennicy *status quo* i bierności liczą na samowyczerpanie się, na erozję „zimnej wojny”. Lecz ów proces gra *both ways*. Na Zachodzie wyraża się brakiem wizji, zamieraniem wielkich spraw, usychaniem wielkich planów, wyobcowaniem z problematyki, której nikt za nas nie rozwiąże. Więc lepiej nie mówić o erozji.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

NIEKONSEKWENCJE I NIEPOROZUMIENIA

Londyński „Times” z 28.4. br. zamieścił list polskich profesorów uniwersytetu. List podpisało dziesięciu profesorów a mianowicie: Aleksander Gieysztor, Konrad Górski, Leopold Infeld, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Kumaniecki, Edward Lipiński, Wacław Sierpiński, Jan Szczeptański, Władysław Tatarkiewicz i Kazimierz Wyka.

Podpisani profesorowie twierdzą, że sprawy poruszone w liście do Cyrankiewicza miały charakter wewnętrzny i dotyczyły „pewnych problemów kulturalnych naszego kraju”. Znacni profesorowie wyrażają żal, że sprawa doprowadziła do „kampanii przeciw naszemu krajowi, opartej na fałszywych informacjach a rozpowszechnianych głównie przez prasę zachodnio-niemiecką i Radio Wolna Europa”. Profesorowie ubolewają również, że wielu ich brytyjskich kolegów „dało się wprowadzić w błąd” ponieważ... „nie nam nie wiadomo by którakolwiek z osób, które podpisały list do premiera została ostatnio pozbawiona prawa wykładania czy ogłaszania swoich książek”.

Należałoby zapytać — jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Lecz u nas zawsze ten sam schemat — albo kapitulacja albo powstanie. Pomiędzy tymi dwoma biegunami — niezdeterminowanie, brak konsekwencji, oportunizm.

Przed wszystkim należy stwierdzić z naciskiem, że wbrew tezie autorów listu do londyńskiego „Times’a” — wolność, tak w sensie kulturalnym jak politycznym, *nigdy* nie jest problemem wewnętrznym jednego państwa.

Po 17 latach spędzonych w więzieniu, grecki komunista T. Ambatielos przed kilku tygodniami odzyskał wolność, w znacznej mierze dzięki naciskom z zewnątrz. Dzięki protestom organizowanym w Londynie, dzięki długotrwałej kampanii prasy brytyjskiej.

Na fundusz obrony przywódcy murzyńskiego Nelsona Mandela przed sądami południowo-afrykańskimi złożono w Londynie w przeciągu 4 dni £ 2.700, dzięki kampanii prasowej „The Observer”.

Tego typu przykładów każdego tygodnia można by zacytować sporą garść. Tak źle na szczęście nie jest, by wolność była jedynie wewnętrznym problemem policyjnych państw.

W Polsce Ludowej obowiązuje teza — której autorzy listu do „Times’a” kornie się poddali — że problem wolności, cenzury, polityki kulturalnej to są sprawy wewnętrzne. Jednak te same zagadnienia w Argentynie czy we Francji to nie są sprawy wewnętrzne odnośnych państw. Ci sami panowie, którzy odmawiają pisarzom brytyjskim prawa prawa zainteresowania się losem pisarzy polskich — zabierają krzykliwie głos w obronie lewicowych intelektualistów francuskich, choć im nic nie zagraża. Zabierają głos w sprawie Konga, mieszają się do wewnętrznych spraw krajów Ameryki Łacińskiej itp.

Profesorowie podpisani pod listem do redakcji „Times’a” ubolewają, że wielu ich brytyjskich kolegów dało się wprowadzić w błąd.

Kto kogo wprowadził w błąd?

Pierwsze zdanie listu do Cyrankiewicza, który podpisali ci sami profesorowie — brzmi następująco: „Ograniczenia papieru na druk książek i czasopism oraz zaostreżenie cenzury prasowej stwarzają sytuację *zagrożającą rozwojowi kultury narodowej*”.

Na miłość boską — cóż można powiedzieć więcej! Trudno odmalować w jednym zdaniu sytuację w Polsce w bardziej czarnych — choć niestety prawdziwych barwach.

O wprowadzeniu kogokolwiek w błąd nie może być mowy. Można tylko mówić o próbie wycofania się z uprzednio zajętogo stanowiska. I, by wszystko pasowało, użyto wyświechtanej lecz nieśmiertelnej kliszy o prasie zachodnio-niemieckiej i radiu Wolna Europa.

Czytamy dalej w owym sławetnym liście, że sprawa ta doprowadziła do „kampanii przeciw naszemu krajowi opartej na fałszywych informacjach”.

Czy informacje i oceny zawarte w liście do Cyrankiewicza były fałszywe? Czy rozwojowi kultury narodowej nic nie zagraża? Jeżeli tak to nie mają racji ani Kotarbiński, ani Słonimski, ani Dąbrowska — tylko pp. Bratny i Mitzner-Szeląg.

Wszystko to składa się raczej na ponure widowisko. Profesorowie, którzy wystąpili z listem do „Times’a”, przeliczyli się z własnymi siłami. Podpisanie protestu zaadresowanego do Cyrankiewicza było aktem nie na ich miarę.

Kilku autorów listu do „Times’a” plus prof. Schaff — w chwili gdy pisze te słowa, rozwija energiczną działalność korespondencyjną w celu „zakłajstrowania” kryzysu. W prywatnych listach wybranym intelektualistom na emigracji tłumaczy się, że nie było żadnych represji i wszystko będzie dobrze pod warunkiem, że „Kultura”, Radio Wolna Europa i prasa emigracyjna nabiorą wody w usta.

Tak niedawno jeszcze Polska stanowiła oazę w bloku wschodnim. Bezprzykładna tępota aparatczyków partyjnych i bierność intelektualistów polskich — powodują roztrwonienie i zaprzepaszczenie tego kapitału uznania jakim cieszyła się polska inteligencja w Europie wschodniej. Dziś można mówić o „Październiku” w Pradze, o walce o niezależność w Bukareszcie, o narodowym komunizmie w Budapeszcie i o... klajstrze w Warszawie.

W londyńskim „Times” z 5 maja br. ukazał się list znanego angielskiego dziennikarza, Wayland Young’a, który nawiązuje do listu 21 pisarzy

brytyjskich. W liście tym pisarze brytyjscy stanęli w obronie 34 intelektualistów polskich, którzy podpisali list do Cyrankiewicza.

Wayland Young, upewniony przez list 10 profesorów polskich ogłoszony w „Times” — że chodziło wyłącznie o sprawy „wewnętrzne” — postanowił sprawę zbadać „od wewnątrz” i złożył wizytę w ambasadzie PRL. Tam skutecznie rozwiano wszelkie jego niepokoje.

Upřednio proponowano Young'owi, by podpisał list 21 pisarzy brytyjskich w obronie 34. Wayland Young oświadczył, że list podpisze jeżeli fakty zostaną stwierdzone. 10-ciu profesorów polskich w liście do „Timesa” zaprzeczyło by stosowano jakiegokolwiek represje. Więc kto miał rację 21 pisarzy brytyjskich, którzy stanęli w obronie 34 — czy p. Young?

W przyszłości będzie niezmiernie trudno zmobilizować protest na wzór listu 21 pisarzy brytyjskich — bo zachodni pisarze będą żywić uzasadnioną obawę, że zdyskredytują ich ci, których wzięli w obronę. Kto chce się na to narazić?

Jest rzeczą niełatwą wypośrodkować kurs polityki emigracyjnej w stosunku do tych spraw i zagadnień. Najprościej powiedzieć sobie: „nie należy szkodzić — najpewniejszy kurs to dyskretne milczenie. Oni w kraju wiedzą najlepiej co należy robić”.

Osobiście powątpiewam czy „oni wiedzą najlepiej”. Rozmowy z krajowcami przekonują mnie, że 20 lat izolacji, cenzury, dyktatorskiego systemu nie minęły bez śladu. Znaczny procent intelektualistów krajowych odwykł od myślenia politycznego. Stosuje się tylko „dojutrkwowanie”. Kardynalnego znaczenia nabierają konkrety jak katedra, zakład naukowy, posada. Wszystko to można utracić jednego dnia.

W normalnym społeczeństwie droga wiedzie od polityki do konkretów a nie odwrotnie. Lewicowy intelektualista brytyjski popiera Labour Party w nadziei, że gdy rząd socjalistyczny obejmie władzę, będzie mu łatwiej otrzymać stanowisko bez konieczności zawierania kompromisów z własnymi przekonaniem. W Polsce bezpartyjny, czy nawet konserwatywnie (na dnie duszy) myślący naukowiec popiera rząd komunistyczny, jeżeli ma po temu konkretne powody (katedra, zakład naukowy, posada itp.).

Od nikogo nie można wymagać heroizmu, tym mniej finansowego, czy innego męczeństwa. Lecz również nie można i od nas wymagać, byśmy się temu biernie przypatrywali. Sytuacja zagrażająca rozwojowi kultury narodowej — by użyć słów listu 34 — jest sprawą, która bezpośrednio dotyczy nie tylko Polaków w kraju lecz i nas.

Istotny jest choćby skromnie zarysowany program. Cofnięcie represji i powrót do *status quo* niczego nie zmieni.

Należy się domagać: rozluźnienia cenzury, zwiększenia przydziału papieru, wzmocnienia kontaktów kulturalnych z Zachodem, likwidacji „Kultury” warszawskiej i oczyszczenia prasy, literatury i nauki z agentów UB.

Propagandowe pismo „Poland” wydawane w kilku językach jest na dobrym poziomie. To samo dotyczy „Polish Perspectives”. Można by jednak oszczędzić mnóstwo papieru likwidując jawnie dywersyjne pisma, fabrykowane nieudolnie, jak „7 dni w Tygodniu”, „Hejnał Mariacki” czy „Polish News & Views”, „Tygodnik Polski” i inne. Lecz rzeczą najistotniejszą w tej sprawie jest podtrzymanie akcji protestacyjnej. Jeżeli akcja łażmie się będzie to ostateczna kompromitacja intelektualistów polskich w oczach społeczeństwa. Byłby to dowód, że tytuły przywódcze polskiej w oczach społeczeń-

stwa. Byłby to dowód, że tytuły przywódcze polskiej inteligencji zwietrzały i rozsypały się w proch.

Akcja protestacyjna winna przekształcić się w ruch społeczny, który objąłby całą inteligencję i młodzież na wyższych uczelniach.

Przyjęcie przez Gomułkę Jarosława Iwaszkiewicza, Putramenta i kilku innych członków zarządu Związku Literatów — jest posunięciem bardzo charakterystycznym. Jeżeli akcja protestacyjna nie zyska szybko szerokiego poparcia w kołach intelektualnych i wśród młodzieży — partia dążyć będzie do wyizolowania 34, do napiętnowania ich jako „buntowników” a koncesje zostały już zaprezentowane jako wynik przyjacielskich negocjacji Iwaszkiewiczów, Przybosiów i Putramentów z kierownictwem partii.

Na emigracji nie możemy dopuścić do tego by Iwaszkiewicz, Putrament, Bratny czy Toeplitz byli na równi traktowani z pisarzami, którzy podpisali protest. Kraj nie może im w pełni okazać swojej pogardy, lecz jest to naszym obowiązkiem na Zachodzie. Jeszcze raz należy podkreślić, że ci panowie **przyjmą na swoje ręce koncesje wywalczone przez 34 a równocześnie współdziałać będą z partią w piętnowaniu „buntowników”**. Obrzydliwszej roli trudno sobie wyobrazić.

Niczego nie należy robić pochopnie. Lecz w najbliższej przyszłości należy zastanowić się nad wyciągnięciem konsekwencji wobec tych pisarzy i intelektualistów, którzy odmówią solidarności z 34.

Tym, których słowo „bojkot” razi należy przypomnieć, że indyferentyzmu moralnego nawet w literaturze nie można posuwać zbyt daleko. Inaczej musimy traktować tych, którzy bronią zagrożonego bytu kultury narodowej — a inaczej należy traktować fabrykantów podłego, polskiego kłajstru, którym wysięga się u nas zawsze karierowiczów i oportunistów na „patriotów” i „budowniczych”.

PRZYPISEK REDAKCJI

Podajemy poniżej nazwiska kilkuset pisarzy krajowych, którzy podpisali „kontrprotest”. *Nazwiska te należy zapamiętać*. Większość z tych ludzi po 1956 r. była na Zachodzie, kontaktowała się z nami. Deklarowali swoje poglądy liberalne, tłumaczyli się z „okresu błędów i wypażeń”. Daliśmy im z miejsca wiarę i bardzo duży kredyt moralny. Wiedzieliśmy jak nie łatwo wytrzymać naciski i terror, wiedzieliśmy że jednak wielu ludzi wierzyło czy chciało wierzyć, i że dopiero Poznań i wypadki z października 1956 r. otworzyły im oczy. Lecz dziś już nie ma usprawiedliwienia, nie ma podstaw do „taryfy ulgowej”. Z tym większym szacunkiem odnosimy się do tych intelektualistów którzy trwają w rozpoczętej walce o przyszłość polskiej kultury.

Marta Aluchna-Emalianow, Jerzy Adamski, Halina Auderska, Roman Auderski, Jerzy Afanasjew.

Adam Bahdaj, Waldemar Babinic, Andrzej Braun, Jan Brzechwa, Zofia Bystrzycka, Janina Broniewska, Roman Bratny, Jerzy Broszkiewicz, Lech Budrecki, W. Biliński, Kazimierz Błęziński, St. Brucz, Jerzy Brzęczkowski, Helena Bobińska, Al. Bocheński, Anna Bukowska, Al. Barszczewski, Jan Baranowicz, St. Broszkiewicz, Zbyszko Bednorz, Przemysław Bystrzycki, Edward Balcerzan, Kazimierz Barnaś, Wanda Baecwicz, Maria Bechczyc-Rudnicka, Konrad Bielski, Włodzimierz Boruński, Wiesław Brudziński, Jerzy Bidwell, Adam Bunsch, Bohdan Brzeziński, Jerzy Bober, Kazimierz Bieroński, Wiesław Bodnicki, Maria Błahutowa-Klimas.

Alina Centkiewiczowa, Czesław Centkiewicz, Bohdan Czeszko, J. Czar-

ny, St. Czernik, T. Chruscielewski, Czesław Czerwniowski, Dusza Czara, Izabela Czajka-Stachowicz, Eustachy Czekalski, Kazimierz Andrzej Czyżowski, St. Czachorowski, Krzysztof Choiński, Anna Ludwika Czerny, Tibor Csorba, Izabela Czermakowa, Michał Choromański, Maria Czerkawska.

Witold Dąbrowski, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Janina Dziarnowska, Helena Dunin, Bolesław Dudziński, Wł. Dunarowski, Bohdan Drodowski, Irena Dowgielewicz, Ryszard Danecki, Tadeusz Jan Dehnel, Janusz Dybowski, Alfred Degal, Marek Domański, Cecylia Dmochowska, Zbigniew Dolecki, Jan Drohojowski.

Tadeusz Evert, Leszek Elektorowicz, Zofia Evertowa.

Stefan Flukowski, Kornel Filipowicz, Bolesław Fac, Z. Fijas, K. Frejlich, Stanisława Fleszarowa-Muskat, Feliks Fornalczyk, Tadeusz Fangrat, Edward Fiszer, Arkady Fiedler, Jadwiga Feldmanowa.

Jan Gisges, Leon Gomolicki, Jan Gałuszka, Jan Goetzol, Gerard Górnicki, Władysław Gebik, Henryk Gaworski, Julian Gałaj, L. Granowska, Marian Grzeszczak, Eugeniusz Gruda, Teodor Goździkiewicz, Gustaw Gottesman, Helena Gruszczyńska-Dubowa, Nina Gubrynowicz, Stefan Gołębiowski, Barbara Gordon, Adam Galis, Wiesław Gorecki, Tadeusz Giegier, Edward Góra.

Józef Hen, Henryk Hubert, Tadeusz Hołuj, Stefania Heymanowa, Majewska, Stanisław Hebanowski, Edwin Herbert.

Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimiera Hlakowiczówna.

Jerzy Jurandot, W. Jażdżyński, Krystyna Jarecka, Tadeusz Jakubowicz, Jerzy Janicki, Zofia Jeżewska, Kazimiera Jezierska, Zofia Jaremko-Pytowska, Maria Jarochowska, Jerzy Jędrzejewicz, Elżbieta Jackiewicz, Czesław Janczarski, Jan Jaźwiec, Zofia Jachimecka, Bogdan Justynowicz.

Eugeniusz Kabate, Gabriela Klonowska-Pauszer, Stefan Klonowski, Kazimierz Koźniowski, Julian Kawalec, Tadeusz Kwiatkowski, A. Kaspro-wicz, Jan Koprowski, Alfred Kowalkowski, Ireneusz Gwidon-Kamiński, Janusz Krzemiński, Józef M. Konowicz, Tadeusz Kajan, Janusz Koniusz, Włodzimierz Korsak, Bogusław Kogut, Jerzy Korczak, Karol Koźmiński, Tadeusz Kraszewski, Tadeusz Księski, Maria Kelles-Krauz, Jerzy Kucharski, Marian Kubicki, Andrzej Klimowicz, Maria Kownacka, Maria Krüger, Gabriel Karski, Adam Kaska, Jerzy Kierst, Zygmunt Kubiak, Ziemowit Kuniński, Andrzej Kuśniewicz, Edward Kozikowski, Halina Kalita, Eugenia Kobylińska, Roman Kłyś, Janusz Kasperski, Józef H. Kowalski, Edward Kurowski, Józef Kapeniak, Zbigniew Koźnicki, St. Kamiński, Szymon Koszyk, Jan Kurczab, Waldemar Kotowicz.

Leopold Lewin, Alicja Lisiecka, Jerzy Lovell, Józef Lenart, Cecylia Lewandowska, Jadwiga Laskowska, Stefan Lichański, Tadeusz Lutogniewski.

R. Łaboda, Tadeusz Łopalewski, Alfred Łaszowski, Małgorzata Łabędzka-Koecherowa, Zygmunt Łanowski, Salomon Łastik, Zdzisław Łączkowski, Maria J. Łęczyska.

Aleksander Maliszewski, Ryszard Matuszewski, Michał Mirski, Wł. Ma-chejek, Włodzimierz Maciąg, Janusz Meissner, Stanisław Mioduszewski, Michał Misiorny, Eugeniusz Morski, Hieronim Michalski, Hanna Muszyńska-Hoffmanowa, Józef Morton, Jan Meysztowicz, Janina Macierzewska, Władysław Mieleczarek, Ludmiła Mariańska, St. Mierzeński, Ludwik Hieronim Morstin, Antoni Marianowicz, Waclaw Mrozowski, Gabriela Mycielska.

Barbara Nawrocka, Igor Newerly, Z. Nienacki, Adolf Niedworak, St. Nadzin, Jan Nagrabiecki, Edmund Niziurski, Tadeusz Nowak, Augustyn Necel.

Antoni Olcha, Władysław Orłowski, Wł. Ogrodziński, Hanna Ozogowska, Stefan Otwinowski, Bohdan Ostromecki, Janusz Osęka, Jadwiga A. Oledzka, Al. Omieljanowicz, Czesław Ostankowicz.

Leon Pasternak, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, M. Piechal, T. Papi-er, Tadeusz Petrykowski, Jan Pierzchała, Józef Ponitycki, Eugeniusz Pauksza, Julian Pogan, Jerzy Pytlakowski, Jerzy J. Piechowski, St. Podlewski, Kazimierz Piotrowski, Roman Pisarski, Jerzy Przeździecki, Andrzej Piotrowski, Jerzy Piórkowski, Janina Preger, Zofia Posmysz-Piasecka, Janina Porazińska, Irena Przewłocka, R. Pitera, St. Packiewicz, Helena Platta-Szore, Tadeusz Petrykowski.

Julian Rogoziński, Halina Rudnicka, Lucjan Rudnicki, Michał Rusinek, Tadeusz Rózewicz, Cz. Ronczaszkowa, Wł. Rymkiewicz, J. Rymkiewicz, Elizjusz Reizman, Leopold Rybarski, Janusz B. Rychliński, Józefa Radzyńska, Jerzy Rozwadowski, Eleonora Romanowicz-Podoska, Leon Roppel, Natalia Rolleczek-Korombel, Wiesław Rogowski.

Włodzimierz Słobodnik, Grzegorz Smolar, Ewa Szelburg-Zarembina, Wilhelm Szewczyk, Seweryna Szmaglewska, Wisława Szymborska, E. Szuster, B. Sztajner, J. Skozkiewicz, I. Sikirycki, H. Safrin, Czesław Schabowski, Katarzyna Suchodolska, Alfred Szklarski, Albin Siekierski, Kalman Segal, Czesław Słezak, Wiesław Sauter, Bolesław Soliński, Henryk Szykin, Jadwiga Siekierska, Roman Sadowski, Stanisław Stampfl, Zenon Szczycielski, Józef Stotwiński, M. Stasińska, Jan Stefczyk, Barbara Sieroszevska, Elżbieta Szemplińska-Sobolewska, Mieczysław Smolarski, Stanisław Strumph-Wotkie-wicz, Marek Sadzewicz, Stanisława Sowińska, Krystyna Salaburska, Jan Alfred Szczepański, Maria Szczepańska, Zbigniew Safian, Ignacy Szenfeld, Eleonora Słobodnikowa, Stanisława Sznaper-Zakrzewska, Alojzy Sroga, Zofia Siwicka, Janusz Strassburger, Lech Emfazy Stefański, Maria Sperlingowa, Maria Szulecka, Magdalena Samozwaniec, Zdzisław Skowroński, Roman Samsel, St. Szydłowski, Florian Sobieniowski, Stanisław Słupek, Mieczysław Strijkowski, Sławomir Sieńdzki, Irena Szczepańska, Anna Świrszczyńska, Bohdan Sujkowski, Edyta Sicińska, Tadeusz Sokół, Stanisław Skoneczny.

Marian Turwid, Kazimierz Truchanowski, Mendel Tempel, Jadwiga Turszańska.

Zdzisław Umiński, Lech Utracki.

Henryk Vogler.

Stanisław Wygodzki, Monika Warneńska, Jan Wypler, Andrzej Wydrzyński, Eugeniusz Wachowiak, Leon Wudzi, Erwin Wolf, Stefan Wiechecki (Wiech), Helena Wielowieyska, Andrzej Wasilewski, Maria Wiesłowska, Cz. Wojeńska, Olgierd Wojtasiewicz, Stanisław Wogórko, Katarzyna Witwicka, Zofia Wojnarowska, Maria Wolczacka, Lucjan Wolanowski, Marek Wawrzkiwicz, Włodzimierz Wnuk, Adam Włodek, Zdzisław Wróbel, Antoni Waškowski.

Witold Zalewski, Stanisław Zieliński, Witold Zechenter, Janina Zabierzevska, Zbigniew Zielonka, Zygmunt Zeydler-Zborowski, Zbigniew Załuski, Bolesław Zagała, Tadeusz Zabłudowski, Mieczysław Zydler, Stanisław Załuski.

Władysław Żesławski, Wanda Żółkiewska, Stefan Żółkiewski, Wojciech Żukrowski, Joanna Żwirska, Tadeusz Żeromski, Bohdan Żyranik.

FALSZERSTWA

P. Janusz Kolczyński ogłosił znów na łamach warszawskiej „Kultury” dłuższy elaborat wymierzony przeciwko emigracji polskiej na Zachodzie.

Elaborat nosi charakterystyczny tytuł: „Pour le roi de Prusse”. Trzeci odcinek swego szkicu p. Kolczyński poświęcił w całości „Kulturze” i niżej podpisanemu.

Gdyby dyskusję z nami prowadził prof. Żółkiewski czy prof. Schaff — sprawa wyglądałaby inaczej. Tym bardziej, że prof. Schaff dyskutując z nami występował na łamach pisma, którego był stałym współpracownikiem. Nic tak wyraziście nie ilustruje degrengolady prasy krajowej jak owo odkomenderowywanie aparatczyków i UBeków i powierzanie im zadań specjalnych. Należy z tego wnioskować, że w ocenie partii — rozprawa z emigracją przekracza możliwości sztabu redakcyjnego warszawskiej „Kultury”.

Nie mam zamiaru polemizować z p. Kolczyńskim. Celem tej notatki jest jedynie napiętnowanie i sprostowanie fałszów.

Jak już wskazuje tytuł elaboratu — p. Kolczyński stara się udowodnić, że wszystkie instytucje emigracyjne z paryską „Kulturą” na czele — wypierają się granicy na Odrze i Nysie i idą ręką w rękę z Niemcami. Jest to fałsz w odniesieniu do „Kultury” szczególnie jaskrawy, ponieważ jesteśmy jedyną na emigracji instytucją polityczną, która w tej sprawie zajęła jasne i konsekwentne stanowisko.

Sprawa granic Polski po drugiej wojnie światowej została załatwiona w sposób zadawalający wyłącznie dla Sowietów. Linia Ribbentrop-Mołotow uzyskała uznanie międzynarodowe — natomiast granica na Odrze i Nysie miała dopiero uzyskać ostateczne zatwierdzenie w traktacie pokojowym, którego daty nawet w przybliżeniu nie określono.

Polski rząd na emigracji, a w ślad za nim wszystkie partie i instytucje niepodległościowe odrzuciły zasadę „rekompensaty” domagając się na wschodzie przywrócenia granicy z 1939 r. a na Zachodzie uznania za ostateczną granicy na Odrze i Nysie.

Powyzszy stan rzeczy trwa do dzisiaj. Z tego jednolitego frontu „Kultura” miała odwagę się wyłamać. Rewizjoniści niemieccy od samego początku operują hasłem: „Lwów dla Polski — Wrocław dla Niemiec”. Były nawet próby zbudowania wspólnej platformy politycznej łączącej wysiedleńców polskich (na emigracji) zza linii Ribbentrop-Mołotow z wysiedleńcami niemieckimi zza linii Odry i Nysy.

Nie może być dwóch logik — jednej dla Niemców a drugiej dla Polaków. Niemcy patrzą na nasze Ziemie Odzyskane na Zachodzie w identyczny sposób jak my patrzymy na nasze ziemie utracone na Wschodzie. Polak domagający się zwrotu Lwowa nie ma tytułu politycznego, ani jakiegokolwiek innego domagania się od Niemca zgody na utratę Wrocławia.

W tej sprawie — dla wielu bolesnej — sentyment nie może odgrywać żadnej roli. W „Kulturze”, bardzo wcześnie doszliśmy do przekonania, że skutecznie można bronić granicy na Odrze i Nysie wyłącznie i jedynie stojąc na stanowisku obecnych granic Polski. Nie możemy sami uprawiać rewizjonizmu granicznego i równocześnie piętnować go u Niemców. Jedynie logiczną polityką jest obrona nienaruszalności granic obecnych, tym bardziej że nigdzie na świecie nie znajdziemy sojusznika, który by poparł nasze roszczenia na wschodzie. Jedyni, którzy byliby gotowi poprzeć te roszczenia to są Niemcy, lecz za owo wątpliwe poparcie trzeba by zapłacić wyrzeczeniem się Ziem Odzyskanych.

Powyzsze stanowisko, którego nigdy nie ukrywaliśmy — ściągęto na

nasze głowy burzę protestów, wykluczeń, oskarżeń i potępień. Lecz opinii w tej sprawie, którą uważamy za jedynie słuszną — nie zmieniliśmy i nie zamierzamy zmienić. Ufamy natomiast, że kiedyś de-kolonizacja Związku Sowieckiego przyniesie niepodległość i Ukrainie i wówczas Lwów nie będzie za wrogim kordonem lecz tuż za miedzą.

Tak wyglądają fakty i nikt, kto czytuje paryską „Kulturę” nie może poddawać ich w wątpliwość. Lecz aparatczyków nigdy nie interesują obiektywne fakty i logika. Logikę zastępuje „dialektyka”, która umożliwia interpretowanie faktów zgodnie z linią partyjną obowiązującą w danym momencie.

W tym samym cyklu artykułów p. Kolczyński stara się udowodnić tezę, że Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa „sączy pro-zachodnio-niemiecką propagandę, podlega kontroli niemieckiej i służy aspiracjom zachodnio-niemieckim”.

To jest jeszcze coś więcej niż zarzuty wysunięte przeciwko „Kulturze”. Ponieważ tego typu zarzuty w artykułach i wystąpieniach różnych aparatczyków powtarzają się nie od dziś i nie od wczoraj — postanowiłem sprawę zbadać u źródeł i zapoznać się z faktami. Fakty być może nie interesują p. Kolczyńskiego, lecz z całą pewnością interesują Polaków w kraju i na emigracji.

Otóż fakty przedstawiają się następująco:

Radio Wolna Europa umieszczone zostało w roku 1951 na terenie amerykańskiej strefy okupacyjnej, która w owym czasie stanowiła jedyne w Europie terytorium podlegające suwerennej władzy Stanów Zjednoczonych. Przewidując rychłe zakończenie statusu okupacyjnego i pragnąc uniknąć konfliktu z władzami niemieckimi — co mogłoby doprowadzić do zamknięcia Radiostacji — Amerykanie wysunęli pod adresem Polaków organizujących program polski — warunek powstrzymania się od jakichkolwiek komentarzy w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Warunek ten został przez stronę polską odrzucony. Osiągnięty kompromis zezwalał na przedstawianie polskiego punktu widzenia w przemówieniach i rezolucjach organizacji i osobistości polskich spoza Radia Wolna Europa.

Pod koniec roku 1960 powyzszy układ został naruszony — Amerykanie bowiem sprzeciwili się nadaniu reportażu z uroczystości polonijnych w ramach których wygłoszono przemówienie w sprawie uznania granicy na Odrze i Nysie. W danym wypadku, chodziło o przemówienie prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej Karola Rozmarka.

Zespół polski w liczbie około 120 osób wypowiedział się w tej sprawie jednomyślnie i solidarnie bez jakiegokolwiek wyjątku i zagroził strajkiem jeżeli w określonym terminie zakaz nie zostanie cofnięty. Na kilka godzin przed upływem wyznaczonego terminu Amerykanie zakaz cofnęli i audycja została w całości nadana.

Powyzsze fakty ujawniła prasa niemiecka i p. Kolczyński, który sypie cytatami z prasy zachodnio-niemieckiej — musiał o tej sprawie wiedzieć.

Rozgłośnia Polskiej Radia Wolna Europa — jak każdej instytucji pracującej w trudnych i nienormalnych warunkach — można postawić wiele zarzutów. Nie jesteśmy jej entuzjastami. Osobiście na łamach „Kultury” krytykowałem Radio Wolna Europa wielokrotnie. Jednak teza, że Radio Wolna Europa jest kontrolowane przez Niemców, rozpowszechnia niemiecki

punkt widzenia i nie wypowiada się jasno za uznaniem granicy na Odrze i Nysie — jest świadomym fałszerstwem.

SOCJOLOGIA SZOWINIZMU

Prof. Dietrich Goldschmidt znany zachodnio-niemiecki socjolog, wygłosił w tzw. „Trzecim Programie” BBC — interesujący odczyt pt. „Ideologiczne kuszenia”.

Dla większości Niemców — powiedział prof. Goldschmidt — demokracja jest formą rządu, a nie poglądem politycznym opartym na wewnętrznych przekonaniach. Dziś jeszcze — zwłaszcza po długim okresie rządów Adenauera — „człowiek silnej ręki” jest bliski niemieckiemu sercu i budzi powszechny szacunek.

Dr Adenauer podkreślał zawsze swoje przywiązanie do katolicyzmu. Cytowany niemiecki socjolog sądzi, że istnieje ścisły związek pomiędzy brakiem demokracji a katolicyzmem. Demokracja — jako pogląd i przekonanie — wywodzi się z Oświecenia a źródła jej szukać należy w pismach Locke'a, Montesquieu, Rousseau i Jeffersona. Oświecenie jako prąd intelektualny nigdy nie zdobyło dominującej pozycji w Niemczech.

Po upadku monarchii, po bankructwie demokracji Weimarskiej, po katastrofie hitleryzmu — jedyne co się ostało jako punkt orientacyjny to chrześcijaństwo. Kościoły chrześcijańskie nie kolaborowały z Hitlerem i dzięki temu mogły w roku 1945 podjąć natychmiast pracę bez żadnych przeszkód czy ograniczeń ze strony władz okupacyjnych.

Kościoły chrześcijańskie, a w szczególności Kościół katolicki posiadają w Niemczech zachodnich pozycję wyjątkową i wywierają wielki wpływ polityczny. Przyczyn tego sukcesu szukać należy z jednej strony w braku świeckiej, liberalnej tradycji — z drugiej strony w konserwatyźmie szerokich mas społeczeństwa.

Niemcy z entuzjazmem popierają wielkie ideały — równocześnie jednak prowadzą życie i politykę, które wyłączają realizację tych ideałów. Prof. Goldschmidt sądzi, że Niemcy są niezmiernie przystępni wszelkim pokusom ideowym w przeciwieństwie do Anglosasów, którzy ideały przycinają do realnych możliwości.

Jako przykład ilustrujący powyższą tezę socjolog niemiecki przytacza problem granicy na Odrze i Nysie. Prof. Goldschmidt wyjaśnia, że odmowa uznania granicy na Odrze i Nysie wiąże się z „wielkim ideałem” odbudowy Reichu w granicach z 1937 r.

Ideał jest jasno zdefiniowany. Równocześnie nie ma żadnej koncepcji politycznej, która wiodłaby do realizacji tego programu. W opinii prof. Goldschmidta związki ziomkowskie — wywierając nacisk na rząd zachodnio-niemiecki — uniemożliwiają sformułowanie dynamicznej polityki w stosunku do Europy wschodniej. Żądania tych organizacji pozbawione są sensu ponieważ byli mieszkańcy obszarów położonych na wschód od linii Odry i Nysy — są dziś całkowicie włączeni w życie gospodarcze Federalnej Republiki i nie wróciliby na Wschód nawet wówczas gdyby to było możliwe.

Więc co stanowi siłę napędową programu rewizjonistycznego organizacji ziomkowskich?

Prof. Goldschmidt wymienia trzy elementy stanowiące źródło dynamizmu rewizjonizmu.

Na pierwszym miejscu wymienić należy przekonanie uchodźców, że aktem jednostronnym nie można nikogo pozbawić prawa do jego ojczystej ziemi. Drugim źródłem rewizjonizmu jest antykomunizm. Wielu polityków uważa, że tylko poprzez podtrzymywanie programu rewizjonistycznego — jest możliwe ustawiczne przypominanie Niemcom, że Europa wschodnia znajduje się pod jarzmem rządów komunistycznych narzuconych przez Moskwę. Politycy tej szkoły głoszą, że tylko powrót Niemców na Wschód może przynieść wyzwolenie krajom satelickim.

Trzeciego źródła rewizjonizmu prof. Goldschmidt dopatruje się w niezadowoleniu społecznym. Ewakuowani z obszarów, które wchodziły w skład Trzeciej Rzeszy — zostali wprawdzie w pełni włączeni w życie gospodarcze Federalnej Republiki — lecz ich integracja socjalna — w przeciwieństwie do integracji gospodarczej — pozostawia wiele do życzenia. Dotyczy to zwłaszcza średniego i starszego pokolenia. Niezadowolenie z tego stanu rzeczy znajduje ujście w rewizjonizmie.

Prof. Goldschmidt jest jednak optymistą. Hitlerizm uzyskał poparcie dzięki wielkiemu kryzysowi gospodarczemu. Dziś Niemcy cieszą się dobrobytem nienotowanym w dziejach ich kraju. Przeciętny Niemiec unika wszystkiego co może być niekorzystne dla „businessu”.

Analiza prof. Goldschmidta wydaje mi się wnikliwa i trafna. Należy jednak zaznaczyć, że ów „wielki ideał” odbudowy Reichu w granicach z 1937 r. — nie jest wynalazkiem organizacji ziomkowskich, lecz nosi charakter ogólnoniemiecki.

Głoszenie „wielkich ideałów” które kontrastują z realnymi możliwościami — jest zawsze niebezpieczne jak widać to z dziesiątków przykładów nie tylko niemieckich, lecz i polskiej. Zasadniczy rozdźwięk pomiędzy „ideałem” a możliwościami praktycznymi — uniemożliwia myślenie i politykę pragmatyczną. Pragmatyzm zaś stanowi ważny składnik światopoglądu demokratycznego.

Na przykładzie szowinistycznego programu związków ziomkowskich studiować można rolę „wielkiego ideału” (oczywiście nacjonalistycznego) — jako katalizatora frustracji społecznej. Uchodźcy nie są w biedzie, uczestniczą w dobrobycie Federalnej Republiki — lecz socjalnie, zwłaszcza w pewnych warstwach społeczeństwa, nie są w pełni zaakceptowani. Okazuje się więc, że nie tylko depresja gospodarcza i bezrobocie czynią Niemców skłonny do wysuwania „wielko-ideowych” programów politycznych.

Niebezpieczną jest zwłaszcza kombinacja potencjalnego kultu „ludzi silnej ręki” w połączeniu z pielęgnowaniem „ideału” o wielkim Reichu. Politycy „silnej ręki”, wodzowie i nacjonalistyczni prorocy — nigdy nie myślą pragmatycznie o czym ich rodacy przekonują się zwykle na własnej skórze... po nieuchronnej katastrofie.

Sojusznicy Federalnej Republiki a zwłaszcza Amerykanie mogliby wydatnie przyspieszyć niemiecką ewolucję w kierunku demokracji i pragmatyzmu. Trzeba by jednak dokonać amputacji owego niebezpiecznego nowotworu, którym jest „ideał” wielkiego Reichu. Uznanie przez Waszyngtonu granicy na Odrze i Nysie służyłoby temu celowi.

PROF. Z. BRZEZIŃSKI

Nakładem „Odnova Ltd” ukazał się polski przekład książki prof. Z. Brzezińskiego pt. „The Soviet Block-Unity and Conflict”. Potężny tom, liczący 461 stron.

Po czterech latach od daty ukazania się tego studium — „Jedność czy Konflikty” stały się klasykiem naukowej literatury sowietoznawczej. Przekład polski jest bardzo poprawny. Dotyczy to przede wszystkim terminologii, którą oparto na spolszczeniach używanych w kraju.

Ponieważ książka przeznaczona jest przede wszystkim dla czytelnika krajowego — słusznie zdecydowano używać terminu „radziecki” zamiast „sowiecki”. Na emigracji między określeniami „sowiecki” a „radziecki” istnieje tej miary różnica jak pomiędzy polskim orłem z koroną i bez korony. W Polsce określenie to jest powszechnie przyjęte, zarówno przez przyjaciół jak i wrogów Związku Sowieckiego.

Książka Brzezińskiego obejmuje okres od roku 1945 po rok 1959. Część II, poświęcona analizie lat 1953-56 jest niewątpliwie najbardziej ważna. „Polski Październik” — nie znalazł dotąd lepszego biografa i komentatora jak prof. Brzeziński. Istotne jest tło. Książka nie dotyczy bowiem Polski czy Węgier, lecz całego bloku komunistycznego. Umożliwia to czytelnikowi spojrzeć na ewolucję Polski Ludowej z perspektywy rozwoju całego bloku wschodniego.

Polska literatura sowietoznawcza wzbogaciła się o cenną pozycję.

LONDYŃCZYK

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

JEDNOŚĆ CZY KONFLIKTY

polskie wydanie głośniejszej książki amerykańskiej

« Soviet Block - Unity and Conflict »

omawiającej stosunki i rozwój państw bloku komunistycznego

500 stron, sztywna oprawa z wielobarwną obwolutą

cena 63s.; 9 dol. amer. 43 F.

(przesyłka 3 s 6 d; 50 centów amer.; 2.50 F)

do nabycia we wszystkich księgarniach oraz u wydawcy

ODNOVA LIMITED

27, Hamilton Road, Bedford Park, London, W. 4.

Sprawy gospodarcze

Wspólny Rynek i Wschodnia Europa

Fundamentalna postawa Brukseli: obojętność

Optymiści mogą czerpać pożywkę dla swych nadziei w fakcie że w roku bieżącym, po raz pierwszy, władze oraz publikacje, Komisji Brukselskiej Wspólnego Rynku wymieniają konieczność uregulowania stosunków handlowych „Szóstki” z „Europą Wschodnią”, która, według nomenklatury brukselskiej, obejmuje Polskę, Czechosłowację, Węgry i Rumunię, oraz zapewne także Bułgarię i Albanie, ale dla tych dwóch ostatnich krajów Bruksela nie prowadzi oddzielnych statystyk. Rosję Sowiecką władze Wspólnego Rynku słusznie traktują oddzielnie. Inaczej się kształtuje handel Szóstki z Rosją, a inaczej z „Europą Wschodnią”: w ciągu ostatnich sześciu lat handel z Rosją wzrósł o przeszło 100 procent, handel z „satelitami” drepce przeważnie w miejscu, z Czechosłowacją nawet wyraźnie spadł.

Ale te nadzieje byłyby przedwczesne. Komisja żąda „by w pierwszej linii były rozpatrzone stosunki handlowe z Japonią i krajami Wschodu”, ale równocześnie podkreśla: „Nadeszła chwila, gdy Wspólnota nie może dłużej ignorować problemu, jak będzie wyglądać jej polityka handlowa wobec reszty świata. Wspólny Rynek w roku bieżącym wstąpił w drugą połowę swego okresu przejściowego. Być może już w końcu przyszłego roku wszystkie wewnętrzne cła między krajami Szóstki będą zniesione. W miarę znikania tych ciał wewnętrznych oraz innych przeszkód dla handlu w łonie Szóstki, stosowanie ODMIENNYCH polityk handlowych wobec państw trzecich przez państwa członkowskie może doprowadzić do tego, że poszczególni członkowie będą żądać stosowania klauzul wyjątkowych, będą hamować wolną cyrkulację dóbr i towarów wewnątrz Wspólnoty, a te wyjątkowe zarządzenia mogą opóźnić rozwój a nawet zagrozić istnieniu nowopowstałej Unii Celnej”.

Artykuł dyskusyjny. Redakcja.

I Komisja Wspólnego Rynku dalej dowodzi:

„Przed końcem bieżącego roku Szóstka musi ujednostajnić politykę handlową państw członkowskich, i obmyśleć procedurę oraz narzędzia tej wspólnej polityki handlowej. Muszą być uregulowane, etapami, następujące zagadnienia: liberalizacja, kwestia kontyngentów, stosunki handlowe z krajami typu Japonii, STOSUNKI HANDLOWE Z KRAJAMI WSCHODU, środki zachęty i pomocy dla eksportu, zastąpienie układów bilateralnych przez układy zawarte w imieniu całej Szóstki (*accords communautaires*)”.

Tak więc punktem wyjścia zainteresowań Komisji nie jest rozwój Europy Wschodniej, ani nawet rozwój stosunków gospodarczych z tym obszarem. Zainteresowania Komisji koncentrują się na *ujednostajnieniu* polityki państw członkowskich. Komisja chce „gleichschaltować” handel z „Europą Wschodnią”, chce go poddać jednokowym rygorom. Komisja walczy o jedność Szóstki, boi się, by odmienne traktowanie handlu ze Wschodem nie wywołało tarć w jej łonie, nie nadwyrężyło delikatnych mechanizmów współpracy Wspólnego Rynku. Te obawy nie są bezpodstawne, ale są przesadne. W roku ubiegłym, jak i w latach poprzednich, największe obroty handlowe z „Europą Wschodnią” utrzymywały — w łonie Sześciu — Niemcy Zachodnie: ta przewaga była zwłaszcza widoczna w eksporcie do tego obszaru, w którym udział Niemiec Zachodnich przekraczał, i to znacznie, 50%. Import był bardziej równomiernie rozłożony. Ale istotą rzeczy była **SZCZUPŁOŚĆ** obrotów Szóstki z tym „Wschodem”, który, nawet obejmując Rosję, nigdy nie doszedł do kwoty miliarda dolarów rocznie, ani po stronie wywozu, ani przywozu, przy czym Rosja miała nadwyżki a pozostałe państwa „Wschodu” deficyty w obrotach z Szóstką. Na 24 miliardy dolarów importu, na przeszło 21 miliardów dolarów eksportu rocznego, handel Wspólnego Rynku ze „Wschodem” wynosił i wynosi nadal mniej niż 5% obrotów Wspólnego Rynku. Obroty Szóstki z całym „Wschodem” są mniejsze niż z jedną tylko Szwajcarią.

Komisja Brukselska nie wypowiada się ani za rozszerzeniem, ani za zmniejszeniem handlu ze „Wschodem”. Chodzi jej tylko o to, by handel ten nie był okazją do tarć w łonie Szóstki. Ale czy handel ten się podwoi, czy też spadnie do zera, to Komisji Brukselskiej nie interesuje. Komisja prowadzi intensywną kampanię, w sprawie handlu ze Stanami, z Wielką Brytanią i „Strefą wolno-handlową”, interesuje się krajami zacofanymi, zwłaszcza Afryką: we wszystkich tych wypadkach rokuje, proponuje rozwiązania kompromisowe, pośredniczy. W sprawach „Wschodu” nie przejawia żadnej inicjatywy, ani nawet zainteresowania. Powiada tylko swym sześciu owieczkom: swoje traktaty, umowy, clearingi z poszczególnymi państwami „Wschodu” zamieście na układy, które będą wspólnie zawarte, najlepiej przez nas, przez Komisję, oparte na tych samych taryfach, na tych samych zasadach, na tych samych kontyngentach. Chodzi nam o formę, mniejsza o treść.

Jednym słowem, gdy komisja mówi o uregulowaniu stosunków handlowych ze Wschodem, to ma na myśli wyłącznie ich **UPORZĄDKOWANIE**. Czy może się to zmienić?

Jak Komisja Brukselska widzi przyszłość stosunków ze „Wschodem”?

Sądzę, że Komisja Brukselska uważa cały ten problem za potencjalnie niebezpieczny, a nie wierzy by w okresie najbliższych kilku lat kraje „Wschodu” mogły stać się interesującym partnerem gospodarczym dla Zachodniej Europy. Politycznie (to jest tak oczywiście, że każdy w Brukseli zdaje sobie z tego sprawę bez żadnego przekonywania ani namysłu) wskazane byłoby forsowanie handlu z „satelitami” a nie z Rosją. Ale czy by to nie dało asumptu Rosji do podniesienia gwałtu, że Wspólny Rynek jest narzędziem „imperializmu”, „rewizjonizmu”, że stara się „rozbijać jedność bloku socjalistycznego”? Czy w rezultacie ewentualny wzrost obrotów nie okazałyby się krótkotrwałe? Czy by nie wywołał ostrej interwencji Rosji w stosunku do „satelitów”, czy by nie opóźnił procesu dekompozycji bloku wschodniego? Ostrożni panowie z rue de la Joyeuse Entrée wolą nie próbować. Ekonomicznie, zwiększanie obrotów z Rosją byłoby i łatwiejsze, i zapewne intratniejsze od intensyfikacji obrotów z satelitami. Satelici nie mogą dzisiaj być źródłem surowców, bo ich nie mają, ani żywności, bo ich rolnictwo jest zniszczone, zacofane i straszliwie mało produktywne. Więc państwa „satelickie” mogłyby naprawdę zwiększyć swe obroty z Szóstką, i w ogóle z Zachodem, tylko dostarczając towarów przemysłowych? Jakich? Czym kosztem? I jak ogromnych trzeba by w tych krajach satelickich inwestycji, by mogły one konkurować z Zachodem w eksporcie maszyn, chemikaliów czy samochodów? Kto miałby te inwestycje robić, w jakim celu, dla czyjej korzyści?

Z powodów geograficznych, historycznych, tradycyjnych jedynym krajem Szóstki, który miałby dane na poważnego dostawcę „Satelitów” i na głównego odbiorcę ich towarów, byłaby NRF. Maszyny niemieckie będą zawsze lepiej dostosowane do potrzeb wschodnio-europejskiego gospodarstwa i do umiejętności wschodnio-europejskiego robotnika, niż maszyny francuskie, czy włoskie. A jednocześnie NRF jest straszakiem: Rosja i rządy satelickie stale robią z Wspólnego Rynku teren harców „monopolistów” zachodnio-niemieckich. Czy dla problematycznych korzyści warto zwiększać napięcie Wschód-Zachód?

Stosunek do Rosji jest oczywiście dziedziną, w której każdy kraj Zachodni patrzy swym sąsiadom specjalnie na ręce. Wystarczy jeden większy kontrakt, jak np. rur angielskich dla rurociągów naftowych w ZSSR, by rozlegały się po całej Europie zarzuty i oskarżenia. Wystarczy wizyty Faure'a w Rosji, zaproszenia Adżubeja do Paryża, by już w Bonn nadstawiano uszy. Po-

dobnież każda kaczka dziennikarska, że Erhard mógłby się wybrać do Moskwy, już denerwuje inne stolice. Podróże p. Beitz'a, generalnego pełnomocnika Kruppa, do Moskwy już były ewenementem międzynarodowym: co by to było, gdyby te odwiedziły w Moskwie czy w Warszawie przyniosły nie drobne transakcje, ale duże inwestycje, ale wielkie lokaty, ale interesy na skalę tych, które Krupp robi w Indiach, Thyssen w Brazylii, Siemens w Argentynie? Czy delikatny mechanizm równowagi politycznej i gospodarczej wewnątrz Szóstki, między Szóstką a Anglią, między Szóstką a Stanami by się nie wywrócił przy porządnym rozgrzaniu paleniska w wielkim wschodnio-europejskim piecu?

Są i trudności „ideologiczne”. Nie ma nigdzie handlu w 100 procentach prywatnego: wszędzie interweniuje państwo i rządy, a sektor publiczny jest wszędzie jeszcze bardziej podatny na naciski ze strony rządów, niż sektor prywatny. Ten sektor publiczny obejmuje np. w Austrii blisko jedną trzecią całej gospodarki, obejmuje via przedsiębiorstwa znacjonalizowane nie tylko koleje, gaz, elektryczność, prawie cały przemysł naftowy, ale także większość banków, ale cały przemysł hutniczy i stalowy, etc. etc. Transakcje sektora publicznego są notorycznie trudniejsze do poddania rygorom liberalnej polityki handlowej, niż sektor prywatny. Zakupy Boeingów czy Caravelles, tym bardziej samolotów wojskowych, są w dużej mierze wynikiem nacisków rządowych, siuch politycznych. Niejeden może powie: Ba, w stu procentach. To przesada. Anglicy mieli więcej środków nacisku od Francuzów, w *Commonwealth*'ie było dużo więcej linii lotniczych australijskich, kanadyjskich, Middle East, indyjskich etc, niż w *Communauté*. A jednak Monsieur Héreil sprzedał prawie 200 Caravelles, a de Haviland sprzedał wszystkiego 59 Comet i ich produkcję musiano niesławnie wstrzymać. Wartość towaru swoje zawsze robi. Ale tentacja fałszowania reguł gry, w danym wypadku wolnej konkurencji, jest tym większa, im zakres władzy gospodarczej i sektoru publicznego danego państwa jest większy. Doświadczenie Austrii, która ma wysoki odsetek obrotów z blokiem wschodnim — 18% — wykazuje, że kontrahenci państw komunistycznych są narażeni na różne naciski: jeżeli Rosja jest z ich polityki, na zupełnie innych, nie-handlowych odcinkach, niezadowolona, nagle zamówienia maleją lub są wycofane, terminy spłacania należności nagle się przedłużają, albo są nagle kwestionowane. Można sobie wyrobić, wypracować rynek zbytu w Europie Zachodniej, w Ameryce Północnej, w Ameryce Łacińskiej, nawet w państwach murzyńskich czy azjatyckich, ale nikt nie może sobie takiej pozycji zdobyć na rynkach sowieckim czy „sateliczkich”. Jeden telefon „miarodajny”, i trudy, wysiłki szeregu lat są stracone. Jeden dekrecik przenoszący jednego urzędnika w stan spoczynku, tym bardziej w stan oskarżenia, i już po krzyku. Aparat handlowy jest zalany wywiadowcami, dla których handel zagraniczny jest tylko parawanem dla zdobywania informacji o zapasach kalesonów na wypadek wojny czy ilości nabożów w ładownicy wartownika.

Komisja Wspólnego Rynku musi strzec pewnych zasad i ideałów choć postępuje empirycznie. Tym ideałem jest oczywiście wolność handlu, wolność obrotów. Można od tego ideału robić wyjątki, Komisja Brukselska nieustannie je robi, ale musi obstawać przy sądzie, że muszą być ustalone reguły gry, i że te reguły nie mogą być przy lada okazji rzucone na śmietnik. Te reguły — to zniesienie kontroli dewizowej, zniesienie kontyngentów, jednakowe kursy waluty dla wszystkich kontrahentów, równe szanse dla wszystkich, gwarancje prawne, jawność cen, statystyk, obrotów etc. etc. Czy to pewne minimum wolności handlu, o który walczy Komisja Brukselska, może istnieć w transakcjach z państwami, które mają monopol handlu zagranicznego? Komisja Brukselska uważa, że jest to niemożliwe, i dlatego handel ze światem komunistycznym uważa za zło konieczne. I nie wierzy, by handel ten mógł stać się czynnikiem wzrostu bogactwa, dobrobytu i stopy życiowej.

Handel z producentami surowców

W jaki sposób handel zagraniczny reguluje przebieg koniunktury? Koniunktura powinna przebiegać równomiernie, w teorii na całym świecie, w praktyce w ugrupowaniach geograficznych, powiązanych węzłami handlu, finansów, inwestycji, stopnia uprzemysłowienia etc. Dawna zależność krajów przemysłowych od krajów produkujących surowce zmalała na skutek postępów techniki, w szczególności chemii, która pozwala zastąpić surowce naturalne „ersatzami”. I tak zamiast bawełny przemysł tekstylny używa dzisiaj coraz więcej sztucznych włókien. Sztuczny kauczuk zastępuje produkt Malajów i Indonezji. W tym samym kierunku działa lepsze wykorzystanie surowców: np. dzięki lepszym kotłom trzeba coraz mniej węgla, by wyprodukować daną ilość energii czy wytopić daną ilość surowki. Podobnie postępy techniki zastąpiły konia, jako siłę pociągową w rolnictwie: znikła potrzeba wielkich ilości roli uprawnej pod owies, a tym samym zasiewy pszenicy wzrosły automatycznie etc. Jeszcze w 1958 roku bankierzy angielscy i ekonomiści brytyjscy przypisywali ogromne znaczenie sile nabywczej krajów produkujących surowce, a więc tak zwanemu *Commonwealth*: myśleli, że większy popyt na brytyjskie towary może przyjść tylko od producentów juty, kauczuku, herbaty, bawełny, niklu, cyny, etc. Dzisiaj Anglicy zdają sobie sprawę, że ewolucja krajów wysoko uprzemysłowionych stała się w dużej mierze niezależna od rozwoju krajów zacofanych, których obroty handlowe pozostają mniej więcej na poziomie sprzed pięciu czy nawet dziesięciu lat, czyli ich udział w handlu światowym stale maleje. Stąd poważne zmniejszenie zainteresowania *Commonwealth*'em w Anglii; stąd kolosalny nacisk kół gospodarczych w Anglii w kierunku „wejścia do Europy”, czyli do Wspólnego Rynku.

Handel Francji z Polską

Otóż to samo co powiedziałem o *Commonwealth*'ie jest prawdą, tylko w o wiele wyższym stopniu, co do „Wschodu” w ogóle, a krajów „satelickich” w szczególności: wpływ ich na koniunkturę gospodarczą w Europie (tak samo jak na równowagę sił politycznych w jej obrębie, tym bardziej w zakresie światowym) jest wielokrotnie mniejszy, niż był przed wojną, koniunktura w Zachodniej Europie nie zależy od państw Wschodniej Europy. Wspólny Rynek może się doskonale bez Europejskiego „Wschodu” obejść.

W rzeczy samej Zachodnia Europa uważa „Wschód” europejski tylko za teren dumpingu, za sposób pozbycia się nadwyżek, których gdzie indziej uplasować nie można, albo za ukryty sposób ratowania przemysłów niekonkurencyjnych, lub chwilowo w tarapatkach. I tak połowa niesłychanie mizernego eksportu Francji do Polski w roku ubiegłym — to były *les céréales*, a więc pszenica, którą Francuzi sprzedawali w roku ubiegłym po cenach dumpingowych, dopłacając słono do każdej tony: był to sposób bardzo kosztowny, podtrzymania ceny pszenicy we Francji i pozbycia się rekordowego urodzaju w 1962 roku (14 milionów ton), większego od plonów Kanady! Eksport Francji do Polski w r. 1963 wyniósł wszystkiego 217 milionów Franków, czyli mało co ponad 40 milionów dolarów — podczas gdy cały eksport Francji wyniósł w tymże roku już 8 miliardów dolarów, w tym eksport do samych Niemiec wyniósł przeszło miliard dolarów. Eksport francuski do Polski wyniósł jeden pro mille całego eksportu francuskiego, a mniej niż jeden procent eksportu do samej NRF. Ci, którzy BREDZĄ o stosunkach polsko-francuskich, o oddziaływaniu Polski na Francję, o znaczeniu Polski dla obecnej gaullistowskiej polityki zagranicznej, powinni się przez sekundę nad tymi cyframi zastanowić. Co więcej, na tych nędznych 217 milionów franków eksportu 129 milionów franków — to eksport zboża, czyli pszenicy, a więc z punktu widzenia francuskiego zło konieczne, strata, poniesiona mężnie w interesie francuskiego rolnictwa. To subsydium — ale nie dla Polaków, lecz dla chłopów francuskich. A z punktu widzenia polskiego — to skandal. Jeżeli Polska nie może się sama wyżywić nawet w dziedzinie zboża, nie mówiąc naturalnie o mięsie, o jarzynach, o owocach, o tytoniu, o przetworach rolnych — to co dzisiejsza Polska może właściwie produkować, z czego ma żyć? Przecież dzisiejsza Polska obejmuje prowincje, które przed 1939 uchodziły za „śpichrz” Niemiec!

Jeszcze bardziej katastrofalnie wygląda eksport Polski do Francji. Suma tego eksportu wynosi zaledwie 115 milionów franków, czyli mało co ponad 20 milionów dolarów, a więc mniej niż pół pro mille całego importu francuskiego. Na każde dwa tysiące dolarów wydane przez Francuzów na zaopatrywanie się zagranicą tylko jeden dolar przypadał na zakupy w Polsce. I cyfry handlu Francji z pozostałymi państwami „satelickimi” były bardzo zbliżone. Cały handel Francji ze Wschodem nie wynosi nawet jed-

nego procentu obrotów Francji z zagranicą. Trochę lepiej wygląda sytuacja, jeżeli chodzi o obroty Włoch z tym „Wschodem” a zwłaszcza gdy chodzi o Niemcy Zachodnie, które same jedne mają większe obroty z tym regionem, niż wszyscy pozostali partnerzy Szóstki łącznie. Ale w ogóle udział całego „Wschodu” w handlu zagranicznym Szóstki nie dochodzi do 5%. Handel ten jest tak znikomy, że w ogóle nie ma o czym mówić.

Dla porządku przypomnę jednak główne pozycje mizernego eksportu polskiego do Francji. Trzy pozycje stanowią przeszło połowę polskiego eksportu do „siostrzycy zachodniej”. Primo: *animaux vivants* (15 mil. fr.), z czego znaczna część przypada na eksport starych koni na rzeź. Druga pozycja — to drzewo — 24 miliony franków. Ta pozycja jest mniejsza niż przed wojną, i nie powinna wzrastać: Polska ma mniejszą powierzchnię pod lasami, niż Francja, powinna zalesiać okręgi mało urodzajne, bagniste, zdewastowane i wstrzymać wyręby na szereg lat. Wreszcie najważniejszą pozycję stanowi węgiel: 29 milionów ton. Węgiel polski miał szaloną koniunkturę do 1958 roku. Tę koniunkturę rządy Bieruta, pod naciskiem Rosji oczywiście, całkowicie zapaskudziły i zmarnowały.

Sądzę, że dzisiaj tej koniunktury węglowej odbudować się nie da. Węgiel polski jest droższy w Zachodniej Europie od węgla amerykańskiego, który jest tańszy, nawet w Essen, od węgla Ruhry. Państwa zachodnio-europejskie ratują, na skutek złe pomowanych refleksów czy to obrony narodowej, czy zachowania rodzimych źródeł energii na wypadek zbyt jaskrawego szantażu krajów arabskich etc., pewną część swej produkcji węgla, ale jednak produkcja Wspólnego Rynku spadła o przeszło 10% w porównaniu z rokiem 1958. Węgiel reprezentuje coraz mniejszy udział w całokształcie środków energetycznych. Odkrycie ogromnych, rzekomo drugich pod względem wielkości na świecie, zaraz po Teksasie, zasobów gazu ziemnego w Holandii, polepszenie gaziągów, doprowadzenie do perfekcji techniki skroplenia gazu ziemnego w Arzew w Algierii i metanowców dla przewożenia tego skroplonego gazu do portów Anglii i Francji, możliwości ekonomicznego produkowania prądu elektrycznego w centralach atomowych, *l'usine marémotrice de la Rance* (przyływy morskie) — wszystko to każe przypuszczać, że zapotrzebowanie na węgiel w Europie Zachodniej będzie maleć, może nawet prędzej niż obecnie. Więc w handlu z Zachodem Polska straciła swój główny atut, i nie widać czym go może zastąpić. *Rebus sic stantibus* perspektywy handlu Polski z Zachodem rysują się wyjątkowo ponuro.

Handel Szóstki z resztą „Wschodu”

Tak samo ponuro oceniam szanse handlu pozostałych państw satelickich ze Wspólnym Rynkiem — i to nawet niezależnie od

kwestii ustroju, monopolu handlu zagranicznego oraz przewagi Rosji, jako partnera w handlu zagranicznym. „Satelici” nie mają surowców do zaofiarowania. Ich rolnictwo żadnych nadwyżek nie daje, przeciwnie jest tak nędzne, że import zboża stał się koniecznością nie tylko w Polsce, ale także w Rosji i na Węgrzech. Hordowla u „satelitów” wygląda opłakanie, więc nawet wieprzowiny, bekonu, szynki, nie mówiąc o tak pożądanej na Zachodzie wołowinie, „satelici” dostarczać Zachodowi na większą skalę nie mogą. Cały przemysł satelicki, a nawet cały przemysł „Wschodu”, łącznie z Niemcami Wschodnimi i Rosją, wydaje się zupełnie niekonkurencyjny: może wegetować tylko dzięki polityce bardzo niskich płac, kontyngentów, murów celnych, monopolu handlu zagranicznego etc. Może się zdarzyć, że na jakimś odcinku — np. stoczni w Polsce czy piwa w Czechosłowacji — można coś ulokować na rynkach zagranicznych, ale to są pozycje i skromne, i wyjątkowe. Rosja jest zainteresowana w utrzymaniu tego stanu rzeczy: gdyby jej satelici doszli do przekonania, że swoje artykuły przemysłowe mogą lokować na rynkach zagranicznych, to by mniej potulnie znosili narzucanie im przez Rosję form i kierunków handlu zagranicznego. A tak, gdy sami się boją, że swej tandety nie sprzedadzą ani w Niemczech, ani w Anglii, ani w ogóle nigdzie na Zachodzie i w państwach wolno-dewizowych, łatwiej godzą się z myślą, że nie warto walczyć, nie warto się starać, trzeba fortwurstłować i sprzedawać marny towar, wytwarzany przez źle płatnego robotnika, za marną cenę i na złych warunkach jedynemu możliwemu odbiorcy, którym jest rząd sowiecki, czy rządy innych satelitów. Rosja może utrzymać w ryżach swych satelitów, gospodarczo i politycznie, tylko w warunkach depresji gospodarczej, tylko dusząc wszelkie możliwości ekspansji, dusząc stopę życiową, poziom płac, chęć wzbogacenia się. Rosja rozwija się ciężko, powoli, ociężale. Nie może pozwolić, by któryś z jej satelitów skoczył galopem czy choćby kłusem. To ona powinna swój tabunik wyprzedzać, nie odwrotnie.

Zachód potrzebuje bardziej handlu z Rosją, niż z „satelitami”. Rosja ma surowce, i kto wie, czy nie potrafi skłonić Zachodu do kupowania jej ropy, tak jak go już dawno skłoniła do kupowania każdej ilości rosyjskiego złota i rosyjskiego drzewa. Nie wierzę ani chwili, by Rosja mogła poważnie rozbudować eksport przemysłowy do „Szóstki”: w ciągu najbliższych dziesięciu lat przynajmniej nie może być o tym mowy. Ale Rosja może stać się dużo poważniejszym eksporterem surowców na Zachód, niż dzisiaj. Handel Zachodu z Rosją będzie zapewne wzrastał szybciej, niż handel Zachodu z satelitami, jak to zresztą dzieje się stale od sześciu czy ośmiu lat. Wzrost obrotów rosyjsko-zachodnich jeszcze wzmoże zależność „satelitów” od Rosji, ułatwi szybszy wzrost stopy życiowej w Rosji, niż w krajach od niej zależnych. Zresztą to już dzisiaj ma miejsce. Handel zagraniczny satelitów ze Wspólnym Rynkiem ma dzisiaj charakter szczytkowy, omal archeologiczny, specjalnie w wypadku Czechosłowacji. Obawiam się, że ta tendencja się dalej zaostrzy.

Stopa życiowa w Polsce i w Rosji

Cała nasza mentalność na emigracji, w szczególności teza, że głównym naszym zadaniem powinna być „obrona granicy na Odrze i Nysie”, wychodzi z założenia, że zależność od Rosji jest zjawiskiem wprawdzie nieprzyjemnym ale przejściowym i po wtóre, że ta zależność nie narusza fundamentalnej przynależności Polski i innych „satelitów” do Zachodu. To rozumowanie stosujemy również do spraw gospodarczych. Otóż w tej przynajmniej dziedzinie całe to rozumowanie jest błędne. Przepaść gospodarza między satelitami a Zachodem pogłębia się, zależność od Rosji, związanie z jej ustrojem, jej systemem, jej „planowaniem” występuje coraz jaskrawiej. Już dzisiaj stopa życiowa w Polsce coraz bardziej zbliża się do rosyjskiej, przynajmniej w Moskwie i w Leningradzie, niektórzy nawet twierdzą, że jeżeli chodzi o wyższe klasy społeczne, jak np. profesorowie, wyżsi urzędnicy, oficerowie, jest już dzisiaj niższa od sowieckiej. Nie wygląda na to, by technika polska mogła być dzisiaj lepsza od sowieckiej w jakiegokolwiek dziedzinie. Przed wojną irytowało nas straszliwie, że uważano Niemców za naród „lepszy” od Polaków, ale pewną pociechą było nasze przeświadczenie, że górujemy nad Rosjanami pod każdym względem. Dzisiaj nikt nie porównuje ani sił, ani talentów kadłubowych Niemiec z powiększoną o ziemie piastowskie Polską, natomiast na Zachodzie coraz więcej słyszy się głosów, nawet pośród Francuzów Polsce życzliwych, które wyśmiewają się z naszych pretensyj, jakoby Polacy mieli być narodem zdolniejszym czy bardziej „zachodnim” od Rosjan.

W latach 1919-1939 stosunki w Polsce (mówię na razie o gospodarce) były opłakane, ale jednak były zawsze lepsze, i to o wiele, niż w Rosji Sowieckiej. Pamiętam, jak znajomy mój, Anglik, mówił mi w Warszawie gdzieś koło 1936 roku, po powrocie z Moskwy i po objechaniu naszych kresów Wschodnich: *Whatever you might say about Poland, conditions in Pińsk are better than in Minsk*”.

W Grecji po wojnie, w Bułgarii przed wojną, uderzało mnie do jakiego stopnia czterysta lat niewoli tureckiej, zacofania tureckiego, było zapisanych na każdym murze, na każdym podwórku, w każdym zakątku. Jeżeli panowanie sowieckie potrwa dłużej — a dzisiaj wygląda na to, że się utrzyma w każdym razie przez dalszych kilkadziesiąt lat — to granica panowania rosyjskiego będzie równie wyraźna, jak jest jeszcze dzisiaj różnica między Grecją a Włochami, które jarzma tureckiego nie zaznały.

Mechanizm handlu międzynarodowego

Rosja, nie tylko sowiecka, ale tak samo carska, była i jest zawsze przeciwna wszelkiemu zjednoczeniu Europy. Z rosyjskiego punktu widzenia jest to stanowisko logiczne i rozumne (zre-

sztą tak samo jak z punktu widzenia Wielkiej Brytanii), bo wobec Zjednoczonej Europy Rosja byłaby w dużo słabszej pozycji. Stąd Rosja stale zwalcza wszelkie próby unifikacji Europy, stąd podsyca wszystkie wewnętrzno-europejskie spory i niesnaski, zachynając od wielkich antagonizmów, jak między Francją a Niemcami, czy Francją a Anglią, a kończąc na drobnych, parafialnych kłótniach, jak w sprawie Sud-Tirol.

Tę samą politykę (nie tylko taktykę) Rosja stosuje wobec prób gospodarczego zjednoczenia Europy. Brutalnym naciskiem stara się uniemożliwić przyłączenie się Austrii do Wspólnego Rynku, choć ta symbioza tak bardzo leży w interesie Austrii. Jeszcze gwałtowniej Rosja przeszkadza akcesowi Finlandii do Wspólnego Rynku. Niezgrabnie, ale z uporem Rosja podsyca rywalizację Szwedów i Szwajcarii. Jestem przekonany, że Rosja nigdy nie pozwoli na akces jej satelitów Europejskich do Wspólnego Rynku, nawet w formie asocjacji.

A jednak założymy, że Rosja pozwala satelitom przystąpić do Rynku. Co się dzieje?

Otóż komisja Wspólnego Rynku byłaby rozszerzeniu stosunków z tymi eks-satelitami niechętna. Zadaniem Komisji Brukselskiej jest stworzenie wspólnej polityki gospodarczej dla całej Szwajcarii, i zwłaszcza baczenie, by polityka handlowa i celna członków oraz państw stowarzyszonych (*associés*) była zharmonizowana z głównym celem: równomiernej, harmonijnej ewolucji koniunktury na całym terenie Rynku, od granicy duńskiej do Sycylii, od Finistère do Triestu dzisiaj, a jutro, być może, od Lizbony do Ankarę.

Ideałem Rynku jest wprowadzenie pewnego automatyzmu działań gospodarczych, niezależnego od woli rządów, przedsiębiorców, samej komisji. Ten automatyzm przybiera formę neoklasyczną: gdy w którymś kraju następuje „przegrzanie koniunktury”, w formie zbyt wysokich inwestycji, ciasnoty pieniądza, braku rąk do pracy, zbyt gwałtownych zwwyżek płac, zbyt wielkich zwwyżek cen, właściwy rząd powinien zastosować klasyczne hamulce: ograniczać kredyt, naciskać na płace, hamować konsumpcję, w skrajnych wypadkach nawet podwyższać podatki. I wówczas te środki winny przywrócić danemu krajowi jego „konkurencyjność”, zwiększyć jego eksport, via wzrost eksportu wywoływać nową falę ożywienia.

Ba, ktoś powie, ale wszystkie te środki nazywają się łącznie „deflacją” i zostały gruntownie wypróbowane w latach wielkiego kryzysu, i okazało się, że, łącznie, kryzys tylko pogłębiają! Też Komisja Brukselska wynalazła sobie wzory, godne naśladowania!

Wolnego. Jest zasadnicza różnica. W latach wielkiego kryzysu, każdy kraj ścinał płace, dusił wydatki państwowe, hamował inwestycje, wpływał niżkowo na ceny, ale nie zdobywał sobie żadnej *contre-part*, żadnego ekwiwalentu z tytułu zwiększonej konkurencyjności, zwiększonego eksportu, bo coraz wyższe mury celne, a zwłaszcza coraz sroższe kontyngenty na to nie pozwalały. Weźmy przykład polski, więc dobrze nam wszystkim znany. W latach

1930-34 ceny naszych produktów rolnych spadły na łeb na szyję. Mimo tego nie mogliśmy uplasować ich więcej na rynkach światowych, bo te rynki zaryglowały się przed nami na skutek kontyngentów. To samo było z węglem. Obniżaliśmy — a zresztą i wszyscy inni — nasze ceny i koszty własne w nieskończoność, a jednak „nagrody” w postaci zwiększonego eksportu nie było, bo coraz wyższe mury ceł i kontyngentów, oraz przepisy dewizowe uniemożliwiały wszelki wzrost wywozu.

Otóż to się zmieniło w perspektywie ogólnozachodniej, a specjalnie Wspólnorynkowej. Wspólny Rynek powiada swym członkom: gdy stoicie wobec „przegrzania koniunktury” (*Ueberhitzung der Konjunktur*), która jest zawsze synonimem inflacji, hamujcie płace, hamujcie konsumpcję, hamujcie wzrost wydatków państwowych i samorządowych, jednym słowem bierzcie wolniejszy bieg, ale pod żadnym pozorem nie wolno ani wam, ani waszym partnerom hamować wymiany międzynarodowej; nie wolno wam się bronić przeciw „kryzysowi” zakazami przywozu, czy podnoszeniem ceł, czy innymi sztuczkami, które by zmniejszyły przywóz czy sztucznie popierały wywóz. W takich warunkach każde państwo członkowskie, które zastosuje klasyczne środki przeciw inflacji, zobaczy, już po niewielu miesiącach, jak jego konkurencyjność się polepsza, i jak ta konkurencyjność natychmiast znajduje swe odbicie we wzmożonym eksporcie. A ten wzmożony eksport, nawet sam wzrost zamówień zagranicą, będzie punktem wyjścia nowego cyklu, będzie sygnałem dla nowego rozkręcenia koniunktury.

Fakty potwierdzają teorię

Ta teoria znajduje potwierdzenie w faktach. W roku 1962 Niemcy przeżyły osłabienie koniunktury, częściowo z powodu rewaluacji marki niemieckiej w marcu 1961 roku, częściowo z powodu zbyt szybkiego wzrostu płac i cen. Nigdy nie doszło do spadku produkcji, do spadku zatrudnienia, ale TEMPO ekspansji zmalało, nadwyżka eksportowa spadła z 6 miliardów DM. w roku 1961 do „tylko” 3 i pół miliardów DM w roku 1962, zamówienia zagranicą zmalały, tak że terminy dostawy niemieckich maszyn czy samochodów skróciły się z sześciu miesięcy na trzy miesiące, tempo wzrostu płac poważnie osłabło, skracanie czasu pracy stało się powolniejsze etc. O żadnym kryzysie w Niemczech nie było mowy, ale można powiedzieć, że gospodarka niemiecka z galopu przeniosła się na kłusika, gdzieniegdzie nawet na stępa, ale nigdy się nie cofnęła. Otóż cnoty umiaru, które przedsiębiorcy i pracownicy niemieccy wykazali w roku 62-63, plus dalsze rozluźnianie ceł zaczęły wydawać owoce poczynając już od drugiego kwartału 1963. W roku ub. nadwyżka eksportowa Niemiec już znowu wyniosła sześć miliardów DM, czyli półtora miliarda dolarów, a na rok 1964 wszyscy eksperci, niemieccy, amerykańscy i angielscy, przewidują, że nadwyżka samego tylko bilansu handlowego

Niemiec wyniesie aż 9 miliardów DM, przeszło 2 miliardy dolarów, więcej niż kiedykolwiek przedtem. Eksport niemiecki, który już w zeszłym roku osiągnął rekordowy poziom 58 miliardów DM, czyli 14 i pół miliardów dolarów, w roku bieżącym ma osiągnąć poziom 64 miliardów DM, czyli 16 miliardów dolarów, już tylko o pięć czy sześć miliardów mniej niż eksport Stanów, których ludność jest blisko czterokrotnie większa od ludności NRF.

Co więcej, podobne procesy widzimy Anglii i we Francji, choć gospodarka obu tych krajów jest o tyle sztywniejsza od niemieckiej. Francja zastosowała medycynę deflacyjną, zwaną planem stabilizacyjnym, 12 września ubiegłego roku, jednocześnie NIE wprowadzając żadnych ograniczeń w handlu zagranicznym: i już teraz widzimy wyniki. Tempo wzrostu płac zostało zahamowane, wzrost cen się zatrzymał, lub osłabił, a jednocześnie Francja stała się bardziej konkurencyjna, co natychmiast znalazło swój wyraz w poważnym wzroście eksportu francuskiego. Cnota finansowa została raz jeszcze nagrodzona.

Właśnie taki przebieg wypadków stanowi credo Komisji Wspólnego Rynku. Deflacja lat trzydziestych nie była połączona z obniżaniem barier celnych i kontyngentów, ze zwiększaniem handlu międzynarodowego, i dlatego skończyła się fiaskiem: ówczesna deflacja nie zawierała żadnych antidotów na kryzys. A dzisiaj polityka *austerity* ma natychmiast przynosić kurację w postaci impulsów, wynikających ze zwiększonego eksportu. Reagowanie eksportu na posunięcia polityki koniunkturalnej — oto kamień filozoficzny nowej, powojennej, wspólnorynkowej polityki ekonomicznej.

Monopol handlu zagranicznego

Nic podobnego nie istnieje za Żelazną Kurtyną. Za tą barierą żaden element nie reaguje na inflację czy deflację: żadne dzwonki ostrzegawcze w postaci zwiększenia się deficytu w handlu zagranicznym czy odpływu dewiz nie działają, nie działają także żadne zastrzyki koniunkturalne w postaci wzrostu eksportu, znalezienia nowych rynków. Wszystko pozostaje sztywne, nie ma żadnej elastyczności w całym tym systemie. Zahamowanie procesów inflacyjnych we Francji natychmiast znajduje swą nagrodę w postaci większych zakupów niemieckich we Francji, większej ilości turystów amerykańskich we Francji. Polska dzisiejsza, uginająca się pod jarzmem *clearing*'ów, umów bilateralnych, kontyngentowej wymiany, sztywnych, wieloletnich umów handlowych nie znajduje w handlu zagranicznym żadnej podniety, żadnych zastrzyków energii, żadnych bodźców koniunkturalnych. Gospodarka polska, na wzór sowieckiej, drepce w miejscu, staje się co dzień bardziej zaśniedziała, bardziej sklerotyczna, bardziej starowiecka, oderwana od wszelkich impulsów gospodarki światowej.

Takich partnerów Wspólny Rynek nie tylko nie potrzebuje, ale i nie chce. Żąda, by każdy nowy członek jak najprędzej stawał

się wrażliwy na każdy wiatr koniunktury, na każdą zmianę w sytuacji gospodarczej, by był nastawiony na wyzyskanie każdej możliwości i szybko reagował na każdą niepomyślną zmianę. Wspólny Rynek żyje pod znakiem żywego srebra, nie śpiącej królowej. Kraje komunistyczne mogłyby łatwiej dopasować się do gospodarki faraonów, niż do Wspólnego Rynku.

Wspólny Rynek nie może się pogodzić z monopolem handlu zagranicznego, który jest równoznaczny z systemem kontyngentów. Taki handel monopolistyczny nie ma żadnych walorów koniunkturalnych i nie da się pogodzić z wolnohandlowymi ideałami Wspólnego Rynku. Maksimum ustępstw ze strony Zachodu, które uważam za możliwe — to wyrażenie zgody na to, by handel zagraniczny krajów komunistycznych był prowadzony przez firmy upaństwowione, ale z tym, że każda z tych firm musiałaby działać, jako samodzielny podmiot, mieć prawo zawierania samodzielnych transakcyj, zwiększania zakupów i sprzedaży niezależnie od decyzji centrali rządowych, własnego dobierania i dostawców i odbiorców. Gdyby tego rodzaju system względnej wolności był zastosowany za rządów Bieruta, to by każdy ówczesny kierownik przemysłu węglowego sprzedawał polski węgiel za DOLARY Francji, Włochom, Szwajcarii, Skandynawii etc. zamiast go sprzedawać Sowietom, Niemcom Wschodnim, Rumunii etc. Gdyby ten system był dzisiaj w mocy, to by cały polski eksport rolny pchał się na Zachód, a nie do Rosji, czy do innych satelitów. Gdyby Bank Polski miał jakąś autonomię, to by nie pozwalał na jakiegokolwiek „kredyty” polskie dla Indyi, czy Kuby, czy Północnej Korei, powiedziałaby brutalnie: „nie stać nas na to”. Wszak o tyle bogatsza od nas Austria ogranicza swą pomoc dla *tiers-monde* do kwoty poniżej miliona dolarów rocznie, bo uważa, że jej na więcej nie stać. To samo robi najbogatszy kraj w Europie, to znaczy Szwajcaria, co, nawiasem mówiąc, jest grubą przesadą. A Polska, dla laurów rzekomo jakiegoś p. Katz-Suchego, w rzeczywistości Chruszczowa, udzieliła 30 milionów funtów kredytu Indiom! A Polska eksportuje na kredyt do Jugosławii fabryki cukru, podczas gdy sama za miedź, i inne surowce potrzebne na wytwarzanie tych maszyn musi płacić dolarami i gotówką.

Przy upaństwowionym i monopolistycznym handlu zagranicznym nie tylko nie ma żadnych podniet dla dobrej gospodarki, ale tak samo nie ma żadnych sprawdzianów. Dzisiaj we Wspólnym Rynku wiadomo, że Francuzi są nie do pobicia, gdy chodzi o perfumy, wino, koniaki, liczne chemikalia, samoloty, etc. Wiadomo, że Niemcy pobijają całą konkurencję, gdy chodzi o maszyny, w znacznej mierze samochody, niektóre chemikalia, optykę, narzędzia lekarskie i chirurgiczne etc. Wiadomo, że Włosi są nadzwyczajni, gdy chodzi o jedwabie, tekstylia, przybory plażowe, owoce, a także, o dziwo, przyrządy gospodarstwa domowego, jak lodówki etc. Wiadomo, że Holendrzy dokonywują cudów, gdy chodzi o tranzyt, a także przetwory spożywcze, jako to czekoladę, biszkopty, konserwy, etc. etc. Wiadomo, że Szwajcaria

nie tylko potrafiła obronić swój dawny monopol zegarków, ale także jest wielkim mocarstwem w dziedzinie kotłów, maszyn, narzędzi precyzyjnych, w dziedzinie lekarstw i farmaceutyki. A co wiadomo, gdy chodzi o „Wschód”? W czym przoduje Polska, w czym Czechosłowacja? Jak wygląda ich konkurencyjność wobec zagranicy, wobec Niemiec przede wszystkim? Nikt nie potrafi na to odpowiedzieć, nawet sami kierownicy gospodarki Polski „Ludowej”. Więc trudno się dziwić, że w Komisji Brukselskiej panuje przekonanie, iż w razie zniesienia zakazów przywozu, kontyngentów i monopolu handlu zagranicznego na Wschodzie Europy, cały tamtejszy przemysł by się okazał niezdolny do konkurencji, runąłby i zbankował z miejsca, i trzeba by wszystko zacząć od nowa. To samo myślą o przemyśle wschodnio-niemieckim wszyscy eksperci zachodnio-niemieccy.

Z zachodniego punktu widzenia punktem ciężkości tzw. ustroju „socjalistycznego” nie jest kwestia własności prywatnej, ale MONOPOLU handlu zagranicznego. Póki ten monopol istnieje w państwach satelickich, uważam wszelki poważny wzrost obrotów handlowych między Wspólnym Rynkiem a „satelitami” za niemożliwy. Tu i ówdzie mogą być retusze, bez większego znaczenia. Monopol handlu zagranicznego jest łatwiejszy do strawienia w krajach bardzo wielkich, jak Rosja czy Chiny, bo monopol ten jest tylko inną nazwą na starą naszą znajomą, autarkię: autarkia jest łatwiejsza do narzucenia państwu o wielkości kontynentów, niż mniejszym obszarom. W Europie Zachodniej, im mniejszy kraj, tym większe muszą być jego obroty zagraniczne na głowę mieszkańca. Autarkia jest szkodliwsza dla Francji, niż dla Ameryki, a dla Szwajcarii czy Holandii byłaby zabójcza. Monopol handlu zagranicznego, który od biedy Rosja może strawić, jest nie do zniesienia dla krajów małych, jak Polska, Węgry, Czechosłowacja, Rumunia etc, które mogą racjonalnie gospodarować i zaspakajać potrzeby swych mieszkańców tylko w ramach dużej wymiany międzynarodowej.

Sądzę więc, że w najlepszym razie Wspólny Rynek udzieli krajom satelickim pewnych kontyngentów na import do Szóstki pewnej ilości węgla, pewnych produktów spożywczych, paszy raczej niż żywności, drzewa, może rudy żelaznej lub ograniczonych ilości półfabrykatów. Te możliwości w żadnym wypadku nie potrafią stworzyć nowych impulsów dla gospodarki takiej jak polska, która od ośmiu lat ani jednego takiego większego impulsu nie miała. Przed ośmiu laty skasowanie kołchozów oraz pewna rewizja systemu cen w handlu polsko-sowieckim dała Polsce pewne, skromne zresztą RESPIRO. Od tego czasu nic.

Co wart jest handel z tiers-monde?

Skoro nie widać żadnego zastrzyku koniunkturalnego od strony Wspólnego Rynku, to gdzie go szukać? Byłoby złudzeniem sądzić, że inne państwa, bez porównania słabsze i uboższe od

Ameryki i Wspólnego Rynku, jako to Anglia, Skandynawia, czy Austria lub Szwajcaria mogłyby zaangażować się silniej w handel z wschodnią Europą. Cała Siódemka, poza tym Hiszpania, Grecja, Turcja są zahipnotyzowane (jakże słusznie!) Wspólnym Rynkiem, marzą tylko o dostępie do tego wielkiego dynamo europejskiego dobrobytu. Wszystkie te państwa stukają w ten czy ów sposób do Eldorado Wspólnorynkowego. Tak samo Izrael, cała Północna Afryka, cała Czarna Afryka, pół Azji czyhają tylko na możliwość zbliżenia się do Szóstki. Które z tych państw pójdzie choćby o krok dalej w nawiązywaniu stosunków ze Wschodnią Europą, jeżeli będzie miało choćby cień szansy uzyskania zniżek czy innych ułatwień ze strony Szóstki? Nasser, Tito, Nkrumah mogą konferować, kraje zacofane mogą w Genewie uchylać rezolucje, ale to są wszystko żebracy, ich umowy handlowe pozostają na papierze. I tak np. wymiana krajów Czarnej Afryki między sobą wynosi w niektórych wypadkach niecały jeden procent ich handlu zagranicznego: Ghana dużo gada o „jedności Afrykańskiej”, ale niczego nie potrzebuje od sąsiedniego Dahomeju, wszystkiego od Zachodniej Europy.

Handel krajów satelickich z *tiers-monde*, to jedna wielka iluzja. Operacje kredytowe, finansowanie handlu z Ghaną, Jugosławią, Indiami muszą się skończyć zawsze stratami wierzycieli. Dostawy, pożyczki będą spłacone z opóźnieniem, nie w dewizach, ale w towarach, przeważnie marnego gatunku, bo jeżeli te kraje mają coś lepszego na sprzedaż, to koncentrują cały swój wysiłek na Ameryce i Zachodniej Europie.

Czy Rosja może płacić Polsce złotem?

Rosja może Polsce oddać jedną usługę, za to olbrzymią: płacąc złotem za import z Polski. Rosja jest producentem złota w jakiej wysokości nie wiemy, ale wiemy, że od szeregu lat sprzedaje tego kruszcza w Londynie, ostatnio także w Zürichu, w Paryżu, we Frankfurcie nad Menem, na plus minus 200 milionów dolarów rocznie. Za sprzedany kruszec Rosja kupuje dolary, franki, funty, marki niemieckie i tymi dewizami płaci za swój import. *De facto* mniej więcej połowę swego importu z Zachodu Rosja spłaca kruszczem. Nic dziwnego, że handel z Rosją rośnie, że staje się interesujący dla Zachodu.

Otóż Rosja nie płaci Polsce za import z Polski ani grosza dewizami lub kruszczem. Płaci rublami, które są niewymienne, albo częściej robi rozrachunek *clearing*owy, w którym nikt w końcu nie wie, jaki towar po czemu się sprzedaje. Niech Rosja zacznie nam płacić kruszczem, tak jak płaci Francji, Anglii i tak rzekomo znieawidzonym Niemcom Zachodnim, a Polacy zaczną patrzeć na handel z Rosją zupełnie innym okiem. Polacy już potrafią sami ten kruszec rosyjski zamienić na potrzebne im dewizy na Zachodzie. Nie jest to ani trudne, ani skomplikowane. Wówczas też sytuacja Polski wobec Zachodu, wobec Wspólnego Ryn-

ku zmieniałyby się zasadniczo. Z dziada, z żebraka stalibyśmy się poważnym kontrahentem. Każdy kraj by chętnie Polsce sprzedawał, i to na kredyt. Złoto każdy chętnie przyjmuje. Konstelacja, w której by Polska eksportowała dużo do Rosji w zamian za złoto, a potem tym złotem pokrywała swe potrzeby towarowe i usługowe (turystyka, nauka, etc.) na Zachodzie, byłaby dla Polski korzystna, nawet naturalna, bo można dowodzić, że Rosja jest naturalnym dla Polski rynkiem zbytu, ale pod warunkiem, że płaci nam uczciwe ceny za nasz eksport i płaci w wymiennej dewizie, bądź w złocie. Gdyby Rosja zaczęła nam płacić za nasz eksport złotem, i to w ilości wystarczającej na pokrycie deficytu naszych obrotów handlowych i usługowych z Zachodem, to orientacja rosyjska zyskałaby z dnia na dzień bardzo wielu adherentów w Polsce, a także wśród emigracji; byłby to sposób dużo bardziej skuteczny od wszelkich innych prób pogłębiania „przyjaźni polsko-radzieckiej”. Gdyby Gomułka miał jakiś talencik dyplomatyczny, to by powinien ciągle Chruszczowa namawiać do wstąpienia na tę drogę. Nie wierzę *à la longue* w moc kajdanów, ale wierzę w trwałość złotych nici.

Ale oczywiście nie wierzę, by Rosja nam płaciła kruszcem czy dewizami: zawsze będzie wolała zachować swe zapasy złota czy dolarów dla handlu ze złymi imperialistami; dla swych wierznych „braci” ma i będzie miała tylko ruble papierowe, i tylko *clearing*.

Międzynarodowy Fundusz Monetarny

Nie widzę też żadnej poważnej możliwości rozwinięcia naszych stosunków handlowych ze Wspólnym Rynkiem, tym bardziej układu o asocjacji z tym organizmem, na wzór tych, który wszedł już w życie z Grecją a został już podpisany z Turcją. Nie wierzę nawet w rokowania w tym kierunku.

Tym bardziej, rzecz jasna, uważam za wykluczone większe i poważniejsze operacje kredytowe Zachodu z Satelitami. Możemy dostawać od czasu do czasu humanitarne zasiłki od Ameryki, w postaci darmowych czy pół-darmowych dostaw zboża. Ale *póki nie przystąpimy* do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i nie poddamy się jego rygorom, nie dostaniemy od Zachodu żadnej pomocy finansowej, choć dostają ją Ben Bella, Nkrumah, Soekarno, słowem cała galeria szantażystów. Także uważam inwestycje wielkich firm prywatnych w krajach komunistycznych za niemożliwe: mogłoby to nastąpić tylko po naszym zgłoszeniu się do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, który jest *zwornikiem* całej organizacji gospodarczej Wolnego Świata.

Turystyka

Czy więc niczego nie możemy oczekiwać od Zachodu, zanim się nie zmieni radykalnie sytuacja polityczna w środkowej Euro-

pie, zanim jakieś rozgrywki wewnętrzne Rosję radykalnie osłabią, a jej ucisk zmniejszy? Tak nie jest. W dwóch dziedzinach Zachód może nam przyjść już dzisiaj z pomocą, i to bardzo wydatną: przez zwiększenie turystyki do Polski, Węgier, Czechosłowacji, Rumunii i Bułgarii, oraz przez werbowanie siły roboczej z tych krajów. W obu wypadkach Wspólny Rynek musi dać impuls i musi dostarczyć *gros* turystów względnie zaangażować największej pracowników; ale Anglia, Szwajcaria, nawet Skandynawia mogą też w obu tych dziedzinach dostarczyć nam wszystkim, Polakom, Węgom, Czechom etc., bardzo dużej, bardzo skutecznej pomocy.

Oczywiście, atrakcje turystyczne Czech, Węgier, nawet Rumunii i Bułgarii, ze względu na ich południowe plaże, będą zapewne większe od atrakcyjności Polski, ale i w tej dziedzinie Polska może stworzyć sobie wcale poważne źródło dopływu dewiz i dochodów. Zachodnia Europa jest straszliwie zmęczona swą cywilizacją ultra-nowoczesną, coraz więcej ludzi marzy o prymitywie, o ciszy, o zapadłych dziurach. Można znaleźć na Zachodzie, głównie w Niemczech, turystów, którzy zjadą na sporty zimowe do Tatr, którzy zamieszkają w dawnych dworach i pałacach, jeżeli te będą przez swych dawnych właścicieli zamienione na komfortowe hotele czy pensjonaty, można wydzierżawiać polowania, można ściągnąć *glob-trotterów* na błyskawiczne objazdy kraju samochodami czy autokarami, przynajmniej w letnim sezonie. I można oczywiście zachęcić polskich exulów do odwiedzania stron ojczystych. Ale by ze strumyka zrobić rzekę, która mogłaby naprawdę stanowić różnicę w polskim bilansie płatniczym, trzeba spełnić kilka warunków. Po pierwsze trzeba znieść przymus wizowy, znieść wszelkie meldunki w policji, zapewnić absolutne bezpieczeństwo gości, skasować wszelkie szacherki dewizowe w postaci sztucznych kursów, wykazów dewizowych etc. Turysta nie nawidzi by mu stale do portfela zagładano: gdy jakiś rząd chce mu ciągle nos wścibiać do portmonetki, turysta ucieka. Turysta musi także mieć swe gazety, do których jest przyzwyczajony, i musi je znajdować w każdym kiosku i w każdym hotelu. Turysta musi rozporządzać odpowiednimi przewodnikami, musi mieć do czynienia z personelem, znającym języki obce, przynajmniej główne — w naszych warunkach trzeba by oprócz ludzi mówiących wybornie po francusku, po niemiecku i po angielsku wyszkolić także pewną ilość osób, znających języki skandynawskie oraz język holenderski, bo w ten sposób można by ściągnąć część licznych rzesz turystów skandynawskich i holenderskich, którzy rok rocznie udają się za granicę. Trzeba się oczywiście liczyć z tym, że główny kontyngent turystów z Zachodu będą u nas zawsze stanowić, ze względów geograficznych, Niemcy i germanofoni, to znaczy Austriacy i Szwajcarzy, mówiący po niemiecku. Oczywiście zwabienie tych forsiastych turystów będzie niemożliwe, jeżeli będą witali niechętnie czy wrogo, lub też gdyby ich obecność miała być okazją do ich urabiania propagandowego. Wszyscy turyści propagandy, a zresztą i w ogóle po-

lityki, nie znoszą, przyjeżdżają, by odpocząć i odprężyć się, a nie by słuchać bają o „socjalizmie” czy o „osiągnięciach Polski Ludowej”.

Bardzo trudno ująć cyfrowo dochody z turystyki, bo operujemy wszędzie tylko szacunkami. Np. Austriacy twierdzą, że ich dochody z turystyki wynoszą netto aż 400 milionów dolarów, a Francuzi sądzą, że w ich wypadku te dochody nie przekraczają 600 milionów dolarów. Sądzą, że Francuzi są znacznie za skromni, że ich dochody z turystyki lekko wynoszą dwa razy tyle. Któż więc może dzisiaj przewidzieć, jakie dochody Polska mogłaby czerpać z turystyki? Każda cyfra musiałaby być cyfrą rzuconą na wiatr. Lecz pęd do podróży tak się wzmacnia, ilość turystów tak rośnie, poziom życia na Zachodzie tak idzie w górę, odległości tak maleją, że nie zdziwiłbym się, gdyby Polskę pod tym względem miała czekać miła niespodzianka. Przy jakim takim rozsądku, przy niezbędnych inwestycjach, przy oczywiście koniecznych reformach dewizowych, wizowych, administracyjnych etc, Polska mogłaby może inkasować rok rocznie z 50 milionów dolarów w zachodnich walutach z tytułu turystyki. Dla kraju o tak fatalnym bilansie płatniczym byłoby to już pewną ulgą.

Emigracja z Polski na Zachód

Ale dużo większe znaczenie dla Polski może mieć emigracja polskich robotników, a przede wszystkim pracowników umysłowych na Zachód. Brak sił roboczych na Zachodzie jest kolosalny, i będzie przybierał na sile. W małej Szwajcarii jest w tej chwili 750 tysięcy robotników zagranicznych (przeszło dwie trzecie — to Włosi). Co trzeci robotnik w Szwajcarii jest cudzoziemcem. W Niemczech na 1 stycznia br. było także 750 tysięcy *Gastarbeiter*, w tym połowa Włochów i tych 750 tysięcy cudzoziemców wysłało w roku ubiegłym swym rodzinom TRZY MILIARDY DM, czyli 750 milionów dolarów, czyli dokładnie po tysiąc dolarów rocznie od łebka! To znaczy, że same Włochy miały z tytułu przekazów emigranckich z samych Niemiec jakieś 350 czy 400 milionów dolarów w ciągu jednego tylko roku. Ze Szwajcarii przekazy te były pewno jeszcze większe, bo w Szwajcarii Włochów jest więcej niż w Niemczech. Już te cyfry dają pojęcie o tym, jak kolosalną rolę te przekazy emigrantów odgrywają w bilansie płatniczym krajów ich pochodzenia.

We Francji przebywa stale dwa miliony cudzoziemców, ale cyfry francuskie są bałamutne, bo np. Algierczyków władze dotąd nie uważały za cudzoziemców, tak samo Murzynów, którzy też byli wliczani do rubryki „Francuzów” itd. Ale do Francji też przybywa rok rocznie 120 tysięcy oficjalnych imigrantów, drugie tyle nieoficjalnych, jako to Jugosłowian, Portugalczyków, etc, oraz całe chmary Algierczyków, Murzynów, Wietnamczyków, Chińczyków (z Hong-Kongu), etc. Francja chciałaby się pozbyć Algierczyków i Czarnych i zamiast nich sprowadzać Europejczyków. W

Anglii roczna emigracja „kolorowych” waha się około 100 tysięcy — głównie z Indyj Zachodnich, z Pakistanu, Indyj etc., ale także rok rocznie przybywa dużo Włochów, ostatnio także Hiszpanów, jest wielu Greków, Maltańczyków, są repatrianci angielscy z Afryki, kolonii, etc. Nawet w Holandii są przybysze z Włoch, jest ich nawet kilka tysięcy w Szwecji, są także w Danii. W końcu obecnego roku w Niemczech Zachodnich, gdzie głód pracowników jest największy, gdzie jest stale przeszło pół miliona nieobsadzonych miejsc pracy, ma być przeszło milion pracowników zagranicznych. Z rozpaczy, przedsiębiorcy niemieccy sprowadzają nawet robotników tureckich, z którymi doświadczenia są mało obiecujące — mniej więcej takie, jak z Algierczykami we Francji. Nawet Austria ściąga Jugosłowian, choć do niedawna sama miała bezrobocie.

Rezerwy krajów zachodnio-europejskich eksportujących siłę roboczą są na wyczerpaniu. Włochy już prawie nic nie mają, tylko trochę starców, albo chorych, albo analfabetów. W Hiszpanii też już nie ma nikogo. Jest jeszcze dużo Portugalczyków, dużo Greków, ale poza tym już są tylko pracownicy poza-europejscy. Mimo wszystko Zachód woli Europejczyków, i gdy ma do wyboru Węgra czy Araba lub Turka albo Murzyna, nie waha się ani chwili.

Myślę, że tutaj tkwi dla nas wielka szansa. Obecne pełne zatrudnienie w Polsce jest tylko pozorne, wynika ze słabej wydajności pracy, zbyt hojnego obsadzania etatów i posad, bezsensownego rozbudowania aparatu kontrolnego i administracyjnego etc. W Polsce panuje nadal olbrzymie, ukryte bezrobocie i półbezrobocie: w szczególności połowę personelu administracyjnego można by już dzisiaj zwolnić. Oczywiście, przy otwarciu drzwi dla emigracji pracowników, rząd nie mógłby również skutecznie dusić płac, wyzyskiwać pracowników, i stąd ta szalona niechęć reżimu do pogodzenia się z emigracją: musiałby pozostałym w kraju pracownikom lepiej płacić, aby im lepiej płacić, musiałby obciążyć wydatki zbędne, nieprodukcyjne — na wojsko, na policję, na administrację, na partię, na propagandę etc. Ale życie jest twarde szkołą: Franco też nie chciał tolerować emigracji, a życie go zmusiło do pogodzenia się z tą niemiłą koniecznością, przyszła też kolej na Salazara, tak samo Tito musiał z żalem i wstydem zamknąć oczy na masowe wyjazdy swych poddanych do krajów „kapitalistycznych”. Gomułka, Kadar, Nowotny, Georghiu-Dej & Co, będą musieli pogodzić się z emigracją, bo nie dadzą sobie rady z narastającym bezrobociem, bo nacisk mias będzie zbyt silny, bo różnica stopy życiowej między satelitami a Zachodnią Europą każdego roku przybiera na sile. Obecny poziom gospodarki polskiej w ósmym roku rządów Gomułki, jest zbyt niski, zbyt prymitywny, by Polska mogła zapewnić 30 milionom mieszkańców stopę życiową, godną człowieka.

Ilu ludzi może z Polski co roku emigrować? Myślę, że śmiało można tę cyfrę obliczyć na co najmniej sto tysięcy osób rocznie. Najlepsze kraje odbiorcze — to byłyby Niemcy Zachodnie i Fran-


cja, potem Anglia, Szwajcaria, może Austria, gdzie jest więcej propolskich sympatyj, niż w innych krajach Europy. Najwięcej szans na dobre zarobki mieliby wykwalifikowani, młodzi, nieznanymi robotnicy budowlani, których brak jest szczególnie jaskrawo: np. we Francji trzeba by wytrzasnąć paręset tysięcy dodatkowych robotników budowlanych, plus drugie tyle dla cegielni, cementowni, betoniarek, dla robót drogowych etc. Najgorzej płatny niewykwalifikowany robotnik budowlany zarabia w Zachodniej Europie po 200 dol. miesięcznie; elektrotechnicy, zdunowie, specjaliści od kanalizacji etc. dwa razy więcej. Przy jakiej takiej uczciwości walutowej ze strony rządu w Warszawie, przekazy tych emigrantów bardzo by polepszyły polski bilans płatniczy. Można by wówczas zwiększyć import, dawać stypendia młodzieży na porządne studia i zwłaszcza staże i praktyki na Zachodzie, można by umożliwić Polakom wyjazdy zagranicę z jakąś ludzką kwotą dewiz. Nie mówię o inteligencji technicznej, wolnych zawodach etc., które też miałyby wielkie możliwości, ale to osobny temat.

Turystyka do Polski i emigracja z Polski wydają mi się dzisiaj jedynymi konkretnymi możliwościami szybkiego polepszenia sytuacji gospodarczej Polski i jej bilansu płatniczego. Natomiast zbliżenie do Wspólnego Rynku, zwiększenie eksportu, tym bardziej uzyskanie kredytów należy na razie uważać za marzenia, pocziwe ale nierealne, a co najmniej przedwczesne.

W. A. ZBYSZEWSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**



HASKOBA LTD.

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5

Sprawy i troski

Straty szkockie i sumy włoskie (II)

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBANTANTÓW —
NAJBOGATSZA ORGANIZACJA SPOŁECZNA
I RESZTA FUNDUSZÓW „WOJSKOWYCH”

SPK (Stowarzyszenie Polskich Kombatantów) rozporządza na terenie Wielkiej Brytanii kapitałem „głównym” w wysokości około 165 tysięcy funtów — kapitał ten, po przeliczeniu wartości na obecne ceny rynkowe, ma realną wartość prawie dwa razy większą. A więc majątek wartości około 300 tysięcy funtów znajduje się w rękach organizacji społecznej, której ilość aktywnych członków w Wielkiej Brytanii wynosi około 6500.

Kilka tysięcy członków stowarzyszenia, razem z kilkudziesięciu tysiącami nie zapisanych do SPK byłych żołnierzy, żywo interesuje się stanem funduszów SPK, ale częściej słyszy się krytyczne a nawet oskarżycielskie uwagi niż pochwały dla zarządzających funduszami.

Dużo w tym nieporozumienia i nieświadomości; bo przecież SPK jest jednym z nielicznych towarzystw, którego bilanse są dostępne każdemu. Władze organizacji nie robią tajemnicy ze swych posunięć gospodarczych i chętnie pokazują nie tylko obecne sprawozdania handlowe, ale i te z przeszłości.

O ile obecna gospodarka, opierająca się na zasadzie nieuszczerplania majątku i korzystania jedynie z dochodów, jest jasna, prosta i niepodlegająca jaskrawej krytyce, o tyle czasy przeszłe SPK, zwłaszcza lata początkowe, w pełni usprawiedliwiają nieufność byłych żołnierzy, z których składek w dużym stopniu przede wszystkim powstał majątek Kombatantów.

Na gruzach armii

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów powstało na rozkaz Naczelnego Wodza i miało w pojęciu władz wojskowych przejąć ideowe dziedzictwo rozwiązywanych Polskich Sił Zbrojnych.

Pierwsze ogniwa SPK powstawały w obozach jednostek wojskowych pod okiem dowódców pułków i batalionów. Pierwsi prezesowie kół wyznaczani byli rozkazem dziennym. Od samego początku zasięg organizacyjny SPK był wielki: od Włoch poprzez okupację Niemiec, po Szkocję, wszędzie tam gdzie znajdowały się jednostki wojskowe powstawały koła SPK. Członkami Stowarzyszenia zostawali nie tylko żołnierze armii będącej pod rozkazami brytyjskimi, ale również i ci z obozów jeńców i obozów koncentracyjnych. Pierwsi wnosili zasoby majątkowe, drudzy byli stroną potrzebującą pomocy. Pierwszym okresem działalności SPK było udzielanie pomocy byłym jeńcom i kacetowcom na terenie Niemiec oraz ludności cywilnej.

Władze brytyjskie, zwłaszcza dowództwo brytyjskie Polskiego Korpusu Przysposobienia, widziały w SPK instytucję która pomoże w osiedlaniu i urządzaniu polskich żołnierzy na terenie Wielkiej Brytanii.

Cele stojące przed Stowarzyszeniem, były poważne, co z miejsca podniosło znaczenie SPK.

Oceniły to szybko partie polityczne, te zwłaszcza, które starały się oprzeć swoją działalność o czynnik społeczny, a przede wszystkim o fundusze SPK. Na pierwszym Zjeździe Delegatów, w maju 1946 r., zaczęły się w łonie organizacji trwające po dzień walki polityczne.

Sprawy polityczne SPK nie są przedmiotem tego artykułu. Warto jednak podać dwa fakty z początku i z ostatnich dni życia organizacji.

Pierwszy prezes SPK, wybrany przez „zbalansowaną politycznie” Radę Główną, nie mógł objąć urzędowania, bo nie otrzymał wizy wjazdowej do Wielkiej Brytanii. Prezesem tym był mecenas Antoni Opel-Nowak, adwokat ze Lwowa, człowiek szanowany i zasłużony; politycznie reprezentował zwolenników „sancji”. Został on jakoby utracony przez nieszlachetną konkurencję. W każdym razie nie było żadnego powodu, aby władze brytyjskie, same z siebie, mogły uznać mecenasa za osobę *non grata*.

W marcu bieżącego roku przewodniczący SPK na W. Brytanię, S. Soboniewski zrezygnował z „teki ministerialnej” w Egzekutywie Zjednoczenia. Nie tyle ta rezygnacja, ile obecność prezesa w zespole emigracyjnej grupy politycznej świadczy o politycznych powiązaniach Stowarzyszenia.

SPK posiada członków niemal w każdym kraju. Argentyna, Australia, Stany Zjednoczone, Ziemia Ognista i Afryka Południowa mają oddziały albo koła; komplikuje to sytuację gospodarczą, bo każde z tych ogniw poczuwa się do udziału w kontroli i w korzystaniu z funduszy Stowarzyszenia. Rozwiązano to w ten sposób, że wielkie oddziały otrzymały osobne fundusze na samodzielną gospodarkę, a poza tym otrzymują procenty z dochodów majątku głównego, znajdującego się na terenie Wielkiej Brytanii.

Zarządcami tego majątku są dyrektorzy *The Polish Comba-*

tant's Association Limited — spółki handlowej, która powstała 19. 10. 1946 roku właśnie w celu łatwiejszego gospodarowania funduszami SPK.

The Polish Combatant's Association Limited — PCA w skrócie — nie jest trustem ani nie podlega kontroli i ustawodawstwu o organizacjach charytatywnych; jest wyłącznie spółką handlową, której dyrektorzy i członkowie wybierani są przez delegatów na Walny Zjazd (pośrednio).

Ostatnio, dla uniknięcia wysokich podatków, jakie spółka musi płacić, został stworzony *Trust Fund*, fundusz oświatowo społeczny, który w myśl statutu konsumuje 75% dochodu PCA i zużywa to na cele oświatowe, dobroczynne i społeczne, a więc nie podlegające opodatkowaniu, 25% dochodów spółki zastrzeżone jest na pokrycie wydatków innych, nie związanych z dobroczynnością.

Majątek SPK powstał z funduszy otrzymywanych z wojska, wynosi on nominalnie 200.000 funtów — faktycznie ponad 300 tysięcy — ale przez kasy SPK przeszły sumy o wiele większe. Obliczenie z roku 1950 wykazuje po stronie przychodów za pierwsze lata istnienia 173.835 funtów, do tego dochodzi kwota 230 tysięcy funtów „sum włoskich”, uzyskanych w 1953 r. oraz drobniejsze dotacje, nie licząc stałego dochodu z przedsiębiorstw i składek. Razem, w różnych okresach, SPK rozporządzało sumą około pół miliona funtów, która, odpowiednio ulokowana, stanowiłaby dziś olbrzymi majątek.

Niestety, rachunek nie jest tak prosty ani gospodarka nie była tak łatwa. Spadek po funduszach wojskowych miał też swoje ciemne strony.

Sklepy, warsztaty i 225 tys. książek

W roku 1946 SPK otrzymało pierwszą darowiznę w wysokości £ 4,200 z funduszu kooperatyw wojskowych i £ 1.000 z Funduszu Społecznego Wojska. Zaczynało więc z sumą £ 5.200.

Fundusze gospodarcze wojska i Fundusz Społeczny stanowiły dwa źródła, z których płynęły pieniądze do SPK.

Oddziały wojskowe zawsze potrafiły wygospodarować duże nadwyżki z sum przeznaczonych na administrację, polepszenie stawy, szkolenie do zawodów cywilnych etc. Te fundusze po rozwiązywaniu oddziałów powinny były zgodnie z rozkazem Szefa Sztabu przechodzić na rzecz SPK. Do SPK przekazywał swoje zasoby Fundusz Społeczny Wojska, powołany już w roku 1940, i posiadający zebrane ze składek żołnierskich wielkie sumy. A poza tym tak władze cywilne jak i wojskowe w momencie reorganizacji i demobilizacji starały się zabezpieczyć pieniądze przez przekazywanie ich instytucjom społecznym związanym z wojskiem: — SPK — armia, Samopomoc Marynarzy — Marynarka, Stowarzyszenie Lotników — Siły Powietrzne.

Następną dotacją wojskową dla SPK była wpłata 20 tysięcy funtów i zakup domu w Londynie za sumę 18 tysięcy. I od r. 1947

oddział po oddziale likwidując swą działalność gospodarczą przekazywał kombatantom swoje fundusze. Nie zawsze bez zastrzeżeń i nie zawsze łatwo. Obok funduszy przeznaczonych na pracę Stowarzyszenia wpływały do SPK „Fundusze celowe” i „fundusze administrowane”.

Pierwsze były pieniędzmi wpłacanymi ze specjalnym przeznaczeniem — jak np. £ 16.000 na Biuro Informacji i Porad w W. Brytanii, £ 2.600 na podobne biuro w Argentynie, na fundusz świetlicowy (300), sieroty w Bremen (29), na kupno domu w Argentynie (1.000), na kupno domu w Bedford (400), na wydanie historii 2 Korpusu — £ 1.600.

Fundusze administrowane pozostawały własnością innych organizacji, albo miały być zużyte na pomoc akcjom społecznym jak np. „specjalna misja płk. Kwiatkowskiego do Argentyny”, na co przeznaczono £ 1.100.

W rękach SPK znajdowały się między innymi fundusze mające służyć szkoleniu zawodowemu i poprawie bytu żołnierza w obozach.

Razem fundusze celowe wynosiły £ 28.904; fundusze administrowane £ 30.102.

Na cele statutowe SPK otrzymało z różnych źródeł — prawie całkowicie wojskowych — £ 100.000.

Niestety te 100 tysięcy w większości przekazane zostało w naturze: wyposażenia warsztatów, sklepiki, urządzenia biur itp. Te ruchomości były szacowane nie zawsze korzystnie dla SPK.

Przykładem kłopotliwego spadku są sklepiki wojskowe. Prawie wszystkie jednostki wojskowe posiadały w swych obozach sklepiki, które konkurowały z działalnością brytyjskiej NAAFI i na rozkaz władz brytyjskich powinny były być zlikwidowane. Przekazano je jednak SPK z warunkiem, że będą wpłacały 10% swych dochodów zarządowi Stowarzyszenia, które, po ostatecznej likwidacji, przejmie ich majątek.

SPK opiekowało się sklepami i składnicą sklepików wojskowych w Szkocji i firmowało ich gospodarkę. Razem z tego tytułu wpłynęło do SPK £ 18.467 z tym jednak, że większość stanowiły towary, które z trudem można było sprzedać. A brytyjskie władze wojskowe wystawiły SPK rachunek na £ 3.000 za lokal i personel tych sklepów.

Kiedyś wiele szumu zrobiło oddanie na przemiał tysięcy książek. Te książki to dziedzictwo kombatantów po inicjatywie 2 Korpusu, który powołał do życia Centralną Składnicę Książek, administrowaną przez Stowarzyszenie Techników Polskich we Włoszech. Po likwidacji Stowarzyszenia Techników, SPK przejęło Składnicę za sumę £ 4.400 stanowiącą 55% nominalnej wartości książek. Transakcja ta okazała się katastrofalną, książki nie miały żadnego zbytu, a cena, mimo zniżki, była wygórowana. Z trudem udało się SPK sprzedać książki za £ 1.100 i otrzymać umowienie ze strony Techników na £ 600.

Osobną pozycją w tej transakcji były zobowiązania, jakie SPK przejęło razem ze Składnicą. Jedno ze zobowiązań opiewało

na sumę £ 2.350, które por. Jędrzejczyk, jako prywatna osoba, pożyczycył Składnicy w lirach włoskich na zakup papieru we Włoszech.

Przejmując książki SPK zobowiązało się zwrócić te pieniądze po uprzywilejowanym kursie 900 lirów za funta. Po pewnych pertraktacjach udało się umorzyć 400 funtów, reszta została wypłacona por. Jędrzejczykowi w Wielkiej Brytanii. Papieru, na który pożyczono pieniądze nie można było sprowadzić z Włoch do Anglii.

W końcu składnica książek została połączona z biurem paczek w jedną Centralę Handlową SPK.

We wrześniu 1946 rozkazem Szefa Sztabu cały sprzęt będący w posiadaniu wojska podzielono na dwie części: wszystko — poza materiałami zakupionymi z sum budżetowych brytyjskich lub polskich, wraz z samochodami posiadającymi wojskowe numery rejestracyjne, miało być przekazane SPK.

Już samo przekazywanie było źródłem wielu kłopotów i nieporozumień a niekorzystna dla SPK ocena otrzymanego materiału obciążała bardzo fundusze organizacji. Ogółem SPK otrzymało materiału sprzętu, książek i wszelkiego dobra na sumę £ 71.831; koszty przejęcia, transportu, przechowania i rozpraważenia towaru wyniosły £ 20.156. Pozostało na dobro organizacji 50 tysięcy funtów w naturze, zaś część tego majątku, jak np. książki, w końcu odpisano na straty.

Naturalnie odpowiedzialność za straty obciąża nie tylko władze wojskowe, dowódców niechętnie przekazujących swe dobro, inspektorów oceniających niedokładnie itd. nie mało zawiniли również, chociażby brakiem doświadczenia, przedstawiciele organizacji wyznaczeni do gospodarowania mieniem.

Z kosztów poniesionych w związku ze sprzętem wojskowym, opłaty na wynagrodzenia, diety itp. wyniosły £ 5.383.

Handel i przemysł

Sklepiki żołnierskie przejęte przez Stowarzyszenie były małym odcinkiem działalności handlowej, którą SPK rozwinęło w pierwszym okresie swego istnienia. Jednym z większych projektów finansowych było założenie Biura paczkowego we własnym domu na Goldhawk Rd. w Londynie.

Na założenie Biura paczek SPK otrzymało pożyczkę 6.200 funtów z Funduszu Społecznego Żołnierza, 2.900 zużyto na zakupienie budynku, za resztę nabyto towar, w tym między innymi buty z cholewami za 1.500 funtów. W rezultacie złej gospodarki (kierownik biura został zwolniony ze stanowiska), braku doświadczenia i konieczności obniżki ceny towarów biuro paczek przyniosło straty na 4.024 funtów; pożyczkę przejęła centrala SPK, której udało się umorzyć 2.160 funtów. Dom, w którym urzędowało Biuro paczek, należy obecnie do zakładów radiowych.

Podobnie nieudaną imprezą były odznaki SPK; umowę o wy-

konanie 20.000 odznak zawarto niekorzystnie i SPK straciło na tej transakcji kilkaset funtów.

Pierwszy Zarząd Stowarzyszenia powziął decyzję przyłączenia się do Milner Trustu, prywatnej inicjatywy przemysłowej. SPK zobowiązało się przejąć 51% akcji towarzystwa za cenę £ 12.500, wpłacono £ 6.000, ale wobec sprzeciwów Rady Głównej musiano się z tej imprezy wycofać ze stratą.

Straty i ryzykowne posunięcia cechują więc pierwszy okres gospodarki Kombatantów. Nic dziwnego, brak było doświadczenia i przygotowania zawodowego. W Zarządzie Głównym Stowarzyszenia dział gospodarczy był nieobsadzony. W zapale rozgrywek politycznych Walny Zjazd zapomniał wybrać do Zarządu odpowiedniego człowieka. Dopiero późniejsza kooptacja przez Radę Główną uzupełniła ten brak.

Pierwszy okres cechują też wysokie wydatki konsumpcyjne — Stowarzyszenie zużyło na utrzymanie się 40% kapitału.

Pewne polepszenie w gospodarce nastąpiło w roku 1949, kiedy zlikwidowano samodzielne Biuro paczek i wszystkie przedsiębiorstwa połączono w jedną Centralę Handlową. Zajmowała się ona paczkami, sprzedażą książek, sklepem SPK i wydawaniem „Polski Walczącej”. To wydawnictwo, pożyteczne i niewątpliwie potrzebne, kosztowało SPK kilka tysięcy funtów.

Z biegiem czasu Centrala Handlowa została przemianowana na P.C. Stores i działa jako placówka SPK do roku 1956, kiedy to została oddana w prywatne ręce.

Ze wszystkich przedsięwzięć SPK pozostały dwa: Warsztaty Radiotechniczne i sieć Domów Kombatanta. Obie pozycje będą omówione oddzielnie, w ramach obecnego stanu funduszy SPK.

Pierwsze pięć lat gospodarki Stowarzyszenia przeszło pod znakiem trudności i strat. W roku 1950 majątek SPK wynosił teoretycznie £ 177.000, a po odliczeniu strat i kapitałów zamrożonych około £ 100.000.

W stratach osobną pozycję zajmowały tzw. „sumy szkockie”, określone na £ 11.000. Powstały one z niekorzystnych dla SPK rozliczeń z placówkami wojskowymi na terenie Szkocji. Symbolizują one pierwszy trudny okres organizacji.

Legendarne „sumy włoskie”

W czasie gdy SPK walczyło ze stratami i niezbyt szczęśliwie gospodarowało swoim majątkiem, w kasach brytyjskiego ministerstwa wojny (*War Office*) znajdowały się poważne sumy, które kiedyś na rozkaz wojskowych władz brytyjskich 2 Korpus musiał wpłacić na tzw. „Nominal Roll”.

Sumy te po przeliczeniu, wynosiły £ 241.799 i stanowiły majątek 2 Korpusu, powstały ze składek żołnierskich, płaconych od 13 czerwca 1944.

Dokładnie £ 78.262 należały do Funduszu Społecznego 2 Korpusu, £ 117.000 do funduszy Oddziałowych i £ 22.367 do funduszy kulturalno-oświatowych. Poza tymi pieniędzmi zdeponowa-

ne były w *War Office* fundusze dywizji: około 22 tysięcy 3 DSK i 20 tys. 5 KDP.

W roku 1945 w czasie przewożenia Korpusu do Wielkiej Brytanii sumy te zostały wpłacone do kas brytyjskich i miały być przekazywane oddziałom.

Uczyniono to dopiero pod presją wyroku sądowego w roku 1953.

War Office wychodziło z założenia, że 2 Korpus został rozwiązany, żołnierze rozjechali się po świecie i pieniądze te zebrane z ich składek powinny pójść za nimi. Ułożono plan podzielenia wszystkich sum na 3 części i przekazania po równo: 100 tysięcy organizacjom żołnierskim w Wielkiej Brytanii, 100 tys. do Polski w ślad za repatriantami, a 100 tys. miało pozostać we Włoszech, gdzie osiedliło się sporo żołnierzy.

Kto wie, czy plan ten nie doszedłby do skutku, ale udaremnił go stosunkowo mały zespół powierników Funduszu Wdów, Sierot i Inwalidów 3 Dywizji Karpackiej. Należało się im z tytułu zbieranych składek około 16 tysięcy funtów i postanowili o nie walczyć.

Nikt nie wróżył im zwycięstwa, ale zacięci „powiernicy” udali się do sądu i po krótkiej rozprawie, w której sędzia z początku bardzo dziwił się oporowi ministerstwa w przekazaniu pieniędzy „prawym właścicielom”, *War Office* ugięło się i drogą ugody oddało 3DSK 15 tysięcy funtów. W krótkim czasie po tym zwycięstwie ci sami powiernicy wystąpili do sądu o 7 tysięcy tzw. Funduszu Oświatowego dywizji i ten przyznano im bez rozprawy.

Tak to uparte „świerki” (choinka — odznaka 3 dywizji) wyłamały bramę, którą poszli inni.

Organizacje i instytucje, do których należały „zamrożone sumy włoskie”, zebrały się i postanowiono wytoczyć *War Office* taką samą sprawę sądową jaką wygrał Fundusz 3 DSK. Ze względu na oszczędnościowych i dla łatwiejszego działania upoważniono Stowarzyszenie Polskich Kombatantów do upominania się o te pieniądze w całości.

War Office chciało odstąpić już od dawnego planu podziału sum na trzy części i przekazać pieniądze SPK, gdy jednak reżym warszawski wystąpił z pretensjami do włoskich, postanowiono, aby decyzja wyszła od sędziego.

W styczniu 1953 roku odbyła się kilkudniowa rozprawa w *High Court* (Sądzie Wyższym) w Londynie. Właściwie była to rozprawa jednostronna. *War Office* nie broniło się, ani nie zaprzeczało. Rzecznik *War Office* oświadczył: „Władze brytyjskie pragną przekazać pieniądze we właściwe ręce, chodzi tylko o to, aby otrzymały je instytucje, którym należą się wedle prawa”.

Przedstawiciele wojska, SPK i rzeczoznawca polski zeznawali kolejno przed sądem wyjaśniając dlaczego pieniądze należą się kombatantom. Generał Anders tłumaczył dokładnie jak powstał Fundusz Społeczny i na podstawie jakich przesłanek wydawał w jego sprawie swoje rozkazy, wyjaśnił też, że do funduszu, pow-

stałego przez automatyczne płacenie składek przez żołnierzy Korpusu od roku 1944, bardzo niewielkie prawa mają żołnierze repatriowani do Polski. Przyszli oni do Korpusu bardzo późno, przeważnie z niewoli, zaś większość żołnierzy należących od początku do Korpusu pozostała na emigracji i zapisała się do SPK. Płk Stefan Kamiński, szef służby pieniężnej 2 Korpusu, zeznawał o tym jak powstawały fundusze oddziałowe. Przedstawiciel SPK, prezes organizacji, Tadeusz Drwęski udowadniał prawa Stowarzyszenia do funduszków.

Ciekawym świadkiem był rzeczoznawca polskiego prawa, adwokat Józef Bloch. Miał on za zadanie stwierdzić przed sądem, że wszystkie zarządzenia w sprawach funduszy były powzięte zgodnie z polskim prawem. Szczegółowemu badaniu poddano uchwałę delegatów oddziałów, którzy na zebraniu likwidacyjnym w dniu 27 czerwca 1947 roku postanowili przekazać Kombatanom pieniądze FSŻ 2 Korpusu. Sąd podważał ważność tego zebrania wobec tego, że zbyt mało delegatów było obecnych i faktycznie żołnierze nie byli w stanie wypowiedzieć się w sprawie składanych przez nich pieniędzy. Mecenas Bloch usunął wątpliwości stwierdzeniem, że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami polskiego prawa.

Ku zadowoleniu wszystkich — z wyjątkiem rządu warszawskiego — sąd przysądził SPK 231.179 funtów z tym, że Stowarzyszenie musiało zapłacić koszty sądowe swoje i Ministerstwa Wojny: wyniosły one 11.400 funtów.

Podział

Pieniądze nie należały w całości do SPK. Występując przed sądem kombatan ci reprezentowali interesy kilku organizacji.

Do pieniędzy zgłosili pretensje: Fundusz Budowy Pomnika Lotnika, Towarzystwo Wiedzy Wojskowej, Duszpasterstwo 2 Korpusu, Fundusz Rodzin Wojskowych, Oddział Kultury i Prasy, „Tygodnik Polski” w Ameryce i Związek Harcerstwa Polskiego.

Łącznie z zarządami tych organizacji i sympatykami wielu ludzi było zainteresowanych podziałem „sum włoskich”. 230 tysięcy funtów wydawało się też tak ogromną górą pieniędzy, że cała emigracja londyńska była podniecona i dyskutowała na temat: Co SPK robi z tym olbrzymim majątkiem. Ponieważ znany jest u nas brak zaufania do wszelkich administratorów a pieniądze zawsze pobudzają namiętności od razu dały się słyszeć głosy, że „SPK przeje fundusze!”, „SPK zabierze sumy włoskie!”, itp.

Na pewno nie bez żalu SPK wypłaciło wszystkie zobowiązania w kwocie £ 78.000, z czego Funduszowi Społecznemu Żołnierza — £ 19.000, Funduszowi Wdów i Sierot, £ 12.000, a resztę Instytutom i Związkowi Harcerstwa.

£ 41.000 zużyto na spłatę długów Stowarzyszenia. Po zapłaceniu ponadto kosztów procesu, tj £ 11.400, kombatan ci rozporządzali sumą £ 100.000. Trzeci Walny Zjazd SPK zajął się rozdzieleniem tej kwoty.

Stowarzyszenie było związane uchwałą Walnego Zebrania Delegatów Funduszu Społecznego 2 Korpusu, które przyznają SPK pieniądze zastrzegło, że nie będą one użyte na cele administracyjne, a przeznaczone na dobroczynność, na działalność społeczną, oświatę i pomoc dzieciom i młodzieży.

Rozkaz generała Kopańskiego o przekazaniu funduszków oddziałowych i społeczno-kulturalnych zastrzegł, że będą one przez SPK zużyte wyłącznie na pomoc dla b. żołnierzy polskich przebywających na obczyźnie.

SPK więc było skrupowane w swoich decyzjach, jednak nie na tyle, aby nie wykorzystać „sum włoskich” na uzdrowienie i postawienie na nogi gospodarki stowarzyszenia, które przecież w statucie miało cele wymienione przez obydwie rezolucje.

Walny Zjazd przyznał £ 45.000 na inwestycje gospodarcze, £ 35.000 na działalność kulturalno-oświatową i społeczną, £ 20.000 przeznaczono na dotacje: £ 1.000 na wyższe uczelnie, £ 800 dla gimnazjum w Hereford, £ 200 na liceum korespondencyjne w Londynie, £ 2.000 dla polskiej szkoły we Francji w Les Ageux, £ 4.000 na cele wychowawcze, oświatowe, opieki itd.

£ 1.000 rozdano różnym instytucjom kulturalnym. Z £ 8.300 stworzono fundusz inwalidzki.

Należy stwierdzić, że SPK zaangażowało prawie wszystkie pieniądze w swoje gospodarstwo i wypłacanie nie odbywało się łatwo.

Jeden z oddziałów, przekazując swe pieniądze SPK, przeznaczył je z góry na kupno domu dla młodzieży w Londynie. Z tych £ 6.000, £ 4.000 wciąż figuruje na koncie Kombatanów. (£ 2.000 otrzymało gimnazjum Fawley Court). Prawda że młodzież dotąd nie zorganizowała się i nie zadecydowała jak użyć te pieniądze, ale wydawałoby się, że SPK mogło te sprawy rozwiązać już bardzo dawno.

SPK bardzo trudno rozstaje się z pieniędzmi, a inni nie nalegają za mocno. Przy rozdziale „sum włoskich” tylko Towarzystwo Pomocy Wdowom i Sierotom spierało się z SPK i dopiero po wkroczeniu generała Andersa jako mediatora, uzgodniono wypłatę.

Nawiasem mówiąc, Tow. Pomocy Wdowom i Sierotom, spadkobierca Funduszu Rodzin Wojskowych nie ma już dziś ani grosza.

Gdzie są te tysiące?

Jeżeli pobieżnie tylko podsumujemy pieniądze, które otrzymało SPK, to dodając £ 173.835 początkowych darowizn do £ 100.000 plus £ 41.000, na spłatę zobowiązań będziemy mieli w rezultacie sumę 315.000 funtów. Wydaje się, że taką sumą rozporządzało SPK od początku swego istnienia do dnia dzisiejszego. Stan ma-

jątku obecnego, wedle ostatniego sprawozdania wynosi £ 320.688 z tym, że zasadniczy kapitał ogranicza się do £ 165.000.

Na pozór zdawałoby się, że SPK ocaliło cały swój majątek i wygospodarowało uzyskane pieniądze w sposób słuszny i rozsądny.

Jednak weźmy pod uwagę dewaluację funta do prawie 60% wartości z roku 1946 i olbrzymi wzrost wartości nieruchomości, w jakich główny kapitał SPK jest ulokowany. Trzeba by bardzo dokładnego i wnikliwego obliczania, aby można było stwierdzić, ile stracono w ciągu lat. Nie będzie przecież przesadą twierdzenie, że około 50% sum otrzymanych przez Stowarzyszenie wydatkowano.

Działalność Stowarzyszenia była zakrojona na olbrzymią skalę i planowana jako rzeczywista pomoc były polskim żołnierzom.

Biuro informacji w Londynie, olbrzymie, początkowo, Biuro Zatrudnień, Opieka Społeczna, sklepiki, biuro paczek, późniejsza Centrala Handlowa — wszystko pracowało raczej społecznie niż dochodowo. Tysiące byłych żołnierzy poszukując pracy i możliwości osiedlenia się — zwłaszcza w Londynie — znalazło pomoc w SPK.

Z czasem nabyto doświadczenie, a szeroka działalność społeczna stała się nie potrzebna. Można dziś ograniczyć się do konsumowania dochodów bez naruszania kapitału.

Maksymą obecnych gospodarzy funduszami kombatanckimi jest właśnie: „Nie naruszając kapitału!”.

Dzisiejsza gospodarka jest racjonalna, ostrożna i przynosi stały, ba nawet wzrastający dochód. Oparta jest ona tylko na dwóch działach gospodarczych: Na Domach Kombatanta i na Warsztatach Radiowych.

Warsztaty Radiowe otrzymało SPK dość niespodziewanie. Wśród otrzymanego materiału było wiele sprzętu łączności; stowarzyszenie stanęło przed problemem, jak te powojenne zdobycze upłynić. Większa część sprzętu radiowego wymagała reperacji i dlatego właśnie założono małe warsztaty obsługiwane przez 5 ludzi — wszystko specjaliści wojskowi; po pierwszym roku działalności okazało się, że ta placówka nie tylko pomaga w sprzedaży sprzętu, ale daje dodatkowy dochód jako warsztaty napraw.

1 kwietnia 1949 r. zarejestrowano te warsztaty jako osobną spółkę pod nazwą PCA Radio. SPK oddało spółce sprzęt radiowy otrzymany z wojska oceniając go na £ 6.050, które PCA Radio zobowiązało się zwrócić po wyreperowaniu i sprzedaży sprzętu. Bardzo prędko warsztaty, prowadzone rozsądnie i fachowo, rozrosły się i już w pierwszym roku około 50% napraw było zleceniami spoza SPK.

Równoległą imprezą były początkowo Warsztaty Elektro-Mechaniczne, które powstały wcześniej od radiowych i miały zatrudnić demobilizowanych fachowców. Ta impreza nie udała się i w końcu warsztaty elektro-mechaniczne połączyły się z radiowymi.

Obecne warsztaty radiowe PCA przynoszą czystego zysku £ 19.000 rocznie, ich obrót sięga £ 250.000. Zamówienia nie ograniczają się do terenu Wielkiej Brytanii, znaczną część produkcji sprzedaje się za granicę. Stałym klientem PCA Radio jest brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa i inne działy rządowe. Warsztaty specjalizują się w wyrobieniu precyzyjnych aparatów elektrycznych.

Domy Kombatanta

Najbardziej celowa a zarazem najczęściej krytykowana działalność społeczna SPK wiąże się z siecią Domów Kombatanta, ogarniającą całą Wielką Brytanię. Domy Kombatanta są też główną lokatą kapitału stowarzyszenia i obecnie jednym z głównych źródeł dochodu.

Pierwsze domy zostały przez SPK odziedziczone po oddziałach wojskowych i akcji społeczno-oświatowej w terenie.

Na początku było ich sześć. Już w roku 1950 liczba ich wzrosła do dziesięciu.

Organizowanie „Domów” stanowiących ośrodek polskiego życia na prowincji było dążeniem wszystkich grup, organizacji, zrzeszeń społecznych, zawodowych, religijnych. I dziś Wielka Brytania jest usiana domami polskimi: Domami „Rzemieślników”, „Lotników”, „Inwalidów”, „Domami Parafialnymi” i „Domami Kombatantów” — tych ostatnich jest 25 plus, dom w Londynie będący połączeniem trzech domów.

Utrzymanie domu, który byłby klubem, teatrem, kaplicą, salą konferencyjną, taneczną, restauracją i szeregiem kancelarii organizacji społecznych było zawsze problemem, którym zajmowano się w każdym polskim ośrodku. Z natury rzeczy taki dom musiał być przedsiębiorstwem deficytowym. I pomijając pierwszy okres, w którym Wielka Brytania roiła się od polskich postaci w battle-dressach, gdy setki żołnierzy z obozów szukało po miastach kontaktu z rodakami i noclegu — pomijając ten okres, polski dom społeczny zawsze przynosił deficyt. To znaczy, że czasem, zawdzięczając wyjątkowo dobrej gospodarce, pomysłowości i zapałowi gospodarza, jakiś dom dawał dochód, ale zasadniczo walczyły one wciąż z deficytem.

Zarząd Główny SPK, a właściwie Zarząd Oddziału Wielka Brytania, i władze PCA Ltd, spółki gospodarującej funduszami, do której właściwie wszystkie Domy Kombatanta należą, zawsze miał trudności z gospodarką domów.

Dla Domów Kombatanta ułożono ciekawy i skomplikowany regulamin, który miał pogodzić zależność od centrali i odpowiedzialność gospodarczą wobec PCA Ltd z potrzebami miejscowych członków Stowarzyszenia i statusem klubowym zgodnie z prawem angielskim.

Domy Kombatanta pozostają w zasadzie w zarządzie „Klu-

bów Domów Kombatanta", rządzących się wedle statutu zatwierdzonego przez władze brytyjskie i dającego wiele swobody klubowej. To znaczy członkowie klubu korzystają ze specjalnego prawa picia i bawienia się w swoim własnym towarzystwie — co przy ograniczeniach godzin alkoholowych było bardzo ważne.

Kluby Domów Kombatanta posiadają kierownika wyznaczonego do prowadzenia domu i kontrolowanego przez centralę w Londynie. Dochód z „Domu” zostaje podzielony między PCA Ltd i miejscowe Koło SPK, w ten sposób w prowadzeniu Domu i zyskach z niego zainteresowani są miejscowi kombatanci.

Pierwsze Domy Kombatanta przynosiły deficyt — wielki i ruchliwy od początku Dom w Manchesterze za rok 1949-50, przy obrocie £ 15.000 dał 45 funtów dochodu. Dom w Glasgowie w tym samym roku przyniósł £ 145. Domy w Bradford, Bristolu, Edynburgu i inne przynosiły straty.

Zależało to w wielkiej mierze od kierownictwa, ale przy świadczeniach społecznych i przy zobowiązaniach hipotecznych, które Domy pokrywały ze swych dochodów, straty były nieuniknione.

Z tymi deficytami SPK poradziło sobie dopiero w latach 1959-60. W pierwszym rządzie przeprowadzono czystkę wśród kierowników, którzy wyznaczani byli najczęściej ze względu na swoje powiązania polityczne i personalne, a nie zaś zdolności gospodarowania.

Następnie wszystkie Domy Kombatanta postarały się o licencję na sprzedaż alkoholu na warunkach klubowych. Wreszcie wstawiono do Domów „Jednoramiennych bandytów”, czyli automaty do hazardu.

Domy zaczęły przynosić dochód. Co prawda zatracił się ich charakter społeczny; utopiści i idealisci widzący w sieci polskich domów ostoję polskiego ducha i patriotyzmu, załamywali ręce, ale w wielu wypadkach tylko dzięki konsumpcji alkoholu i srebrnym sześciopenówkom z „bandytów” Dom mógł odzębnić grożącą mu katastrofę.

Obecnie wartość Domów Kombatanta wynosi £ 107.765, zysk z tych Domów w roku 1962-3 sięgał £ 14.000.

Dom w Manchesterze dał dochodu 500 funtów, Dom w Glasgow przyniósł 1.400 funtów, Dom w Bristolu, ten sam, który w roku 1950 miał być sprzedany, wypracował dla Zarządu Głównego £ 1.817, rekordowym Domem jest Dom w Leicester — ten nie największy ośrodek polski, posiada tylko jeden dom społeczny w odróżnieniu od innych większych miast, gdzie znajdziemy obok Domów Kombatanta Domy parafialne, kluby prywatne itp.

25 Domów Kombatanta stanowi o zasadniczym obliczu Stowarzyszenia. One skupiają Polaków na prowincji, one są podstawą pracy społecznej kombatantów, one wreszcie przynoszą większą część dochodów, z których SPK żyje — nie naruszając kapitału.

Domy Kombatanta istnieją we Francji, w Kanadzie, w Ameryce, Argentynie i w Afryce Południowej. Kombatanci są rozsiadani

po całym świecie, ale zaangażowanie kapitału SPK jest w 90% „brytyjskie”. PCA Ltd zużywa swoje dochody na subwencje w zależności od potrzeb ogniw i jeżeli np. dotacje w Wielkiej Brytanii w roku 1963 wyniosły łącznie z Kołami ponad £ 5.000, te same dotacje dla Oddziałów poza Wielką Brytanią — £ 2.051.

Niektóre Oddziały zamorskie otrzymały swego czasu kapitały do administrowania, którymi gospodarują same, powiększając je o coroczne subwencje z Londynu.

Londyn

Domy Kombatanta w Londynie stanowią osobną pozycję działalności SPK. W roku 1947 zakupiono za sumę £ 18.000 dwa potężne budynki położone w samym sercu Londynu, w dzielnicy Kensington; po roku dokupiono trzeci dom, sąsiadujący, i stworzono największy kompleks polski w Londynie, potężną twierdzę polskiego kapitału, której obecna wartość wynosi na pewno £ 100.000.

Kiedyś domy na 16-20 Queens Gate Terrace były również londyńską twierdzą polskości. Ten adres znał każdy taksówkarz londyński, tutaj udawał się wprost z dworca każdy Polak, przyjeżdżający z prowincji, tu szukali schronienia zbiegowie z polskich okrętów, sportowcy i dyplomaci uciekający z żelaznej kurtyny.

Była tu wielka restauracja, hostel, klub, bar, a przede wszystkim biura pomocy społecznej, biuro porad i biuro zatrudnienia.

W roku 1960 niektóre z tych placówek zlikwidowano, reszta skurczyła się do niewielkich rozmiarów.

Z trzech domów dwa zostały przebudowane i podzielone na mieszkania do wynajęcia, jeden pozostawiono jako siedzibę władz naczelnych Stowarzyszenia, na kancelarie biur SPK i organizacji pokrewnych. Zamiast restauracji powstał mały klub w piwnicy, zamiast hostelu, gdzie przybysze z prowincji znajdowali schronienie, pozostała zaledwie informacja uprzejmego pana, urzędującego przy centrali telefonicznej.

Za te reorganizacje, zwłaszcza za przerobienie budynków na mieszkania i wyłożenie na to wielkich pieniędzy SPK jest szeroko i głośno potępiane.

Czy słusznie?

Na przykładzie gospodarki Stowarzyszenia Polskich Kombatantów widać zmienność czasów w jakich żyje nasza emigracja.

Rozmach i zapał w wydawaniu pieniędzy na początku działalności Stowarzyszenia cechowały wszystkie poczynania emigracji. Każda organizacja, każda grupa polityczna i każda klika starały się stworzyć „coś wielkiego” na swoim własnym odcinku. Rywalizowano ze sobą i rzucano pieniędzmi. Niegdyś potężny Związek Rzemieślników i Robotników, mający przed sobą wspaniałe perspektywy rozwojowe nie wytrzymał tempa i upadł. Upadłoby i SPK, gdyby nie miało tak wielkich kapitałów i gdyby

nie doszli w nim do głosu „gospodarze” wypierając w znacznej mierze „polityków”.

Przyjrzyjmy się bliżej sprawie przeróbki domów w Londynie.

Wielka restauracja, hostel i olbrzymie sale otwarte dla wszystkich Polaków w Londynie nie przynosiły dochodu a deficyt, mało — były niepotrzebne. Wielkie fale rodaków z prowincji szukających w Londynie pomocy, pracy i domu, przestały się przewalać przez biura SPK, potrzeby polskie skurczyły się. Większość znalazła spokój i dobrobyt, tzw. towarzystwo londyńskie korzystało z Ogniska, Domu Lotnika i innych polskich lokali i zbyt mało ludzi przychodziło do SPK, aby usprawiedliwić utrzymywanie Domów wielkim kosztem.

Konsekwentnie należało albo rozbudować je, stwarzając największy i jedyny polski ośrodek kulturalny i społeczny w Londynie, albo zamienić na przedsiębiorstwo dochodowe. Zarząd SPK nastawiony raczej na prowincję niż na Londyn obrał tę drugą ewentualność.

Za przeróbkę dwóch domów na oddzielne mieszkania i za przerobienie piwnic na elegancki lokal klubowy zapłacono około 14 tysięcy funtów. Roczny zysk z komornego wynosi około £ 4.000; £ 7.500 otrzymano jako odstępne za siedmioletnią dzierżawę mieszkań: Zatem w ciągu siedmiu lat dochód z domów tych wyniesie £ 35.000, co po potrąceniu wydatków będzie stanowiło przeszło £ 20.000 czystego zysku.

W jednej trzeciej nieruchomości znajduje się spora sala na odczyty, niezła restauracja w malutkim lokalu, bar prowadzony przez SPK i w zakamarku „jednoramienny bandyta” dla poszukujących hazardu.

£ 400.000 Funduszu Żołnierza

Na tej samej ulicy, kilka domów dalej od Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie mieści się siedziba Funduszu Społecznego Żołnierza, przez którego ręce przeszło — wedle „Sprawozdania z działalności za okres od roku 1947 do roku 1962” — £ 440.687.

Fundusz Społeczny Żołnierza jest w prostej linii spadkobiercą Funduszu Społecznego Wojska, który został ustanowiony rozkazem Ministra Obrony Narodowej 25 stycznia 1944 roku. Powstał on ze składek żołnierzy całego wojska (z racji terytorialnych, Fundusz Społeczny 2 Korpusu był z niego wydzielony).

Przekształcając Fundusz Społeczny Wojska na Fundusz Społeczny Żołnierza, który miał przejąć funkcję i zadania poprzednika, władze wojskowe przekazały do tej nowej instytucji wszystkie pieniądze.

Brytyjczycy czuwający nad Korpusem Przysposobienia zgodzili się na udzielenie pomocy polskim żołnierzom odchodzącym do cywila i z funduszy PKPR stworzono *Polish Resettlement*

Fund, do zarządu którego obok angielskich wojskowych wchodzili Polacy — generałowie Kopański i Malinowski. Pomoc z tego funduszu miała być udzielana przy współpracy Funduszu Społecznego Żołnierza. W praktyce po prostu *Polish Resettlement Fund* przekazał FSZ 86.000 funtów.

Razem Fundusz Społeczny Żołnierza otrzymał:

Z Funduszu Społecznego Wojska	£ 58.870
Ze składek żołnierskich	26.175
Z funduszy oddziałowych	38.370
Z Polish Resettlement Fund	86.530
Z „sum włoskich”	19.700
Z nieruchomości — dochody	18.552
Inne — depozyty, dary, procenty	8.933
RAZEM	£ 257.230

Tyle FSZ otrzymał w czasie swego istnienia. Suma 440 tysięcy umieszczona w Sprawozdaniu obejmuje zwroty pożyczek warsztatowych i inwestycyjnych, a więc jest sumą jaką Fundusz kiedykolwiek dysponował.

Od początku działalności Funduszu rozbiła się na dwie części — pierwsza to udzielanie pomocy w formie zapomóg, paczek, darów itp.; druga to tak zwane pożyczki warsztatowe.

Razem za cały czas swego życia, do 1962 roku, Fundusz wydał na pomoc doraźną w formie paczek, zasiłków, pożyczek, pomocy dla szpitali itp. £ 57.277. Zasiłki w wysokości 10 funtów udzielane były osobom, które wyszły ze szpitala, z więzienia, albo znajdowały się w koniecznej potrzebie, a nie mogły chwilowo otrzymać zasiłku z *Assistance Board* — publicznego funduszu pomocy społecznej.

Zasiłki te nie przekraczały rocznie £ 1.000.

Poza tym FSZ udzielał i udziela pożyczek i zasiłków na kupno odzieży dla osób żyjących z zasiłku bezrobotnych.

Specjalny charakter ma utworzony wewnątrz Funduszu „Fundusz Pożyczek Warsztatowych”, służący pożyczkom na zakładanie warsztatów. Wedle „Sprawozdania FSZ” udzielono takich pożyczek na sumę £ 189.803, z czego zwrócono Funduszowi £ 150.619.

Pożyczki są oprocentowane (5%) i wymagają poręczenia. Żadne sprawozdanie nie podaje, ile warsztatów założono przy pomocy pożyczek z Funduszu, ale wysokość tych pożyczek, początkowo £ 50 a obecnie £ 100, nie sugeruje wielkiej roli Funduszu w zakładaniu polskich przedsiębiorstw w Wielkiej Brytanii. Za te pieniądze żadnego warsztatu założyć nie było można.

Charakter społeczny Funduszu wyraża się właściwie w udzielaniu małych zapomóg i niskich pożyczek w wypadkach koniecznych. Czasem pozwalały one przetrwać „czarne chwile”, ale tej roli, jaką mu przeznaczono — jaką go obarczył *Polish Resettlement Fund* — stworzenia podstawy do osiedlenia się Polaków na

tych Wyspach i pomocy przy zakładaniu warsztatów pracy, Fundusz nie odegrał.

Specjalną — zwłaszcza na terenie Londynu — jest pożyczka dla właścicieli domów na zakup mebli do pokoiów do wynajęcia. Tutaj kilkadziesiąt funtów zawsze się przydawało i tak zwani „kamienicznicy” wiele Funduszowi zawdzięczają.

Ogółem Fundusz Społeczny dysponuje rocznie około 3.500 funtami na pożyczki i zapomogi doraźne i £15-17 tysiącami na pożyczki oprocentowane, tak zwane warsztatowe — zwrotne.

(Jak wiadomo przyznana po długich dyskusjach pomoc b. żołnierzom polskim przez rząd brytyjski wynosi £50.000 rocznie; w porównaniu z działalnością FSZ olbrzymia to suma, która ginie bez śladu w gromadzie potrzebującej wsparcia).

Gospodarka Funduszem Społecznym Żołnierza podobna jest do wszystkich innych. Z początku, wierząc w krótkotrwałość przebywania poza krajem rozdawano pieniądze hojną ręką, na „cele społeczne”; w latach 1948-58 wydano £47.544.

Wreszcie opamiętano się i zaczęto inwestować, kupować nieruchomości. Z początku za pieniądze *Resettlement Fund* kupiono dwa domy, a następnie zaczęto inwestować pieniądze na procent. Obecnie Fundusz jest właścicielem trzech domów czynszowych i dwóch hoteli. Wartość tych nieruchomości sięga £100.000, a przecież 75% Funduszu jest zaangażowane w „inwestycjach” dających dochód 10%. Czyli po przewaluowaniu wartości funta i zrewidowaniu wartości domów Fundusz w dalszym ciągu ma w posiadaniu 400 tysięcy.

„Podsumowując swoją działalność w ciągu piętnastu lat Fundusz Społeczny Żołnierza nie uważa zadania, do którego spełnienia został powołany i które spełniać usiłował wedle najlepszych chęci i możliwości, za zakończone”.

Jeżeli nawet można by przyznać rację tym słowom, to trzeba stwierdzić dwa fakty:

Pierwszy, to nie zmieniający się od lat zarząd Funduszu, a więc brak jakiegokolwiek kontroli społecznej.

Drugi — to typowe dla polskich funduszy rozdrabnianie pomocy, która w rezultacie jest niewspółmierna z wysokością zaangażowanych kapitałów.

Fundusze dywizyjne

Osobną pozycję zajmowały we Włoszech i zajmują obecnie fundusze społeczne dwóch dywizji 2 Korpusu: 3 Dywizji Strzelców Karpackich i 5 Kresowej Dywizji.

W obu oddziałach zbierano w czasie wojny składki wśród żołnierzy z tym, że pieniądze miały być przeznaczone na pomoc rodzinom poległych. 5 Dywizja zgromadziła w ten sposób z tzw.

„końcówek”, czyli drobnych pozycji potrącanych z żołdu 17.802.067 lirów włoskich — około £20.000, 3 DSK zebrała £32.000 i £7.000 Funduszu oświatowego.

Część tych sum, złożonych w Barclays Banku, zdołano bez trudu przekazać do W. Brytanii (£17.000 otrzymała w ten sposób 3 DSK), większość była „zamrożona” na równi z innymi „sumami włoskimi”.

Po przybyciu z Włoch do Wielkiej Brytanii dowództwa obu dywizji, zorganizowały Fundusze Wdów, Sierot i Inwalidów z wybranyimi powiernikami. Nowoorganizowane „trusty” zostały zarejestrowane u *Charity Commissioner'a* i, gdy okazało się to tylko możliwe, zaczęły starać się o odmrożenie pieniędzy we Włoszech.

W rezultacie fundusz 3 DSK otrzymał swoje 22 tysiące funtów na początku 1953 r., a 5 KDP w końcu tego roku.

Pierwszy okres działania obu Funduszy wygląda jednakowo — zaczęto z posiadanych pieniędzy wypłacać zapomogi i to umniejszało majątek bardzo szybko. W porę zorientowano się, że ulokowanie pieniędzy w nieruchomościach pozwoli na utrzymanie funduszy i na działania społeczne oparte na dochodzie.

Obecnie Fundusz 5 Kresowej Dywizji Piechoty jest właścicielem dwóch dużych domów czynszowych, które razem przynoszą czystego dochodu około £2.000, wartość ich przekracza znacznie pierwotny majątek 20 tysięcy funtów. Stały dochód pozwala na udzielanie zapomóg byłym żołnierzom i ich rodzinom. W Kancelarii Funduszu jest zarejestrowanych 900 osób potrzebujących wsparcia. Licząc przeciętnie po 5 funtów na jedną paczkę — taki rozmiar ustalił się w praktyce — każdy z zarejestrowanych ma nadzieję otrzymania pomocy raz na cztery lata.

Większy Fundusz 3 DSK jest właścicielem 5 domów, których łączną wartość oceniono na £41.519, dochód netto z tych domów wynosi również £2.000; ta suma rozdzielana jest corocznie między potrzebujących, których w 3 DSK zarejestrowano 4.000. Paczki zatem są mniejszej wartości, selekcja potrzebujących ściślejsza i pomoc rzadsza.

Weźmy jednak pod uwagę, że oba Fundusze swoją pomoc kierują przede wszystkim do Polski i że paczka z materiałem wartości 5 funtów, czy nawet lekarstwo za 12 szylingów i sześć pensów — posiadają o wiele większą wartość w kraju.

Lotnicy, marynarze, inwalidzi

Stowarzyszenie Polskich Kombantantów jest organizacją byłych żołnierzy armii lądowej; lotnicy i marynarze pozostają poza SPK i utworzyli własne organizacje: Stowarzyszenie Lotników Polskich i Samopomoc Marynarki Wojennej.

Lotnicy mieszczą się w swoim własnym ładnie urządzonej domu, w centrum Londynu (nieдалeko zresztą SPK), w którym jest klub, restauracja, sala balowa i kancelaria Stowarzyszenia.

Klub Lotników jest świetnie prowadzony i ściąga wiele osób zwłaszcza na zabawy sobotnie i niedzielne. Lotnicy nie utrzymują się tylko z domu w Londynie, ani z trzech innych, znajdujących się w prowincjonalnych miastach. Podstawą życia Stowarzyszenia jest jego wyjątkowy status, oparty na wdzięczności Anglików za udział w *Battle of Britain*. Stowarzyszenie Lotników raz na rok, w rocznicę Bitwy o Wielką Brytanię bierze udział w zbiórce publicznej. Z tej zbiórki, w której uczestniczą stale bogaci i potężni przyjaciele angielscy, do kasy Stowarzyszenia wpływa od 7.500 do 10.000 funtów rocznie. Te pieniądze są całkowicie zużywane na pomoc b. lotnikom.

Fundusz zasadniczy, otrzymany podobnie jak w wypadku SPK z wojska i z PKPR, ulokowany w czterech domach wynosi około 90 tysięcy, dochód 6-7 tys. rocznie powiększa pomoc, która w ciągu lat urosła w sumie do 85 tysięcy funtów.

Warto podkreślić wyjątkową działalność Lotników — pomoc kolegom w potrzebie i utrzymywanie dobrze zagospodarowanych domów. Te domy znajdują się w miejscowościach związanych z pobytem lotników w czasie wojny w Blackpool, Derby i Nottingham — w tych miastach SPK nie posiada swoich placówek. Dom Lotnika w Londynie skorzystał na ograniczeniu działalności Domu Kombatanta i przejął wielu z jego klientów.

Ponieważ pomoc jest stosunkowo duża, a lotników na tych Wyspach jest niewiele, więc powodzi im się dobrze i potrafili w oparciu o Stowarzyszenie urządzić się zupełnie znośnie.

Inna sytuacja jest wśród byłych marynarzy. Pomijając starszych i stopniem i wiekiem, większość pływa. W tym morskim kraju każdy z nich potrafił znaleźć sobie miejsce na okrętach handlowych. Samopomoc Marynarki Wojennej nie wiele ma do roboty, spełnia więc przede wszystkim zadania społeczne, utrzymuje łączność między kolegami.

Piękny dom, nazywający się „Bałtyk” a leżący nad mętными wodami Tamizy kupił niegdyś marynarzy. Tu spotykali się na urlopach, tu przychodzili na zebrania i tu mieszkali przejeżdżając przez Londyn. „Bałtyk” był swego czasu najładniejszym z polskich klubów w Londynie. Został zamknięty i sprzedany z dużym zyskiem. Marynarze zamierzali kupić inną nieruchomość, ale te plany wciąż wiszą w powietrzu. Tymczasem mają swoją „siedzibę” w Domu Lotnika i popierają ten klub. Kapitał — około 60 tysięcy — trzymają na procentach.

SPK, Stowarzyszenie Lotników, Marynarze, Fundusz Społeczny Żołnierza, Fundusz 5 KDP i 3 DSK — wszystkie fundusze żołnierskie (i fundusze „cywilne” tak samo) szczytą się, że zawsze są gotowe pomagać potrzebującym.

Inwalida zawsze może otrzymać zasiłek w każdym Funduszu. W praktyce naturalnie musi nakręcić głowę i wypisać się obszernie, aby wyperswadować „rządcom” rozstanie się z kilkoma funtami, które jemu są niezmiernie potrzebne. Jednak pomoc otrzyma w każdej z wymienionych instytucji. W związku z tym wy-

daje się co najmniej dziwne, że inwalidzi posiadają poza tym specjalny fundusz.

Związek Inwalidów Wojennych powstał z dotacji wojska i PKPR tak samo jak wszystkie fundusze wojskowe. W rachunkach SPK i Funduszu Społecznego Żołnierza figurują pozycje wskazujące, że te organizacje przekazywały Inwalidom pewne sumy — jednak główne źródło pochodzenia funduszy inwalidzkich to darowizny i pomoc publiczna. I właśnie w celu wykorzystania tej publicznej ofiarności powstał Związek Inwalidów.

W czasie od 1. 4. 1960 do 30. 6. 1963, a więc w ciągu trzech lat Związek otrzymał z darowizn i składek publicznych: z Wielkiej Brytanii — £2.750, ze Stanów Zjednoczonych — £8.111, z Kanady — £5.817, z Australii — £944. Jak widzimy, głównym źródłem są Stany Zjednoczone, w których Związek zbiera gros swych pieniędzy. W ilości zapomóg udzielonych inwalidom na pierwszym miejscu stoi Francja, na drugim Niemcy, na trzecim Wielka Brytania — Stany Zjednoczone nie figurują wśród potrzebujących.

Majątek Inwalidów wynosi obecnie około £41.000 i ulokowany jest w 4 domach, dwa w Londynie, jeden w Edynburgu i jeden w Birmingham. Dochód z tych domów jest niewielki. W roku 1963 sprzedano blok domów czynszowych na Chepstow w Londynie. Uzyskaną ze sprzedaży gotówkę w wysokości 50 tysięcy funtów ulokowano w innych domach (spłacając długi hipoteczne) a częściowo użyto na pilne zapomogi (£9.000).

W latach 1960-1963 dochód ze wszystkich domów, razem z domami na Chepstow, wynosił £3.400 czyli 8% kapitału, stosunkowo niewiele, jeżeli porównamy procentowy dochód np. w Funduszu 5 KDP (15%).

Gospodarka domami na Chepstow i w ogóle stosunki gospodarcze były przedmiotem sporu wewnątrz Związku; sprzedaż domów i udzielenie większych zapomóg kołom w terenie częściowo te spory uciszyło.

W sumie Związek Inwalidów posiada obecnie £22.000 w nieruchomościach i £9.700 w gotówce, reszta £40.000, to zobowiązania i ruchomości. Nie są więc Inwalidzi tak bogaci jak SPK, ale korzystają z wielkiego przywileju, jaki daje im sam charakter Związku, z przywileju zbiórki wśród ludzi oceniających trudności życiowe inwalidów.

Znaczenie funduszy „wojskowych”

Wszystkie fundusze wojskowe mają jedną wspólną cechę — pochodzenie z ofiarności żołnierskiej i zasobów wojskowych.

Wszystkie fundusze też mają jeden cel: pomaganie byłym wojskowym. Aż dziwne, że dotychczas te fundusze nie połączyły się w jeden wielki fundusz, a dzielą się na fundusze oddziałowe, marynarskie, lotnicze itp.

Połączenie dałoby wiele — wspólną i taną administrację, możliwość sprawiedliwszego rozdziału pomocy, celową i dochodową gospodarkę nieruchomościami.

Ale jeżeli połączenie funduszy „wojskowych” jest rzeczą logiczną, to przecież i połączenie funduszy „wojskowych” z „cywilnymi” nie przeczy tej logice. Podział na cywilów i żołnierzy jest już bardzo dawno nieaktualny. Nawet podział na inwalidów wojennych i cywilnych stał się podziałem sztucznym.

Jeden wielki fundusz pomocy potrzebującym, prowadzony racjonalnie i przydzielający zapomogi wedle potrzeb dobrze udokumentowanych, spełniałby znacznie większą rolę niż fundusze i fundusiki, za którymi stoi częściowo tradycja, a częściowo tylko upór członków zarządu.

Większość ciał gospodarujących funduszami składa się z ludzi bardzo starych, zasiadających w prezydiach od dwudziestu lat; ich konserwatyzm i brak poczucia rzeczywistości stoi na przeszkodzie jakimkolwiek scaleniu.

Z doświadczeń funduszy „wojskowych” — zwłaszcza SPK i Stowarzyszenia Lotników — widzimy, jak wielką rolę spełniają polskie domy społeczne w życiu emigracji: skupiają one Polaków na prowincji i w Londynie, pozwalają na działalność kulturalną i częściowo — Domy Kombatantów na prowincji — oświatową, a poza tym... wszystkie przynoszą dochód.

Dawna inicjatywa zbudowania jednego wielkiego domu polskiego w Londynie opierała się na tym wyliczeniu i właśnie wśród Lotników, Kombatantów i Marynarzy znajdowała swoich entuzjastów.

Jak wiadomo, ta inicjatywa rozbiła się przede wszystkim o niechęć rezygnowania z pieniędzy przez poszczególne zarządy i oddawania częściowej chociażby kontroli nad funduszami w inne ręce.

Czy inicjatywa PUCAL'u również potknie się o niechęć ustępowania z fotelów powierniczych?

Jeżeli chodzi o fundusze „wojskowe”, fundusze żyjące zasadą pomocy społecznej i opierające się na ograniczonym członkostwie to mają one zawsze gotową wymówkę:

„Nasz statut nam na to nie pozwala. Nasi członkowie nie mogą być poszkodowani przez żadne zmiany”.

Jaki ostatecznie będzie stosunek poszczególnych funduszy „wojskowych” do podjętej przez PUCAL idei scalenia — pokaże przyszłość.

Po omówieniu pozostałych funduszy „cywilnych” jak Komitet Obywatelski, Towarzystwo Pomocy Polakom i innych, wróćmy jeszcze do tego tematu.

Czesław DOBEK

Kraj

Przed IV Zjazdem

Dnia 15 czerwca rozpoczyna się czwarty Zjazd PZPR, zwołany z rocznym przesłaniem opóźnieniem w stosunku do postanowień statutu partii. Zjazd ten, przygotowywany od wielu miesięcy, ma formalnie (a może i rzeczywiście) rozstrzygnąć wiele podstawowych problemów politycznych, gospodarczych i międzynarodowych, jakie zarysowały się w ostatnim okresie przed partią.

Przypomnijmy, że najwyższe władze partii wybierane przez Zjazd: Komitet Centralny a zwłaszcza Biuro Polityczne z Pierwszym Sekretarzem PZPR (Gomułka) na czele, stanowią prawdziwe i decydujące kierownictwo nie tylko Partii ale i PRL, określające politykę wewnętrzną i zagraniczną Polski. Wynika to z praktyki codziennej oraz zasad teoretycznych (dyktatura proletariatu, a więc partii, sprawiającej tę dyktaturę w imieniu proletariatu).

Od marca 1959, gdy trzeci Zjazd PZPR wybrał nowe władze partii, wiele się zmieniło; na 9 członków Biura Politycznego — dwóch zostało usuniętych (Morawski i Zambrowski), obaj uchodzący w okresie po-październikowym za „liberałów”, obaj pochodzenia żydowskiego. Spośród ośmiu sekretarzy Komitetu Centralnego, połowa została usunięta w tym samym okresie (Morawski, Matwin, Zambrowski i Albrecht) wszyscy czterej uchodzili za „liberałów”. Na ich miejsce przyszli ludzie „mocnej ręki”, typu Strzeleckiego i Starewicza, który, mimo swojej wrogości do stalinowców, jest niewątpliwie aparatczykiem oddanym bez reszty każdorazowemu pierwszemu sekretarzowi partii.

Wydaje się że w przeddzień Zjazdu warto przypomnieć po krótko kilka charakterystycznych faktów z tego okresu.

Trzeci Zjazd PZPR stanowił zakończenie etapu popaździernikowego, otwierając okres tzw. „małej stabilizacji” i, dodalibyśmy, pewnej względnej równowagi między prądami stalinowskimi i liberalnymi, wewnątrz partii (od jesieni 1959 Gomułka zaczął masowo usuwać październikowców i przywracać na stanowiska dawnych natolińczyków typu Witaszewskiego).

Na III Zjeździe, który trwał od 10 do 19 marca 1959, na 1.400 delegatów wygłoszono 80 przemówień które bez wyjątku były cenzurowane przez grupę utworzoną specjalnie przez Gomułkę z Kliszką i Starewiczem na czele. Waż-

niejsze przemówienia czytał sam Gomułka. W ten sposób zażądano m.in. od ministra oświaty Wł. Bieńkowskiego i pośła Bolestawa Drobnera, aby przedstawili teksty swoich przemówień. Obaj odmówili i na znak protestu nie zabrali w ogóle głosu na Zjeździe.

Na uwagę zasługuje przemówienie Cyrankiewicza, który w przeddzień swoich imienin (18 marca) oświadczył:

„Nasza Partia nie zrezygnowała nigdy ze swojej kierowniczej roli, nawet w okresie największego zamieszania, ani na rzecz Związku Filatelistów, ani na rzecz związku hodowców gołębi ani też na rzecz jakiegokolwiek klubu czy stowarzyszenia, chociażby one były najbardziej politycznie czy gospodarczo wykwalifikowane i chociażby one wiedziały lepiej aniżeli partia w jakim kierunku należy prowadzić Polskę” (ten fragment przemówienia został przedrukowany *in extenso* m.in. przez Zen Min Zi Pao).

Ten właśnie stanowczy akcent, wyrażony przez Gomułkę w sposób bardziej poważny i równie bezapelacyjny był najbardziej charakterystyczny dla obrad tego Zjazdu. Trzeba podkreślić, że lista kandydatów do władz PZPR była dyskutowana przez ustępujące Biuro Polityczne, nazwisko po nazwisku. Jeden z uczestników tej dyskusji opowiadał autorowi artykułu jak się to mniej więcej odbywało. Kliszko czytał nazwiska, a Gomułka akceptował lub zgłaszał zastrzeżenia i tak np. przy Włodzimierzu Reczku, zastanawiał się na głos czy sport i turystyka są na tyle ważne, aby dyrektor od tych spraw (Reczek) musiał aż być członkiem K.C. Ostatecznie Cyrankiewicz podkreślił znaczenie tego odcinka życia społecznego i kwalifikacje osobiste Reczka i wtedy Gomułka ustąpił. Jeden z wybitnych „październikowców” Bieńkowski został skreślony z listy kandydatów przez Gomułkę. Pierwszy sekretarz nie zgłosił natomiast żadnych zastrzeżeń co do osób znanych stalinowców, proponowanych do władz partyjnych: Nowaka, Moczara, Tokarskiego, Witaszewskiego, Chęłchowskiego, Popiela i Mazura.

To stanowisko Gomułki jest tym bardziej dziwne, że w tym samym czasie, w kuluarach Pałacu Kultury im. Józefa Stalina, gdzie odbywały się obrady Zjazdu, rozrzucono ulotkę antysemitką, oskarżającą m.in. Gomułkę o popieranie osób pochodzenia żydowskiego i tłumaczącą tę „słabość” Gomułki tym, że jego żona jest tego samego pochodzenia. W tym kresie chodziły pogłoski, że ulotka ta była przygotowana przez natolińczyków: Mijala i Lapota. Zauważmy, że od kilku tygodni krąży po Polsce broszura „antygomułkowska” podobnej treści.

III Zjazd wystąpił przeciwko rewizjonizmowi, jako głównemu niebezpieczeństwu. W tym też kontekście warto przytoczyć fragment przemówienia Gomułki, który stwierdził m.in. (21.III.1959 „Trybuna Ludu”, str. 4).

„Międzynarodowa reakcja, a w jej szeregach również pewne koła emigracyjne, stawiały na rewizjonizm, gdyż uważały że przy jego pomocy uda im się rozbić jedność naszej partii i osłabić ją na tyle, by móc przygotować drugi etap wiodący ku restauracji kapitalizmu.

Rewizjoniści szermując pseudo-lewicowym frazesem przyjmowali najczęściej podstawowe elementy ideologii socjaldemokratyzmu, traktując jak objawienie jego stare i wyświechtane tezy i postulaty, jak idealizacja

burżuazyjnego parlamentaryzmu, frazes o integralnej demokracji, wrogość wobec dyktatury proletariatu, wobec leninowskiej koncepcji kierowniczej roli partii itp. Rewizjoniści kierowali swe uderzenia w jedność obozu socjalistycznego, w proletariacki internacjonalizm”.

Ostatecznie Zjazd stwierdził, że w zasadzie partia przewycięża złe tendencje rewizjonistyczne. Te stwierdzenia okazały się niecisłe i w następnych latach Gomułka wielokrotnie wraca do tego tematu, aby potępić intelektualistów polskich wciąż jeszcze mających poważne ciągoty rewizjonistyczne, pro-zachodnie, i nadmiernie krytyczne wobec osiągnięć władzy ludowej. Najbardziej klasycznym przykładem tych ataków antyrewizjonistycznych i anty-intelektualnych, są obrady i uchwały XIII Plenum KC z lipca 1963.

O wiele ważniejsze są jednak porównania natury ekonomicznej: III Zjazd postanowił, że należy podnieść produkcję w okresie 1960-1965 o 80%, jak również w tym samym okresie zarobki realne, faktyczne, ludzi pracy od 30% do 35%. W tymże samym roku (1959) Polska przeszła ciężki kryzys gospodarczy, a sytuacja ekonomiczna kraju jest dzisiaj bardzo daleka od decyzji zjazdowych z 1959 roku. Nie bez racji więc, program przedzjadowy, opublikowany w Polsce kilka tygodni temu, wysuwa na pierwszy plan postulaty natury ekonomicznej. Czy jednak znajdzie się jakiś delegat który zapyta z trybuny tegorocznego Zjazdu partii: a co z uchwałami i obietnicami poprzedniego Zjazdu? Czy uchwały tamte były honorowane? Czy zasady demokracji wewnątrzpartyjnej były przestrzegane? Czy racje mają polscy intelektualiści domagający się więcej wolności, czy też kierownictwo partii, uważające że mają jej oni aż za dużo...?

W każdym razie IV Zjazd PZPR będzie musiał zająć stanowisko w wielu najistotniejszych sprawach: najważniejsze z nich to sprawy: chleba pracy i wolności.

Zanim wyznaczona była jeszcze data XV Plenum KC PZPR w rozmaitych ośrodkach a zwłaszcza wśród Puławian — szerzono pogłoski, że zarówno samo Plenum jak i IV Zjazd Partii nie wniosą istotnych zmian do międzyfrakcyjnej równowagi sił. Równocześnie jednak występowały przejawy nasilenia walki między odłami partii. O kolportowanej broszurze piszemy osobno.

W prasie ukazało się kilka krytycznych artykułów, które przeszły przez oka cenzury. Nie było tych artykułów wiele, lecz poruszały ważne sprawy.

Miała miejsce masowa akcja odsyłania legitymacji partyjnych. Nie jest istotne czy odesłano ich około 50 tysięcy, jak mówią Partyzanci, czy ponad sto tysięcy — jak twierdził na XV Plenum Zambrowski. Tak czy inaczej, w polskich warunkach była to akcja masowa. Zbyt masowa, by można ją było uznać za odruch spontaniczny i niezorganizowany.

Gwałtowny atak Zambrowskiego na XV Plenum nie miał na celu zde-maskowania nieudolności jednego czy drugiego ministra. Atak ten bił wyżej — w samego Gomułkę. Miał być sygnałem do szerszej rozprawy przy rów-

nocnym zmobilizowaniu tak licznych przecież czynników niezadowolonych.

Kalkulacja była jasna. Zambrowski wiedział, że przygotowywany mozolnie od roku przez Partyzantów skład przyszłego Komitetu Centralnego — jaki wyłoni IV Zjazd — będzie według wszelkiego prawdopodobieństwa mniej korzystny dla jego grupy, niż zestaw personalny obecnego KC. Przypuszczalnie Zambrowski liczył również na efekt zaskoczenia. Dlatego zabrał głos pierwszy i w długim przemówieniu sypał faktami i cyframi.

Głównym błędem Zambrowskiego było to, że jego atak był zbyt ostry i później łatwo mu było zarzucić (jak zrobił to w podsumowaniu Gomułka), że jego przemówienie nie było głosem w dyskusji, lecz referatem z góry przygotowanym.

W dyskusji można było podziwiać szybkość orientacji Tatarkówny-Majkowskiej, która od razu znalazła się „na linii” licząc, że to pozwoli zapomnieć o fakcie, że nie tak dawno tegoż samego Zambrowskiego przyjmowała w Łodzi z honorami. Lange wykazał mniej przytomności umysłu. Nie wiedział jak się zachować: czy jako ekonomista, czy jako oportunist. Lesz także zostawił sobie różne furteczki. Jego przemówienie pływało w podobnie mętным sosie jak jego gastronomia.

Wszystko to jest w rzeczywistości mało istotne. Istotny jest natomiast fakt, że w konsekwencji klótni i walk frakcyjnych nie postawił nikt problemu odpowiedzialności za błędy popełnione w planowaniu i zarządzaniu gospodarką, odpowiedzialności za stałe obniżanie się stopy życiowej, za postępujące obniżanie się poziomu życia kulturalnego — jednym słowem za cały smutny obraz Polski roku 1963.4.

Jako realny fakt trzeba zanotować, że Gomułka „król kleju” — dochrapał się swojej grupy antypartyjnej. Błąd taktyczny Zambrowskiego — bo tak należy nazwać jego wystąpienie na XV Plenum — ułatwił Partyzantom osiągnięcie tego co chcieli już osiągnąć na XIII Plenum, to jest udowodnienie Gomułce, że są mu niezbędni jako jedyna prawdziwa podpora.

Również nie było korzystne dla Gomułki, że londyński „The Observer” (z 15.3. br.) wydrukował treść listu komunistycznej partii Związku Sowieckiego do innych wiernych jej partii komunistycznych w sprawie stosunków z Chinami. List datuje się z listopada ubr. W tym okresie członkowie Biura Politycznego PZPR podróżowali po Europie, aby pośredniczyć między partią Związku Sowieckiego a partią chińską. W różnych kołach owe zabiegi Gomułki przydawały mu nieco splendoru i powagi. Mówiono, że godzi dwóch wielkich zważnionych przywódców komunistycznych, a sam zajmuje niezależną postawę. Obecnie w wyniku rewelacji „The Observer” stało się jasne, że ówczesna działalność polskich dygnitarzy partyjnych była jedynie akcją zleconą przez Nikitę Siergiejewicza.

Nie w porę wypadły również rewelacje paryskiego „Le Monde”, który ujawnił, że próby odprężenia stosunków z Kościołem, jeszcze za życia Jana XXIII, również dyktowane były przez Moskwę. Philippe Ben podaje datę 3-go listopada 1962, kiedy to Gomułka miał otrzymać w Moskwie instrukcje w tej sprawie. Jak nieostrożnie — w czasie swego pobytu w Rzymie — ujawnił Kliszko, program działania nie obejmował jedynie nawiązania stosunków dyplomatycznych (watykańskie konsulaty), lecz projekt zastąpienia łąciny w liturgii kościoła polskiego językiem polskim. W kołach partyjnych liczone, że powiedzie się wykorzystać przychylność Jana XXIII dla liturgii

wschodnich i drogą jego sercu myśl o pojednaniu z Kościołem Prawosławnym. Po rewelacyjnych oświadczeniach „Le Monde” i niedyskrecjach Kliszki dla wszystkich stało się jasne, że komunistom nie chodzi o ułożenie stosunków z Kościołem, lecz przeciwnie, o jeszcze większe oderwanie Polski od Zachodu przez zniszczenie tradycyjnych powiązań katolicyzmu polskiego z Rzymem.

Duży efekt osiągają liczne ostatnio rewelacje na temat spraw polskich, pochodzące z Pragi. Czy tylko dlatego, że jest ona ośrodkiem rozmaitych spotkań partyjnych, w których uczestniczą towarzysze z całej Europy i spoza Europy, którzy potem rozwożą swój bagaż po większych i mniejszych stolicach? Czy może i dlatego, że ci którzy są uważani za grupę antypartyjną w Polsce, nie mieliby trudności w porozumieniu się z Novotnym, który jakoś wcale nie chce ustępować miejsca Koutsky'emu?

Intryga, dywersja? Kto to wie, może i tak. A jeśli tak — to czyja? W zamkniętych społeczeństwach, jakimi są społeczeństwa państw komunistycznych, działa niezliczona ilość ukrytych i na wpół ukrytych trybów i kółek. Jeżeli kółka te zaczynają się kręcić nie w tym samym kierunku, jeżeli zdobycze techniki konspiracyjnej stosują przeciwko sobie, to i rozeznanie kto wróg, a kto przyjaciel nie jest łatwe.

III Zjazd odbył się pod hasłem „porządku” i centralizacji, m.in. w planowaniu. Zaostrzono tę centralizację na jesieni 1959 r. W rezultacie, bałagan scentralizowany okazał się znacznie gorszy od poprzednich prób decentralizacji, nieśmiało czynionych w latach 1957 i 1958.

Bałagan ten powiększa jeszcze tzw. socjalistyczny podział pracy. Polega on na umowach o znoszeniu niektórych produkcji paralelnych. Rozwijają się zwłaszcza w stosunkach polsko-czeskich.

Czesi w swej megalomanii przemysłowej i w przekonaniu, że będą prowadzić dobre życie dostarczając maszyn Rosji i Chinom, znaleźli się w ostatnich latach w szczególnej sytuacji.

Na zjeździe partii czechosłowackiej w 1962 r. Novotny wyliczył, że Czechosłowacja produkuje ni mniej ni więcej tylko około 80% wszystkich typów maszyn, jakie znane są na świecie. Produkuje w krótkich seriach, nieekonomicznie. Toteż Czechosłowacja jest zmuszona do zaprzestania niektórych produkcji. Znaleźli się jednak głupi Polacy, którzy za to, co i tak Czechosłowacja musiała zrobić, gotowi byli zapłacić zaprzestaniem własnej produkcji w niektórych fabrykach i zdaniem się na import z Czechosłowacji. W ten sposób Polska rezygnuje z niektórych produkcji, które mogłyby się rozwijać, a Czechosłowacja zamyka fabryki, które i tak by zamknęła. O tym że w Czechosłowacji zlikwidowano sto kilkadziesiąt fabryk pisała prasa światowa, ale wiadomość ta została ukryta w Polsce.

W rolnictwie w Polsce trochę lepiej — bo zamiast głupich środków, działania stosowane są półśrodki. Kółka rolnicze zgromadziły zaledwie około 1/4 rolników. Mimo tego tylko dla nich są wszystkie przywileje. Indywidualnym rolnikom wciąż brak nawozów (a jeśli są — to źle przygotowane), brak narzędzi i środków transportu. Ze względów doktrynalnych nie przeprowadza się komasacji, gdyż to wzmocniłoby „średniaków”. Ale za to planuje się co rok wielkie zwiększenie produkcji, które jeśli nie dopisze (nie każdy rok jest rokiem wyjątkowo dobrej dla rolnictwa pogody) to na rolnictwo można zważyć nieprowodzenie w innych dziedzinach gospodarki.

W handlu wewnętrznym liczba bubli nie do sprzedania jest ciągle astro-

nomiczna. Produkcja wyrobów, których nikt nie kupuje jest jednym z głównych źródeł marnotrawstwa.

W handlu zagranicznym pogoń za dewizami za wszelką cenę. Niesolidność w dostawach, głupie i zresztą nie dotrzymane kontrakty.

Kupcy zachodni, mający stosunki handlowe z Polską, opowiadają legendy o biurokratyzmie i nieudolności polskich firm. Właśnie po roku 1959 z handlu zagranicznego usunięto w Polsce wielu fachowców.

W socjalistycznym podziale pracy Polsce dostała się produkcja wagonów towarowych i karoserii. Motory robią inni. Podobno ma być zamknięta jedyna fabryka samochodów w Polsce, na Żeraniu, która dostarcza przestarzałych „Warszaw” po cenie o 100% wyższej od wysokich kosztów własnych. Za to Polska miałaby robić więcej butów. Czy w Polsce nikt się nie zastanawia jaki to będzie rynek na samochody, to społeczeństwo 30-milionowego kraju — jeżeli ceny zostaną wyznaczone na jakim takim poziomie? Co stanowi na Zachodzie produkcja i sprzedaż samochodów — i w jakiej pozostaje to proporcji do butów?

W rzemiośle cofanie się wskutek szykan podatkowych i trudności z zaopatrzeniem w surowce.

A stosunki państwa z kościołem? A polityka kulturalna?

Nie, nie chcemy pisać więcej. Gdy piszemy o tym stale a napisać można by całe tomy.

Broszura

Już od początku roku jęły się pojawiać wiadomości o krążących po kraju ulotkach, skierowanych przeciwko Gomułce. Jak się później okazało ulotki nie były ulotkami, tylko powielanymi w dużej ilości egzemplarzy, sporymi opracowaniami, które ostatecznie przybrały formę sporej broszury.

Wiadomości o ulotkach, czy później — broszurze przedostały się za granicę, budząc swego rodzaju sensację: wypowiedzi skierowane, przeciwko kierownictwu politycznemu, w kraju rządzonym totalitarnie, gdzie najbardziej „doinwestowywanym” działem administracji jest służba bezpieczeństwa, rozbudowywująca sieć podsłuchów i operująca wszystkimi wynalazkami technicznymi w tej dziedzinie? Wątpiono najpierw w prawdziwość wiadomości o istnieniu ulotek, czy broszury. A potem zaczęto się dziwić w jaki sposób było możliwe wydanie oraz rozesłanie (jakoby w paru tysiącach egzemplarzy) broszury pod tak czujnym okiem policji.

Można tu ustawiać różne hipotezy.

Jedna z nich dotyczy pojawienia się i zorganizowania się „grupy antypartyjnej” wewnątrz PZPR. Nasuwają się jednak zaraz pytania — kiedy powstała ona w charakterze rozwijającej działalności konspiracji? Jak wielki był jej zasięg? Z głuchych wieści o prowadzonym ostatnio śledztwie wynika, że nie mały. A jeśli tak, to dlaczego już wcześniej, w okresie kiedy krą-

żyły tylko powielane egzemplarze opracowania, bezpieczeństwo nie potrafiło stłumić w zarodku całej akcji?

Jedno z tłumaczeń polega na założeniu, że w ostatnich miesiącach służba bezpieczeństwa była tak zajęta śledzeniem sytuacji w środowiskach inteligencjnych, realizacją programu walki z kulturą polską, tak wyczerpywała techniczne możliwości aparatu, że na bliższe przyjrzenie się temu co się dzieje w niektórych środowiskach partyjnych nie było czasu.

Tłumaczenie to jednak nie wystarcza. Oznak akcji ze strony rozmaitych ośrodków partyjnych było wystarczająco dużo, by nie przechodziła ona niepostrzeżona.

— A więc?

Wchodzi tu w rachubę hipoteza dalsza: nazwijmy ją hipotezą tolerancji. Poglądy wielu „zamordystów” w aparacie partyjnym i rządowym, odpowiedzialnych za porządek polityczny w kraju, nie są znów tak dalekie od tego, co reprezentuje w sensie programowym i stylu ujęcia antygomułkowska broszura. Generał „Gazurka” Witaszewski na pewno znalazłby znacznie więcej wspólnego z Mijalem, niż np. z którymkolwiek z „34” intelektualistów, którzy podpisali list do Cyrankiewicza.

Paradoks sytuacji polega jednak na tym, że protest „34” ujęty był w formę legalną, listu do szefa rządu, a ci którzy go podpisali reprezentują jedynie pewną siłę moralną, podczas kiedy akcja „grupy” prowadzona była według wszystkich zasad konspiracyjnej działalności politycznej, działalności zorganizowanej, której celem było — jak się to w żargonie politycznym Polski Ludowej nazywa — „przechwycenie władzy”.

Siła moralna, tkwiąca za wystąpieniem „34” działać będzie długofalowo, tak jak np. przed trzydziestu laty protest profesorów, przeciwko uwięzieniu działaczy Centrolewu w Brześciu. Tej siły moralnej i znaczenia wystąpienia „34” nie zmniejszą załamanie się dziesięciu profesorów, uchwały różnych pismaków, ściąganych np. za pokryciem kosztów podróży i przy wypłacie diet, by bisować Kliszcze w Poznaniu.

Autorzy broszury ocierają się blisko, jakże blisko, o tych którzy z urzędu niejako zapewniają spokój władzy i „porządek publiczny”. Jak mogli nie dostrzec tak szeroko zakrojonej działalności opozycyjnej wewnątrz partii? A może wiedzieli o niej, tylko po cichu jej sprzyjali, w myśl zasady „ćwierć inteligencji wszystkich grup łączcie się”?

Przeciwko tej hipotezie „przymkniętego oka” przemawia jednak okoliczność, że broszura była uderzeniem silnym. O ile pierwsza część broszury w swych wywodach dyskredytuje bardziej lub mniej bezpośrednio podstawy „gomułkizmu” z punktu widzenia ogólnej linii partyjnej i osłabia wartość wypowiedzi Gomułki jako działacza międzynarodowego ruchu robotniczego (a lubił on ostatnio odgrywać rolę „teoretyka”), to znaczenie drugiej części jest bardzo konkretne: miała ona trafić do uczestników zebrań przygotowawczych, a później i do samych uczestników IV Zjazdu Partii. Przygotowana starannie, pisana odpowiednio dętwą mową broszura zawiera jednak całą kopalnię argumentów, które użyć można przeciwko kierownictwu partyjnemu zarówno w kampanii przedzjazdowej, jak i na samym zjeździe.

Jako taka broszura zagraża jedności partii, uderza w obecną grupę rządzącą, stwarza podstawy do rzeczywistej działalności opozycyjnej. Broszura rozsyłana była do urzędów, do komitetów partyjnych, do zakładów pracy, do „zasłużonych towarzyszy”. I to tak w biały dzień.

O istnieniu broszury od dawna wiadano zagranicą. W utrzymującej swe bezpośrednie kontakty z Warszawą i Katowicami komunistycznej partii francuskiej komentarze na temat broszury wychodzą poza ciasne grono wta- jemniczonych. A na Rakowieckiej nic o tym nie wiadano?

Nasuwa się więc hipoteza dalsza: nie tylko tolerancji, lecz współdzia- łania. W takim razie byłaby to zakrojona na wielką skalę prowokacja. Ce- lem jej mogłoby być wykazania jak niezbędną jest dla obecnej grupy rzą- dzącej ochrona ze strony dostatecznie sprawnej bezpieczeństwa.

Pomimo wszystko i ta hipoteza nie jest łatwa do przyjęcia. Cała akcja była zbyt szeroka i ryzyko „wsypy” zbyt bezpośrednie, by była dziełem policji. Należy więc tu zastosować hipotezę mieszaną: powstała dość szeroko rozgałęziona „grupa”, działająca wewnątrz partii przeciwko Gomułce i jego ludziom. Grupa ta korzysta ze współpracy, lub co najmniej rad, rozmaitych mandarynów z „epoki minionej”, dla których rozwój sytuacji wewnętrznej (bałagan, zła gospodarka) i zewnętrznej (stanowisko Chin w sporze z So- wietami) wydawało się korzystnym tłem dla rozgrywki z Gomułką.

„Grupa” jest silna. Miała i rozgałęzienia zagraniczne (Praga, Paryż). W kraju mogła liczyć na specjalne tolerancje na Śląsku (rola Gierka, a co najmniej niektórych z jego ludzi, jest w tej sprawie niejasna). Mogła też liczyć na pewne formy współdziałania ze strony Bezpieczeństwa („przeci- ki” i niedopatrzienia).

Mózgi „grupy” są wyraźnie oddzielone od ramienia wykonawczego. To nie Mijał czy inni ludzie jego pokroju redagowali broszurę. Dokładniejsze przyjrzenie się teżom artykułów ogłaszanych np. w prasie gospodarczej, w ciągu ostatnich kilku miesięcy, wykazuje niektóre podobieństwa do też broszury. Czy wchodzi tu w grę podobny sposób myślenia autorów, zapożyczanie poglądów, współautorstwo? „Grupa” w wielu wypadkach myśli zupełnie równoległe np. z wystąpieniem Zambrowskiego na XV Plenum.

A co prawdy jest w tym, że opozycja przeciwko Gomułce mogła liczyć na poparcie Chin?

Sprawa broszury wykazała jak głębokie są nienawiści wewnątrz par- tyjne. Nie milkną one, ani nie słabną w przede dniu Zjazdu. Przeciwnie.

Zajęty klejeniem „jedności międzynarodowego ruchu robotniczego” Go- mułka nie dostrzegł na czas jak głębokie są pęknięcia w jego własnej partii.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Sąsiedzi

Rumunia

Komunikaty agencji prasowych i artykuły prasy światowej o mających nastąpić niebawem rozmowach amerykańsko-rumuńskich, stanowią rodzaj podniesienia kurtyny przed ostatnim aktem przygotowywanej od kilku mie- sięcy za kulisami sztuki.

Sztuka jest jednym z fragmentów wielkiego wydarzenia międzyna-rodowego, zmieniającego wiele z podstawowych i niewzruszonych, wydawałoby się, założeń, które nazywa się potocznie kryzysem świata komunistycznego.

Rumuni dostatecznie wcześnie wyciągnęli wnioski z konsekwencji sporu chińsko-rosyjskiego. Dostatecznie twardo sprzeciwili się próbie wcielenia ich gospodarki do gospodarki rosyjskiej, bez pozostawienia im żadnych perspektyw rozwojowych.

Tak zwany socjalistyczny podział pracy w ramach RWPG, którego usłu-żnymi współautorami byli Polacy, był bowiem niczym innym, jak stopnio- wym włączaniem organizmów gospodarczych wschodnio-europejskich państw satelickich do gospodarki rosyjskiej.

Rumuni zorientowali się, że postawione przed nimi perspektywy są znacznie gorsze od tych, które mogą uzyskać na własną rękę. Zaczęli się też konsekwentnie sprzeciwiać wszystkim decyzjom, noszącym cechy rozwiązań ponadpaństwowych. W wystąpieniach i rezolucjach na konferencjach między- narodowych podkreślali wyraźnie problem suwerenności.

Ostatnio prasę światową obiegły echa stanowiska delegacji ru- muńskiej na Konferencji ONZ dla Handlu i Rozwoju. W wystąpieniu szefa delegacji, wicepremiera Radulescu znalazły się akcenty, nawiązujące do wy- stąpienia rządu rumuńskiego sprzed trzydziestu laty, a więc z czasów pano- wania króla Karola II. Przytoczony był cytat z wystąpienia ówczesnego mi- nistra spraw zagranicznych, Titulescu. Była to wyraźna demonstracja w sen- sie podkreślenia ciągłości i suwerenności państwa rumuńskiego.

Podróż delegacji rumuńskiej do Stanów Zjednoczonych odbywa się rów- nież w warunkach nadających jej cechy demonstracji niezależności. Jest to delegacja rządowa na wysokim szczeblu, kierowana przez wicepremiera, będą- cego zarazem szefem planowania: Gaston Marin. Uczestniczy w niej paru wiceministrów i szereg wyższych urzędników.

Rumunii dostaną kredyty na potrzebne im inwestycje, m.in. nowoczes- ną fabrykę kauczuku z ropy i inne instalacje. Dokonali oni licznych posu-

nięć przygotowawczych dla poprawy atmosfery rokowań, m.in. wypuścili z więzień i łagrów wielu więźniów politycznych. Nie oznacza to bynajmniej by Rumunia Gheorgiu-Deja weszła od razu na drogę liberalizmu. Rządząca w niej grupa dba jednak o interes kraju i społeczeństwa. W przeciwieństwie do takiej np. Anny Pauker i Chisinevskiego — są to komuniści „lokalni” nie „moskiewscy”.

Prasa amerykańska donosząc o rokowaniach amerykańsko-rumuńskich pisze o nich, jako o najważniejszych rokowaniach m.in. gospodarczych, jakie Stany Zjednoczone będą miały od czasów wojny z przedstawicielami jednego z państw wschodnio-europejskich.

Mimowoli nasuwają się porównania z Polską. Z taktyką Gomułki brania wysokich kredytów zbożowych, przy jednoczesnym ukrywaniu tego, lub tylko częściowym podawaniu do wiadomości społeczeństwa. W sumie rząd polski za czasów Gomułki otrzymał blisko 600 milionów dolarów, starając się jednocześnie o zacieranie śladów dokonywanych transakcji kredytowych. Gomułka brał pieniądze od Amerykanów z miną enotliwej dziewicy, puszczając się na stronie „dla chleba” i wygłaszając wielkie i nudne tyrady, w stylu najgorszych podręczników drętwej mowy.

Na tym tle determinacja, a także otwartość postępowania Rumunii budzi szacunek. Stanowisko to będzie miało też swoje praktyczne konsekwencje. Polityka amerykańska odeszła wyraźnie od koncepcji wyzwania Europy Środkowej z bronią w ręku. Natomiast dąży do najlepszego ułożenia sobie stosunków z rządami tych krajów. Nastawiona jest na koegzystencję z różnymi formami komunizmu, o ile nie oznaczają zbyt daleko posuniętego satelitizmu i stalinowskiej drętwy.

Stąd Rumunia może liczyć na pomoc, dopóki nawet w ramach ustroju komunistycznego bronić będzie swej suwerenności i swoich interesów. Możliwość na taką pomoc liczyć również i Polska, jeśli obierze linię postępowania zgodną z interesem własnym.

Jeśli natomiast przywódcy polscy wyżywać się będą w planach wcielenia gospodarczego Polski do Rosji, to praktyczne zainteresowanie Stanów Zjednoczonych Polską skończy się.

W każdym razie o podróży delegacji rumuńskiej do Stanów Zjednoczonych i możliwym układzie Rumunii ze Stanami Zjednoczonymi ani prasa polska ani radio nie doniosły ani słowa.

Kronika kulturalna

Marek Żuławski - Nagroda Plastyczna "Kultury" za r. 1963

Warszawa 1932. Zachęta — stary senny staw rzęsą zarosły. Nowy gmach Instytutu Propagandy Sztuki, teren walk młodych wówczas Kapistów i Łukaszowców. Z malarzy już wówczas starszych Czyżewski contra Pruszkowski.

Na jednej z wystaw w IPS-ie mała, skromna martwa, zielone gruszki na białej paterze czujną plamką malowane. Autor — Marek Żuławski, syn poety, jeszcze student Akademii Warszawskiej z pracowni Tichego i Kowarskiego. Młodość w Polsce wtedy odkrywała kolor, budowanie obrazu kolorem. Cézanne, Seurat, powierzchowniej i szerzej Bonnard. Kto tych czasów nie pamięta nie potrafi ocenić jak mały obraz nieznanego młodego artysty o niechybnym czuciu koloru mógł cieszyć — zagubiony wśród płócien bez cienia świadomości podstawowych elementów malarstwa. Po paru już latach jakże zmienił się charakter wystaw w Warszawie — Bonnardyzm ułatwiony zapanował szybko, zbyt szybko się degradując stał się manierą prawie popularną.

Straciłem wtedy z oczu Żuławskiego. Jeździł po świecie, przeżył się do Anglii. Pamiętam zaledwie jedno płótno Żuławskiego z tamtych czasów, przebielone, postimpresjonistyczne, prawie eleganckie. Nie podobało mi się, może byłem niesprawiedliwy, ale wtedy szukałem już mocniejszej ekspresji form malarskich, innymi drzwiami wchodziłem w tę tak zwalczaną przez nas, Kapistów, „literaturę” malarską.

Dopiero po latach wojny zetknąłem się znowu z malarstwem Żuławskiego w Londynie. Wpływ okresu wojennego Londynu: doszedł on wówczas chyba do *swojego* wyrazu (analogiczny proces przeżył Potworowski). Jeszcze dziś mam w oczach ówczesne płótno Żuławskiego: czarne mosty, czerwienie i złota zachodu nad czarnym Londynem, twarze geometryczne, uproszczone — w pewnej chwili także i kubizm wpłynął na Żuławskiego

— robociarze w *pub*'ach, pary kochanków na pustych plażach nad gładką wśród dzikich skał taflą morza, *collages* o dużym smaku i kulturze malarskiej.

Od tego czasu odwiedzałem pracownię Marka za każdym prawie przyjazdem do Londynu. Jego obrazy były dla mnie zawsze niespodzianką: to twarde górników czy marynarzy — czułem tam jeszcze dalekie ślady kowarszczyzny, to wielkie płótna treści biblijnej, religijnej o brutalnej ekspresji, to rozległe dekoracje — jedna z nich z pawilonu „Homes and Gardens” na festiwalu brytyjskim w 1951. Te obrazy o tak różnej tematyce i nieoczekiwanej, wciąż nowej fakturze prowadzą nas do płócien coraz bardziej syntetycznych i aż brutalnie dźwięcznych. Pomimo, że w Anglii malarstwo abstrakcyjne przez szereg lat panowało jeszcze wyłącznie nad młodym malarstwem niż we Francji Żuławski nie stał się nigdy malarzem czystej abstrakcji ani geometrycznej, ani lirycznej. W jednej ze swych wypowiedzi jeży się na malarstwo czystego przypadku, automatyzmu, *action painting* czy *taszyzmu*.

Artysta pisząc o sobie wspomina że przeżywał okres kiedy próbował zerwać ze wszystkimi wpływami — płonnia nadzieja. Trzeba być Nikiforem, prymitywem, żeby się rozwijać, żeby malować tak niezależnie i czysto jakby w szklanej kuli oddzielającej od otaczającego nas świata, krzyżujących się prądów. Żuławski nie jest prymitywem: od post-impresjonizmu, kubizmu, zaczynając przeżywał przeróżne wpływy i romańszczyzny, i mozaiki bizantyjskiej; a pośrednio działały na niego także kierunki abstrakcyjne (może i soc-realizm w pewnym momencie?).

Marek Żuławski o dużym już dziś nazwisku znaczyć będzie w rozwoju plastyki polskiej. Jest on wśród nas jednym z najbardziej typowych zjawisk epoki wstrząsów, która się wyraziła w malarstwie szeregiem wzajemnie się *wyklinających* (a może w dalszej perspektywie wzajemnie się *dopełniających*) rewolucji.

Józef CZAPSKI

Doychczasowymi laureatami nagrody plastycznej byli:

w r. 1956 — Śp. Stanisław Grabowski.

w r. 1957 — Zygmunt Turkiewicz za obraz „Marynarz w barze”.

w r. 1957 — Alina Ślesińska za rzeźbę (była to — analogicznie do nagrody literackiej dla pisarza krajowego — próba przyznania nagrody artyście krajowemu, z której z tych samych powodów musieliśmy następnie zrezygnować).

w r. 1958 — Józef Czapski za obraz „Kawiarnia”.

w r. 1959 — Mieczysław Janikowski.

w r. 1960 — Konstanty Brandel.

w r. 1961 — Jan Ekiert.

w r. 1962 — Rafał Malczewski.

Dekada 1954-1964

(NA MARGINESIE WYSTAWY W TATE GALLERY)

Rewolucja w sztuce stała się dziś permanentnym stanem rzeczy. To co dawniej było bohaterskim, a wywołującym oburzenie ogółu gestem łamania ustalonych pojęć i obowiązujących kanonów jest teraz oficjalnie sankcjonowaną regułą. Osamotnieni, lżeni i wyśmiewani pionierzy już nie istnieją. Sztuka eksperymentalna została powszechnie zaakceptowana, jest popierana, lansowana, nagradzana... Jest to oczywiście objaw pozytywny. Ale w tych nowych warunkach tradycja buntu artysty musi znaleźć jakieś inne ujście, więc przybiera formę rewolty przeciwko akceptacji. Stąd — jak powiedział amerykański malarz Roy Lichtenstein — ciągle „próby namalowania czegoś tak odrażającego, żeby nareszcie nikt tego nie chciał powiesić”. Ale w obecnej sytuacji jest to zupełnie niemożliwe. Największa bzdura zyskuje natychmiast *placet* urzędowy. Buntownik wraca wśród oklasków w szeregi awangardy. Jego prestiż wzrósł niepomniernie dzięki reklamie prasowej i telewizyjnej. Wtedy proces zaczyna się odnowa. „Zawsze — jak mówi inny amerykański malarz, Larry Rivers — znajdzie się ktoś dostatecznie wściekły, aby marzyć o namalowaniu czegoś, co do czego nikt w nowojorskim świecie artystycznym nie będzie mógł mieć żadnych wątpliwości, że jest oburzające, wstrętne i absurdalne”.

Taki jest mechanizm dzisiejszej awangardy, która stała się instytucją oficjalną.

Wyniki można oglądać na wielkiej wystawie zorganizowanej przez Fundację Gulbenkiana w Tate Gallery w Londynie. Wystawa pod tytułem „DECADE 54-64” obejmuje przeszło trzysta pięćdziesiąt obrazów i rzeźb z trzech największych ośrodków nowoczesnej sztuki tj. Londynu, Paryża i Nowego Jorku. Wspaniały katalog tej wystawy zawiera reprodukcje prawie wszystkich eksponatów i stanowi cenną dokumentację ostatniego dziesięciolecia. Oczywiście wszyscy uważają, że komisja selekcyjna złożona z trzech osób niesłusznie pominęła niektórych artystów, a włączyła innych bez dostatecznego powodu. Taka sytuacja jest nieunikniona, bo jesteśmy za blisko tego dziesięciolecia, a zbyt nie zbliżenie zawsze wypacza obraz. Ale trzeba stwierdzić, że jest to niezmiernie ważna wystawa, bo daje przekrój tych wszystkich

tendencji, które w tym okresie wybiły się na czoło. A są to tendencje ogromnie wielorakie, i często zupełnie sprzeczne. Dokładne omówienie takiej wystawy w jednym artykule jest fizyczną niemożliwością. Trzeba by o tym napisać całą książkę, bo to co robią malarze i rzeźbiarze nie jest, wbrew pozorom, zawieszona w próżni, a stanowi odbicie filozoficznego, emocjonalnego i społecznego klimatu, w jakim żyjemy, czyli innymi słowy — odbicie stanu naszej cywilizacji.

Ale te wszystkie tendencje można podzielić nietyle na abstrakcyjne i figuratywne, bo taki powierzchowny podział przestał już dawno odpowiadać rzeczywistości — ale na romantyczne i klasyczne, które rozwijają się dziś równoległe obok siebie i wzajemnie się uzupełniają.

Na wystawie w Tate Gallery widać wyraźnie, że istnieje podział na malarzy, dla których *action* czyli możliwie jak najbardziej spontaniczna, niekontrolowana i subiektywna funkcja malowania jest drogą do celu zawsze niewiadomego, a w każdym razie nieokreślonego z góry, oraz na malarzy bardziej intelektualnych, wywodzących się z Bauhaus'u którzy w ten czy inny sposób komponują obraz świadomie.

Spontaniczna akcja ma zawsze cechy romantyzmu i często prowadzi do prywatnych mitów dla nikogo niezrozumiałych, za czerpniętych z własnej podświadomości artysty. Stąd naturalna reakcja w odwrotnym kierunku, w kierunku malarstwa dla którego *konceptja* obrazu a nie *funkcja* malowania staje się najważniejsza. Tak więc wahadło zaczyna iść w przeciwną stronę i pojawiają się tendencje klasyczne. Artyści zaczynają znowu na chłodno poszukiwać obiektywnie interesujących rozwiązań plastycznych. Ale w tę stronę wahadło również dochodzi do punktu kulminacyjnego, w którym artysta zaczyna tak dalece obiektywizować, że może w ogóle wycofać się z funkcji malowania i realizację swojej koncepcji powierzyć rzemieślnikowi przez telefon. Dla ilustracji warto zaznaczyć, że na wystawie jest tryptyk złożony z trzech identycznych, wysmukłych w proporcjach płócien, zamalowanych gładko czarną farbą. Kiedy logiczne konsekwencje obiektywnego klasycyzmu dochodzą do takiego absurdu, musi znowu nastąpić reakcja w kierunku subiektywnego i emocjonalnego pojmowania obrazu. I tak w kółko.

W tym ograniczonym zasięgu wahadła od romantyzmu do klasycyzmu i z powrotem mieści się niezliczona ilość często bardzo interesujących kombinacji formalnych i stylistycznych. Ale każdy nowy wynalazek przewraca poprzednią skalę wartości do góry nogami. Uleganie na pozór nielogicznym wewnętrznym nakazom, impulsom czy pokusom, bez względu na to dokąd prowadzą, było kiedyś przywilejem kilku niezwykle samodzielnych artystów, których imiona historia sztuki dobrze zapamiętała. Dziś jest to powszechnie przyjęta recepta, która stosowana jest niejako obowiązkowo. Nakaz ciągłego eksperymentu jest z jednej strony destruktywny dla ustalonych pojęć estetycznych, a z drugiej niewątpliwie wyzwalaający. Na tej pouczającej wystawie wi-

dzimy dowody jednego i drugiego. Z jednej strony absurdałne, a zapożyczone z dadaizmu wmontowywanie do obrazu gotowych obiektów takich jak butelki, reprodukcje starych mistrzów, fotografie, narzędzia stolarskie, lustra, anatomiczne odlewy różnych części ciała, nie wyłączając organów płciowych, prawdziwe krzesło, czy cała umywalka z łazienki opatrzona chromoniklowymi kurkami, które nigdy nie zobaczą wody... A z drugiej strony ten wewnętrzny przymus eksperymentowania prowadzi czasem do szczęśliwych wyników, bo pozwala artyście na eksplorację terenów dotąd sztuce nieznanymi, a obiecującymi, co na przykład robi Tapiez i inni przedstawiciele szkoły barcelońskiej. Faktem jest, że nie ma dzisiaj metod zakazanych. Najbardziej sprzeczne rozwiązania plastyczne są jednakowo uznawane. Malarstwo płaskie czy przestrzenne, perspektywiczne czy dekoracyjne — wszystko to są kategorie należące do przeszłości. W walce o nową rzeczywistość plastyczną wszystkie chwytły, nawet najbardziej podstępne są dozwolone na jednym i tym samym obrazie. Sprawa rzeczywistości plastycznej w znaczeniu zupełnie autonomicznym stała się bardziej niż kiedykolwiek przedtem naczelnym i fascynującym zagadnieniem w rzeźbie i malarstwie ostatniej dekady. Ale rodzaje tej rzeczywistości, która wydaje się nam dzisiaj przekonująca są niewątpliwie inne, niż dziesięć lat temu, kiedy to niektórzy z nas sądzili po prostu że abstrakcja całkowicie wyruguje malarstwo figuratywne. Dziś trudno nawet myśleć tymi kategoriami. Plastycy na ogół powracają do sztuki figuratywnej choć jest to już odmienna figuracja niż dziesięć lat temu. Chodzi im nietyle o transformację jakiejś zewnętrznej rzeczywistości, ile o formowanie własnej.

Kiedy jednak sztuka posuwa się w tym procesie do ostatecznych logicznych konsekwencji i gubi wszelkie, choćby najbardziej odległe związki z naturą — dochodzi do granic poza którymi wieje ślepa pustka. I wtedy musi pojawić się reakcja w postaci anty-sztuki. To prawo dialektyczne wyjaśnia pewne niepokojące tendencje, których przykłady widzimy także na tej wystawie. Zaprzeczenie wszelkiej urody dzieła, nawet najbardziej gorzkiej, odrzucenie wszelkiej logiki, nawet najbardziej przekornej, negacja wszelkich zasad konstrukcji oraz wszelkich zasad spontaniczności prowadzi do haniebnych wyników, o czym świadczą na tej wystawie niektóre jarmarczne eksponaty najmłodszej i bardzo w tej chwili głośnej grupy malarzy zwanych w Anglii i Ameryce „pop-painters”.

Na wystawie „DEKADA 54-64” dominuje jednak średnia generacja plastyków, i pod tym względem organizatorzy uniknęli błędu wielu ostatnich wystaw reprezentacyjnych, w których główny nacisk położono na obiecujących zapewne, ale nie-dojrzałych artystów. Poza tym ogólną zaletą wystawy jest podkreślenie tych osiągnięć i poszukiwań, które wydają się w tej chwili najbardziej oryginalne. W pościgu za oryginalnością nie-jeden artysta zapędził się w ślepy zaułek bez wyjścia. Ale niewąt-

pliwie na wystawie reprezentowane są także te drogi, które prowadzą do nowych konkluzji o rzeczywistości pojętej w sposób jak najbardziej wieloraki. Oczywiście oryginalność, która opiera się tylko na powierzchniowych trick'ach technicznych nie wytrzyma próby czasu. Prawdziwa oryginalność nie może być programem, czy anty-programem artystycznym. Prawdziwa oryginalność jest niezamierzona, tak jak charakter pisma, i wynika z wewnętrznych cech artysty, które nie zmieniają się z sezonu na sezon. Powstaje pytanie jakie kryteria mamy dziś stosować do oceny dzieła sztuki?

W epoce eksperymentu, sankcjonowanej herezji i międzynarodowego ekshibicjonizmu — w czasach w których każdy artysta stara się realizować własne i odmienne założenia estetyczne — jedynym, być może, kryterium godnym zaufania jest kryterium integralności i wewnętrznej powagi z jaką artysta do nas przemawia. Innymi słowy, kamieniem probierczym w sztuce musi być uczciwość twórcy wobec samego siebie i swojego dzieła.

A to oczywiście, w ostatecznej analizie, jest kryterium natury etycznej.

Marek ŻUŁAWSKI

Londyn, dnia 8-go maja 1964 r.

W oczach Londynu

Stosunek emigracji do kraju poddany został w ciągu ostatnich tygodni trudnej i ryzykownej próbie. Żywa reakcja na warszawski protest „Trzydziestu Czterech Sprawiedliwych” była niespodzianką nawet dla najlepszych znawców nastrojów polskiego Londynu. Zebranie (popierające ich moralnie) zwołane przez cztery równie szanowne jak sensne organizacje (Polskie Tow. Naukowe, Polskie Tow. Historyczne, Związki Pisarzy i Dziennikarzy) mogło odbyć się w świecącej pustkami sali i przybrać szanowną i senną formę oficjalnej patriotycznej galówki. Było inaczej. Z dalekich przedmieść ściągnęli do „Ogniska”, wprost z pracy, szary nieznanymi Polacy, przygnani serdeczną troską, nieodstraszeni perspektywą wysłuchania pięciu przemówień. Zebranie było żywe, tłumne, serdecznie zaangażowane w walkę o wolność słowa — i to w stopniu może nawet intensywniejszym po stronie sali niż niezawodne trafiających w sedno sprawy mówców na estradzie. Zamknijmy oczy na to, że młodzież „kwiat narodu” rozsiadła się po krzesłach a weterani I-ej wojny światowej podpierali ściany. Nikt zdawał się tego nie dostrzegać w zapale „współdzwięczenia” z krajem.

Wyczucie, iż stosunki panujące w kraju uległy zasadniczej zmianie na gorsze, jest już od dawna powszednim tematem rozmów powszednich i przedmiotem powszedniej i powszechnej troski. Protest „Trzydziestu Czterech” rozhuśtał owe uczucia niepokoję, pobudził imaginację, wzmocnił wiarę w idealny „Naród”, który tak skwapliwie przeciwstawiamy „Reżymowi” *alias* „Demoludom”. Patronat objęty nad protestem przez wielkie i znane profesorskie nazwiska zdawał się być gwarancją powagi wystąpienia i szczególnej wymowy owego zbiorowego aktu odwagi cywilnej i samoobrony. Ostatecznie prawie każdy z obecnych na sali, jeśli nie zdawał egzaminów z historii filozofii u prof. Tatarkiewiczza, przynajmniej powoływać się mógł na ciotkę, która oblała się na egzaminie u prof. Krzyżanowskiego albo wrzuciła się wykładami prof. Konrada Górskiego. Fakt, że podpisało protest kilku „kameleonów”, zrećnie dostosowujących się do sytuacji, utwierdzało w przekonaniu, iż moment wystąpienia został wybrany przemyślnie i dyplomatycznie.

Dodatkową rewelacją manifestacji londyńskiej był udział Zamku, wyrażony w formie dziarsko sformułowanej deklaracji Rady Rzeczypospolitej, którą przewodniczący zebrania odczytał obecnym na zebraniu członkom Rady Trzech i publiczności reprezentującej kilkadziesiąt odmian poglądów na sprawy publiczne — lub jeden, podstawowy — zwykłe poczucie przynależności do społeczności polskiej. Tak jak w milczącym pochodzie w czasie pobytu Chruszczowa i Bułganina, tak i w tym wypadku Ogół (jak powiedziano by za dni Wielkiej Emigracji) zdobył się na spontaniczną jednomyślność reakcji — i jak wtedy towarzyszył Polakom wypróbowany przyjaciel, nie zawodzący w potrzebie, Mr. Malcolm Muggeridge. Rzeczowy i poważny charakter manifestacji stwarzała atmosferę zmuszającą Cyrankiewiczza i drobniejsze rybki do głębszego zastanowienia się nad celowością represji i ograniczeń. Niemniej ważkim wystrzałem był list do redakcji „Times'a”, ogłoszony 18 kwietnia, podpisany przez 21 intelektualistów angielskich śpieszących z moralnym poparciem akcji protestacyjnej Polaków.

Koniunkturę tę należało wyzyskać i podtrzymać. Sygnariuszom protestu krajowego a w pierwszym rzędzie profesorskiemu ich odłamowi zabrakło zmysłu wytrwałości i zdolności taktycznych. „Pokajanie” przyszło ze strony najbardziej nieoczekiwanej: od grona, w którym większość stanowią profesorowie na emeryturze lub bliscy emerytury, w okolicy siedemdziesiątki, mniej niewątpliwie zagrożeni od młodszych i czynniejszych kolegów. Intelektualiści anglosascy i przedstawiciele Emigracji znaleźli się w sytuacji „wystawionych do wiatru” naiwniaków, mieszających się bez potrzeby w sprawy wzorowego państwa, w którym co najwyżej zdarzyć się mogą drobne nieporozumienia domowe.

Nie wszyscy chcą lub umieją doczytać się w owym „pokajaniu” nuty przymusu czy upokorzenia. U przeważającej większości dochodzi do głosu uczucie, iż oto sponiewierane zostały obja-

wy życzliwości i chęci pomocy — lub dalej jeszcze idące wrażeń, iż w dalekiej Rurytanii obowiązuje krótkoterminowość poglądów i ważności żyrującego protest podpisu.

W dniu ukazania się w „Times'ie” osobliwego listu dziś już zadowolonych ze swego losu uczonych (28.IV) jeden z nich, prof. A. Gieysztor, wygłaszał prelekcję w Szkole Studiów Słowiańskich przy Uniwersytecie Londyńskim. Pełnia swobody, z której na równi z innymi „zadowolonymi” korzysta, nie zawierała jednak możliwości podzielenia się z emigracyjnymi kolegami historykami rzeczowymi informacjami z pierwszej ręki. Przemknął się przez Londyn, przenosząc się cichaczem z hotelu do hotelu, uciekając gracko przed najsprytniejszymi poszukiwaczami prawdy. Obecnie powtarzają te manewry aktorzy i tancerze ze „Śląska”, jakby i oni byli stróżami podstawowych tajemnic państwowych, zagrożonych przez niecne machinacje emigracyjnego wywiadu.

Zmieńmy temat. Nie ważne, kogo obdarzyli nagrodą wytrawni jurorzy „Wiadomości”, kierujący się w tym roku dla odmiany względami natury geograficznej przy pobieraniu decyzji. Ważne, że zjechał z tej okazji do Londynu Kazimierz Wierzyński. Daj nam, Boże, wszystkim taką siedemdziesiątkę, taki rozmach — i przede wszystkim taką odwagę wygarniania wszystkiego, co się ma na sercu i łożądku. Młodzi winni walić tłumem i słuchać z rozwieszonymi uszama, jak Kazimierz psioczy, jak wie czego chce, jak bezbłędnie odróżniać potrafi ziarno od plewy i co widzi w Herlingu, a czego jurorzy-ukrainofile nie dostrzegli. Tytuł wydanego właśnie w Paryżu tomu wierszy „Kufer na plecach” trafił w Londynie celność — Wierzyński zostawił widać ów kufer w Maisons-Laffitte, bo po Londynie biegał piękny i młody (wiadomo, bez żony), szalejący w tonacji „Nie”. Teraz czytamy wiersze, uważając za coś naturalnego, że są gniewne, „pod rozpacz”, pełne znaków zapytania, nocnych nawoływań, pytań bez odpowiedzi, potrzeb. Są w nich wymyślne świadectwa związków z współczesnością, dobre słowa dla Herberta, Różewicza, Mirona Białoszewskiego, Siemiona — echa wymiany myśli z Dąbrowską, tren dla Stefanii Zahorskiej — jest najwyższy sukces poety: wkraczanie w serca i mózgi czytelników, wkręcanie się świadrem w pamięć i zapalenie przed oczyma fajerwerków ze słów odkrywanych na nowo.

Tego samego dnia marcowego, razem z „Kufrem na plecach” dotarł do Londynu „Spór z granicami” Bogdana Czaykowskiego, który w teorii mógłby być wnukiem Wierzyńskiego i jest nim w pewien sposób, na lewo, w sztafetowym biegu poezji.

To wrażenie dominuje: Czaykowski nie jest zawieszony w próżni. W każdym prawie wierszu wyłowić można „cienkie” wymyślne aluzje do szanownej poezji norwidowej, do misteryjnych wizji (w „Kolędzie”) i czerwień, której by się nie powstydzili Słowacki (w „Wierszu dydaktycznym”). Czwarty to już tom Czaykowskiego i niewątpliwie najlepszy, a wspomniany przed chwilą „Wiersz dydaktyczny” jest w nim najmocniejszą bodaj pozycją.

Powiązanie tomów Wierzyńskiego i Czaykowskiego wspólna

datą wydania może oznaczać szczęśliwy omen dla młodego poety. Potomkowie nasi wezmą może kiedyś do rąk te emigracyjne dwojaki, doszukując się w zaciekach polewy wspólnych odcieni zieleni, bliźniaczych szczerb i załamania. Może będą mieli rację.

Nagrody, nagrody, nagrody. Prawie bez wrażenia przeszło wyróżnienie Wittlina: „Oczywiście! zasłużone w pełni!”. Co najwyżej komentarze pochlebne dla kapeli damskiej, która unisono, jak na maturze, „wykazywała się” gruntowną znajomością omawianych ksiązek, co się niezawsze zdarza wiadomościowym jurorom innych płci.

W kwietniowym felietonie przydarzyła się *mld* straszna gaffa: poplątał mec. Zygmunta Nagórskiego *seniora* z młodszą, ale nie dającą znaku życia pisarskiego latoroślą tego roku. I mało tego: hurtem zaliczył do palestry bohaterów sylwetek *seniora*, choć *de facto* reprezentują oni rozliczne dziedziny nauki i życia politycznego. Taki to już ten *mld*! Prędzej czy później zgnije w kryminale, chyba że mu jakaś litościwa Zofia czy Aniela wałówkę podrzuci.

Drukowany rejestr członków Związku Pisarzy nie był, jak się okazuje kompletny. Czarne siły (masonskie?) usunęły z niego monachijskiego Tadeusza Katelbacha, o czym więcej powinniśmy się dowiedzieć z nowego tomu „Dziennika”.

Ileż my teraz drukujemy! I jak drukujemy! Nowe książki sypią się z każdą pocztą — a bywa, że po dwie, po pięć. Pomnaża się i rozbudowuje „księgozbiór podręczny” emigracji. Wyszyły wreszcie „Działania II Korpusu we Włoszech” (po tragicomicznych perypetiach z kartą tytułową) — wyszedł nawet t. I „Literatury polskiej na obczyźnie” pod red. Tymona Terleckiego, okazały, złożony, jak na dzieło pomnikowe przystało. Wierzyński sąsiaduje z Czaykowskim, Szembek (mniej zgodnie) z Witosem. Fundacja Kulturalna „Dziennika” zasypuje nas Bregmanami, Mackiewiczami, Januszem Kowalewskim, Sergiuszem Piaseckim — dostał się do owych polskich Pingwinów nawet i nieboszczyk Nowakowski.

W oficynach bibliofilskich toczy się cichy, dotąd nierozegrany pojedynek. Gliwa wykańcza „Rogalin” Edwarda Raczyńskiego, Bednarczykowie stają na głowie, by nadać nowemu tomowi wierszy Brzękowskiego („Science fiction”) najpiękniejszą szatę graficzną na jaką pozwalają im możliwości. I bohaterski upór. Aby ocenić go trzeba wybrać się w zimny i ponury dzień, w złą pogodę, pod arkady Waterloo Bridge i ze zmieszonymi uczuciami podziwu i niepokoju podziwiać Krystynę Bednarczykową, przymarzłą do linotypu jak król Błystek (z bajki Konopnickiej) do tronu, a tuż obok w sali pełnej najstraszliwszych maszyn wymieniać polskie pozdrowienia z autentycznym Murzynem, wyraźnie zadowolonym z polskich pracodawców.

Oficina Poetów i Malarzy jest już obecnie jedną z najstarszych placówek emigracyjnych. Początki sięgają r. 1947/8, gdy Czuchnowski z Olechowskim i Bednarczykami uruchomić zamierzali Stowarzyszenie Autorów, spółdzielnię wydawniczą. Z obec-

nym swym zawodem spotkał się Bednarczyk za pośrednictwem Stanisława Gliwy, pod którego kierunkiem stawał pierwsze kroki. Usamodzielił się wcześniej — a dziś reprezentuje nie tylko duże doświadczenie ale i dobrze przemyślaną „filozofię” wydawniczą. Da się ona określić, jako próba łączenia bibliofilstwa z użytkowością przez produkowanie książek estetycznych a równocześnie tanich o stosunkowo dużych nakładach. Ambicją Bednarczyka jest zdobienie książek przez artystów-plastyków nie powtarzających pisarza za pośrednictwem ilustracji, ale wprowadzających do książki własny tok równoległy. Szczęśliwe przykłady pomyślnych realizacji tej teorii znaleźć można w „Paryżu” Terleckiego (Szyszko Bohusza) albo powieści Dobka „Na ratunek gołębiczy”. Inną ambicją Bednarczyków jest dawanie pięknej szaty graficznej tekstom wartościowym (z wyraźną słabością w stosunku do tekstów poetyckich; oboje piszą wiersze). W kilkustoletnim dorobku Oficyny doliczyć się można zadziwiająco wielu pozycji o wartości nie tylko trwałej ale wyraźnie zwyższującej. Dotyczy to zarówno dwu tomów Norwida, jak wierszy ostatnich Jasnorzewskiej — pośmiertnych tomów Tadeusza Sułkowskiego — wspomnianego już „Paryża” Terleckiego, „premier” poetyckich Czaykowskiego i Czerniawskiego. Obecnie jest na warsztacie tom prozy Mariana Pankowskiego pt. „Kozak” (z rysunkami Feliksa Topolskiego) — Józefa Jennego „Aspazja, on i ja”, tomy wierszy Jana Winczakiewicza i Floriana Śmieji, tom wspomnień o Tadeuszu Sułkowskim pod red. Terleckiego — i „Science fiction” Brzękowskiego (na ukończeniu).

Z działalnością wydawniczą idzie w parze podkarmiająca ją normalna praca zarobkowa. I na tym odcinku mówić można o poważnych sukcesach. W czerwcu rb. dobiegnie końca druk bibliografii prac naukowych Polaków ogłoszonych w jęz. obcych dla Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, o tekście wielojęzycznym, b. trudnym do składowania, będącym niejako egzaminem dojrzałości drukarni.

Jest rzeczą zadziwiającą, trudną do zrozumienia, czym tłumaczy się urodzaj pięknej książki na emigracji przy zupełnym niemal uspieniu produkcji bibliofilskiej w kraju. Podniósł się tam niewątpliwie poziom książek produkowanych masowo (włącznie z wydawnictwami albumowymi) — na próżno jednak szukalibyśmy krajowych odpowiedników tomików poetyckich Oficyny, nicejskiej serii Samuela Tyszkiewicza — czy poświęconej temuż Tyszkiewiczowi książki zbiorowej wypielęgnowanej przez Gliwę i budzącej podziw w kraju. Może sprzyjają temu stosunkowo niskie nakłady, może w ten właśnie sposób odpłaca się autorom ich indywidualny wkład finansowy w produkcję książek, co jest skądinąd zjawiskiem nienormalnym i niepożądanym. Bliska, pozbawiona pośrednictwa wydawcy, współpraca autora i drukarza daje niewątpliwie wyniki dodatnie, sprzyja narodzinom pięknej książki.

Niekommercjalnosc Oficyny bije w oczy. Konkretnym jej sprawdzianem jest nagroda poetycka, będąca dla Bednarczyków niejako

ko lokatą skromnych nadwyżek budżetowych. Myślę, że jest ona dla nagrodzonych (dotąd są nimi: Czuchnowski i Iwaniuk) wyróżnieniem szczególnie cennym i wzruszającym.

Bibliofilskim wydawnictwom Oficyny przeciwstawia się ubożuchne, powielane z maszynopisu sprawozdanie Wydziału Szkolnego Polskiej Macierzy Szkolnej. Wynika z niego, iż w chwili obecnej działa na terenie W. Brytanii 120 szkół przedmiotów ojczystrych obsługujących ok. 5.000 dzieci. Szkoły te pozostają pod opieką Macierzy (56) i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (ok. 50). Większość korzysta z podręczników opracowanych w Anglii i dostosowanych do potrzeb dzieci kształcących się zasadniczo w szkołach angielskich. Dwie grupy młodzieży przygotowują się do egzaminów z jęz. polskiego na poziomie niższym i wyższym szkoły angielskiej na kursach maturalnych w Ealing Technical College. W rb. do egzaminów przystąpi 20 uczniów w zakresie „O” Level i 12 w zakresie „A” Level. Wiek zdających: 15-18 lat. Wymagania egzaminacyjne wysokie. Zdanie egzaminu oznacza możliwość swobodnego władania jęz. polskim w mowie i piśmie.

Dużym powodzeniem cieszy się Kurs Korespondencyjny jęz. polskiego uruchomiony przez Macierz w jesieni 1963. Korzysta z niego 35 uczniów z terenu Anglii i Walii. Lekcje przygotowywane przez nauczycielkę o wykształceniu uniwersyteckim (Anglistkę) są nadto materiałem pomocniczym dla 15 szkół sobotnich przygotowujących do egzaminu z jęz. polskiego. Pracę nauczycieli (nie zawsze fachowców) ułatwia czasopismo pedagogiczne pt. „Wychowanie Ojczyście”, a nadto starannie opracowane i b. szczegółowe programy nauki i organizowane sporadycznie kursy nauczycielskie.

Praca Macierzy, która jest zasadniczo instytucją biedną jak mysz kościelna, opiera się na wynikach zbiórek 3-Majowych, ofiarach nadsyłanych zamiast życzeń świątecznych itp. oraz wpływach ze sprzedaży wydawnictw (£ 904 w r. 1962-3). Budżet roczny zamknął się sumą £. 4489. Wydatki administracyjne wyniosły ok. 15%. Biuro mieści się kątem na najwyższym piętrze „Ogniska” w ciasnym pokoiku załadowanym po sufit paczkami czasopism i podręczników.

Wbrew krakaniom pesymistów szkoły przedmiotów ojczystrych rozwijają się coraz pomyślniej a poziom ich podnosi się z każdym rokiem. Momentem przełomowym było uświadomienie społeczeństwu, że dzieci uczęszczające do szkół angielskich składać mogą egzaminy z języka polskiego, pojętego przez władze szkolne jako „język obcy”, zamiast np. jęz. francuskiego czy niemieckiego. W kilku ośrodkach angielskie władze szkolne przysłyły z pomocą finansową udzielając polskim szkołom sobotnim drobnych subwencji na opłacenie nauczycieli przygotowujących dzieci polskie do egzaminów. Motorem niemal wszystkich tych poczynań jest mgr. Michał Gołowski, kierownik Wydziału Szkolnego, Macierzy, który cierpliwie i celowo rozszerza akcję szkolną na coraz nowe okręgi, wyszukuje nauczycieli, troszczy się o programy i redaguje „Wychowanie Ojczyście”.

Przypomnieć to wszystko warto i z tego także powodu, że krajowe „Problemy Polonii Zagranicznej”, t. III, w artykule Stanisława Mońki pt. „Szkolnictwo polskie w W. Brytanii” dają zdecydowanie tendencyjny i fałszywy obraz sytuacji, nie wspominając ani słowem o działalności Macierzy i SPK. Dotyczy to zwłaszcza okresu najnowszego. W obrazie sytuacji z okresu wojny i lat objętych działalnością Komitetu Oświaty Polaków, autor oparł się na opracowaniu Czaykowskiego i Sulika i dość wiernie odtworzył przemiany sytuacji. Zarzut karmienia dzieci legendami i odcinania ich od problemów Polski współczesnej jest oczywistym nonsensem: wśród nauczycieli(ek) nie brak osób przybyłych niedawno z Polski a znaczny procent dzieci zetknął się bezpośrednio z Polską w czasie letnich odwiedzin krewnych w kraju. W bliskiej przyszłości ukaże się podręcznik geografii ziem polskich w opracowaniu I. Broniatowskiej, obejmujący Ziemię Odzyskaną, i podchodzący do zagadnienia w duchu „Opisu ziem zamieszkałych przez Polaków” Glogera.

Wczoraj i dziś, źle i dobrze, krótkowzroczność „możnych” i zapalczywość Judymów i „Siłaczek”, miesza się w życiu powszednim w nieskładny ale ciekawy obraz środowiska o dużych ambi-
cjach i żywotności.

(m. l. d.)

Nowość

TOM CI BIBLIOTEKI "KULTURY"

JAN BIELATOWICZ

GAUDE MATER POLONIA

G a w ę d a

Wspomnienie o Uniwersytecie Jagiellońskim

Str. 80

Cena 7 F (10 sh. 6 d.; dol. 1,50)

Książki

Druga młodość Wierzyńskiego

Przed dziesięciu laty napisałem dla *Kultury* recenzję z *Siedmiu Podków*. Starłem się w niej zachować maksimum obiektywności; jedynie końcowym zdaniu dałem się ponieść temperamentowi. Nie zmieniłem opinii o tym tomiku, ale żałuję jednak, że napisałem ten artykuł, bo była to książka znacząca punkt najniższy w twórczości Wierzyńskiego, a poetów należy oceniać nie na podstawie niżów, ale szczytowych osiągnięć. Od tego czasu nastąpił zresztą radykalny zwrot: wydana przed trzema laty *Tkanka Ziemi* (1) oraz ostatnio ogłoszony *Kufer na plecach* (2) — świadczą o zupełnym odnowieniu się tworzywa i techniki poetyckiej. Dlatego chętnie skorzystałem ze sposobności, by omówić te książki na łamach tego samego pisma.

W chwili, gdy pisałem o *Siedmiu Podkowach* nie zapomniałem jeszcze o sporach *Skamander-awangarda* z okresu dwudziestolecia, o pretensjach, moim zdaniem słusznych, do skamandrytów. W tym czasie poeci *Skamandra* zajmowali wszystkie pozycje prasowe na warszawskim *Parnasie* i — dzięki *Wiadomościom Literackim* — dysponowali prawie monopolem w tej dziedzinie starając się nie dopuścić do głosu tych, którzy nie aprobowali ich poetyki. Mieli prawie ogólne uznanie, dobre dochody, możliwość współpracy we wszystkich wydawnictwach, podczas gdy awangarda, z trudem walcząca o *Nową Poezję* miała zamknięty dostęp do wszystkich pism, a nawet — była bojkotowana przez niektóre konserwatywne księgarnie. Istniał więc nie tylko konflikt dwóch postaw poetyckich, ale i dwóch światów: świata ludzi głodnych i wydziedziczonych ze światem pisarzy sytych, obficie wyposażonych, których jedyną troską było utrzymanie wyłącz-

(1) K. Wierzyński — *Tkanka ziemi* — Instytut Literacki — Paryż 1960.

(2) K. Wierzyński — *Kufer na plecach* — Instytut Literacki — Paryż 1964.

ności posiadanych przywilejów. Ten konflikt ciążył długo nad naszym stosunkiem do *Skamandra* i skłaniał do sądów, które może nie zawsze były sprawiedliwe, ale z tamtego obozu nikt nie zdobył się na gest, na okazanie pewnej, minimalnej życzliwości i zainteresowania dla przeciwników literackich. Ta sytuacja trwała prawie dziesięć lat, dopiero ok. r. 1935 uległa szybkiej zmianie, gdyż znaleźliśmy oparcie u wielu młodych poetów, a następnie także w *Pionie* i w kilku dziennikach.

Dopiero w ostatnich czasach uwolniłem się od tego kompleksu, który przez lata ciążył nade mną. Stało się to możliwe, gdyż z konieczności wszyscy myślimy już innymi kategoriami. W okresie powojennym nastąpiły ogromne zmiany, dlatego nasze sądy o literaturze dwudziestolecia, która stała się już przedmiotem studiów uniwersyteckich, uległy szybkiej ewolucji, zwłaszcza w Polsce, wśród młodych. Pojawiło się wielu poetów, którzy wnieśli nowe wartości wymierne, odmienne od przedwojennych. Wystarczy tu wymienić kilka nazwisk: *Różewicz, Białoszewski, Jachimowicz, Herbert, Karpowicz, Wirpsza, Harasymowicz, Grochowiak...* Należałoby tu włączyć *Bieńkowskiego*, który wprawdzie debiutował w r. 1939 *Arkuszem poetyckim*, ale dał się poznać dopiero w latach ostatnich.

Wśród poetów przebywających na Zachodzie z trudem dałoby się wliczyć kilka nazwisk: *Iwaniuk*, (który podobnie jak *Bieńkowski* debiutował już w okresie przedwojennym), 2-3 poetów grupy *Kontynentów*; *Niemojowski...* Przeważnie poeci, młodzi i starsi, piszą pod patronatem *Wiadomości*, dlatego obowiązująca jest poetyka postskamandrycka, wiersze te są utrzymane na pewnym poziomie; ale cechuje je przeciętność, unosi się nad nimi kompleks kolumny Zygmunta i białego dworku z filarkami... Od czasu do czasu spotyka się jednak pewne odchylenie. Z przyjemnością stwierdziłem; utwory *Leszczy* drukowane ostatnio w *Kulturze* mają odmienną poetykę, oprócz kilku wierszy *Rostworowskiego* (mówię: kilku) zwróciła moją uwagę rzadko drukująca w *Wiadomościach* *Barbara Toporska*. (Nie znam jej, jeśli jest to osoba stosunkowo młoda i jeśli nie pójdzie drogą najmniejszego oporu, jeśli zada sobie trud poważnego zajęcia się poezją i nie będzie jej traktować po amatorsku — byłbym skłonny przywiązywać do jej debiutu pewne nadzieje). Istnieje niestety rozdziew między poezją emigracyjną, a młodą poezją w kraju, gdzie — jak miałem sposobność stwierdzić w roku ubiegłym — mówiąc o poetach *Skamandra*, a nawet w odniesieniu do *awangardy* — używa się kategorii historyczno-literackich. Z tego punktu widzenia przeciwstawienie *Skamander* — *Awangarda* — ma dzisiaj stosunkowo małe znaczenie. Chodzi raczej o to, kto z poetów nadal jest pozycją żywą, a kto — należy tylko do historii literatury (lub: do bibliografii). W chwili obecnej, Przyboś np. jest o wiele bardziej ceniony niż przed wojną, (choć pojawiają się próby przeciwstawienia się jego poetyce), podczas gdy skamandrycy budzą głównie zainteresowanie historyczno-literackie. *Iwaszkiewicz* ma dużą pozycję jako prozaik, *Słonimski* osiągnął *un succès d'estime*

jako prezes Związku Literatów, ale nawet Tuwim, który w okresie dwudziestolecia był najbardziej żywy z poetów *Skamandra* przestał budzić oddźwięk wśród młodej generacji poetyckiej.

W poezji skamandrytów zaznaczyły się niewątpliwie dwa nurty: jeden, reprezentowany przez Tuwima i *Słonimskiego* łączył w okresie dwudziestolecia poezję teatrzyków i poezję *tout court*, drugi — który znajdował wyraz głównie w wierszach *Lechonia*, a po wojnie — u *Wierzyńskiego*, przybierał poezję w tożę wieszczą. Ten ostatni nurt nie wydaje mi się zgodny z chwilą obecną mimo, że znajdujemy się w sytuacji wymagającej raczej poezji zaangażowanej. Dlatego w ostatnim tomie *Wierzyńskiego*, mimo że jego twórczość jest wyjątkowo silnie związana z momentem historycznym — z przyjemnością stwierdziłem, że większość utworów pozbawiona jest koturnów, że jego tworzywo poetyckie jest złożone z elementów prostych i bezpretensjonalnych. Istnieją wprawdzie pewne wyjątki, ale są one rzadkie. Nie budzi np. echa we mnie wiersz pt. *Po przeczytaniu wstępu do Antologii Poezja polska 1914-1939*, gdzie właśnie przychodzi do głosu tendencja do odgrywania roli wieszczą:

„W skrzydłach mam przeszłość i przyszłość
Na czele własnej awangardy
odnawiam własną niezawistość”.

(*Kufer na plecach* (3) str. 24)

Walka o rząd dusz wydaje mi się elementem związanym wyłącznie z epoką romantyczną, z istniejącą w tym okresie sytuacją, dzisiaj — ma ona w sobie wydzwięk teatralnego rekwizytu.

Natomiast przekonywujące jest zaangażowanie wierszy takich, jak np. *Epoka elektrowni, Przepis sanitarny* lub *Wilki*. Są to bodaj najlepsze wiersze *Wierzyńskiego*, w których bunt poety przeciw istniejącej rzeczywistości, przeciw *takiej* rzeczywistości, jaka jest, i której zmienić nie możemy — przybiera dużą siłę wyrazu.

Towarzyszy temu odmłodzenie się formy, jej przystosowanie się do chwili obecnej:

Poległych na wojnie oblewa się wapnem
Tym samym wapnem co latrynę,
Leżą jak mimy z maczną twarzą,
Już nie ruszają się, nie straszą,
Skończyli pantominę.

(*Epitaphium* — *Kufer*, str. 84)

Jest to wiersz niewątpliwie mocny, ale nie sądzę, by mógł on powstać gdyby nie nastąpiło ogólne przeoranie naszej wyczuwalności, które — w poezji powojennej — najpełniej wyraziło się w

twórczości Różewicza. Wierzyński żywo interesuje się młodą generacją poetycką w Polsce, w jednym z ostatnich wierszy bezpośrednio zwraca się do młodszych kolegów po piórze:

*Herbert z metafizyczną kukułką,
Różewicz z realnymi widmami
I nawet mozaikowe, rozbite
Bizancjum archimandryty
Mirona,
Piaski-sylaby ruszają wargami
I ziemia pluszowym językiem rzek
Pluszcze uszczęśliwiona.*

(*Sztuka i suka — Kufer, str. 23*)

W przeciwieństwie do większości skamandrytów Wierzyński już przed wojną odnosił się z uznaniem do Leśmiana, który ostatnio stał się w Polsce najbardziej cenionym poetą dwudziestolecia. Autor *Kufra na plecach* poświęca mu jeden ze swych wierszy (*Leśmian w zimie*), ale echą twórczości autora *Łąki*, jego słowotwórstwa — spotykamy od czasu do czasu także w innych wierszach tomu. Jednak w tym wypadku nie jest to uleganie modzie, Wierzyński nie idzie za modą, lecz ją wyprzedza, gdyż już w r. 1939 wydał książkę o Leśmianie.

W ewolucji Wierzyńskiego charakterystyczny jest również zwrot w kierunku zainteresowania się tworzywem, słowem, czemu wielokrotnie daje wyraz w ostatnim tomie.

Zbiór otwiera *Jedno słowo*, którego początek:

*Wiele słów, mało
Czy najmniej
To nie gra roli:
Niech będzie jedno
Byle zaskowyczało
Tak
Jak naprawdę boli.*

(*Jedno słowo — Kufer, str. 7*)

ma jakby wydzźwięk polemicznej aluzji do tytułu wierszy Przyboisia: *Najmniej słów*, wydanego przed kilku laty.

W wielu miejscach *Kufra* Wierzyński zajmuje się słowem, do którego tak często nawiązuje współczesna poezja:

*Jedno słowo na plecach ma złoty wór,
Drugie wypływa piótuńne pestki
A trzecie żębrze.*

(*Sztuka i suka — Kufer, str. 23*)

*Niech on sam, jeśli zapragnie sensu,
Słowo na to odnajdzie;
W ciemnym worku poszuka,*

*Wyjmie je, wystucha, opuka,
Prawdziwe jak serce,
Sztuczne jak sztuka.*

(*W związku z cytata — Kufer, str. 37*)

Albo ta piękna fraza:

*Może słowo niewyrażone,
Leżące na spodzie snu,
Który z mułem podziemnej rzeki
Na tamtą drugą unosi mnie stronę
Ale wypływa tu.*

(*Znaki zapytania — Kufer, str. 67*)

Umilowanie słowa cechowało wielu świetnych poetów, m.in. często przejawia się u Słowackiego. Ale u Wierzyńskiego jest ono nieco odmienne, łączy się z troską, by było to słowo znaczące, a nie — tylko znak semantyczny. Dąży on równocześnie do wyrażenia konkretnego, który często związany jest z sytuacją obecną, ma charakter zaangażowania. Autor *Tkanki ziemi* jest bowiem jednym z najbardziej zaangażowanych poetów, prawie we wszystkich utworach chodzi mu o wypowiedzenie pewnej treści. Najczęściej tkwi ona w obecnej rzeczywistości, ale czasem dochodzą do głosu także i elementy metafizyczne:

*Puste, otwarte okno
Przerażenie*

*Puste mieszkanie
Otwarte na przestrzał.*

Trwoga istnienia.

(*Okna — Kufer, str. 42*)

Tworzywo poetyckie Wierzyńskiego uległo odnowieniu, zachował wprawdzie swój dawny styl, ale rozszerzyła się ogromnie jego sfera wyczuwalności i wrażliwość poetycka. Przejawia się to zwłaszcza w cytatach i aluzjach do poezji anglo-amerykańskiej, a także do współczesnej plastyki, poświęca np. wiersz *Leonor Fini*, w innym utworze wspomina o *Brancusim*, żywo reaguje na tę sztukę, która dawniej niewątpliwie była mu obojętna. W ostatnich wierszach spotykamy *trouvailles*, których nie powstydziłby się *Michaux*:

*I zamiast p-tak
Krzyczą: nie*

(*Ptasie mleko — Kufer, str. 28*)

albo:

*Cholerny wiek
Pseudokrzyżowców,
Krzyżówkowych ludzi.
(Katedry romańskie — Kufer, str. 81)*

gdzie połączenie wypraw krzyżowych z krzyżówkami zatrąca o nonsens i dlatego zawiera w sobie *pointę czarnego humoru*.

Zacytujemy jeszcze jeden podobny zwrot, który niestety Wierzyński zepsuł ostatnią linijką, niepotrzebnie dorzuconą:

*I biedny człowiek w tym zgubiony
Może ledwie — Sapiens,
Jak mówią w Polsce.
(Strachy — Kufer, str. 85)*

Czasem wyrafinowany eksperyment słowny łączy się z mową prostą, codzienną:

*Pod biegunami
Na Pacyfiku
Wielkie niedziele
Wielkie niedziałki
Grzybobranie
Zgiełk na pikniku
Jajka na twardo
I ulegatki
Diabelskie
W koszyku.
(Piknik — Kufer, str. 83)*

Poświęciłem tu wiele uwagi formie poezji Wierzyńskiego, gdyż chciałem wykazać, że uległa ona ogromnej zmianie — zdumiewającej, gdy się weźmie pod uwagę wiek poety. Jego ostatnie dwa tomy — są nowym startem, to nie poeta *Wiosny i Wina* czy *Wróble na dachu*, ale nowy Wierzyński, który znalazł odmienną poetykę, odpowiadającą chwili obecnej. Jest w tej poezji druga młodość, dla mnie o wiele bardziej przekonująca, niż ta pierwsza, z początku dwudziestolecia.

Główną cechą poezji Wierzyńskiego nie jest jednak forma, lecz zaangażowanie. Jest ono czasem wyrażone może w nieco zbyt łatwy sposób, ale niewątpliwie dramatyczne rozdarcie Polaka w diasporze, znalazło chyba najpełniejszy wyraz w jego twórczości. Pozostał on najsilniej zakotwiczony w polskości — wbrew pozorom: pod tym względem porównałbym go z Gombrowiczem, ale z tą różnicą, że autor *Ferdydurke* broni się przeciw temu, podczas gdy Wierzyński chętnie jej ulega — budzą jednak we mnie zastrzeżenia próby wyjścia dalej, poza zaangażowanie. Wprawdzie, po przeszło stu latach nastąpiła nowa emigracja, ale

historia literatury mniej się powtarza, niż historia, a i w tym wypadku analogia jest tylko pozorna. Zaangażowanie Wierzyńskiego jest ściśle związane z sytuacją, która je wywołuje; jego poezja wyraża to, co myśli i czuje wielu Polaków rozsiansych po świecie. Dlatego budzi silny rezonans.

Moja poetyka jest biegunowo odmienna od poetyki Wierzyńskiego. Z natury rzeczy nie mogę więc jego twórczości aprobować w całości, ale tylko w jej pewnych, bliższych mi aspektach. Może byłbym lepiej zrobił nie pisząc tego artykułu — będzie on zapewne dysonansem w ogólnym chórze pochwał z okazji 70-lecia poety, ale wydawało mi się, że nie powinno braknąć obiektywnego głosu z przeciwnego obozu.

Jan BRZEKOWSKI

Literatura polska w niemieckim leksykonie

Jeszcze ćwierć wieku temu leksykonów czy encyklopedyj, mających ambicję objęcia dorobku literackiego całego świata, można się było naliczyć na palcach jednej ręki. Dzisiaj niemal że każdy rok przynosi tu coś nowego. Reprezentują one bardzo różnorodne ujęcia i ambicje.

Jedną z najambitniejszych i najoryginalniejszych imprez jest tu włoski *Dizionario Letterario Bompiani*, wydawany w latach 1947-1957. Pierwsze siedem jego tomów to charakterystyki i streszczenia wybitnych dzieł literackich, uszeregowanych w porządku alfabetycznym tytułów we włoskich przekładach. Ósmy przyniósł słownik najpopularniejszych bohaterów literackich. Zaś trzy dalsze tomy dały słownik pisarzy, a więc to, co potocznie uważa się za leksykon literacki. Jest też i tom indeksów. Literaturę polską uwzględnia *Dizionario Bompiani* skąpo. Mierzyć się on pod tym względem nie może z doskonałym tak dla obfitości, jak i rzetelności informacji, opracowaniem polskich haseł literackich w wielkiej ogólnej *Enciclopedia Italiana*, tak zresztą jak pod względem bogactwa poloniców żadna z wielkich encyklopedyj zachodnich nie może się mierzyć z *Enciclopedia Italiana*. To wzorowe opracowanie działu polskiego w encyklopedii zawdzięczamy jego redaktorowi, prof. G. Maverowi.

Dyckjonarz Bompianiego pojawił się także w wersji francuskiej, przerobionej z uwzględnieniem zainteresowań francuskie-

go czytelnika i znanej jako Laffont-Bompiani. Dział polski jest tu równie chudy jak we włoskiej wersji macierzystej.

Innym podobnie ambitnym przedsięwzięciem była sowiecka *Literaturnaja Encikłopedija*, która zaczęła wychodzić w Moskwie w latach dwudziestych pod redakcją Łunaczarskiego. Do roku 1935 pojawiło się jej tomów dziewięć. Tom dziesiąty miał przynieść m.in. artykuł o literaturze sowieckiej. Ale w latach czystek, kiedy tylu pisarzy sowieckich zapadało w niebyt, opracowanie takiego artykułu okazało się rzeczą niemożliwą. Redakcja po dłuższym zwlekaniu postanowiła przeskoczyć przez drażliwy tom. W r. 1939 wyszedł jeszcze tom jedenasty. I na tym wydawnictwo się urwało.

W ostatnich latach przystąpiono w Rosji do opracowania nowej encyklopedii literackiej. Dwa lata temu ukazał się pod redakcją A.A. Surkowa pierwszy jej tom. Nazwano ją *Kratkaja Litieraturnaja Encikłopedija*. Miała ona być „krótka” tylko w stosunku do swej niefortunnej poprzedniczki i do wielkiego kompendium, zapowiedzianego w przedmowie gdzieś w nieokreślonej przyszłości. W samej rzeczy zakrojona była na szeroką skalę, bo na pięć okazałych tomów. W porównaniu z przedwojenną encyklopedią był to wielki krok naprzód, jeśli idzie o obiektywność informacji. Prawda, darmo by w niej było szukać np. artykułu o Berdiajewie, ale za to można tam było znaleźć np. artykuł o Barrèsie z oceną, która jak na sowieckie stosunki jest nielada osiągnięciem: „na swój sposób wybitny pisarz”. „Na swój sposób” jest tu, oczywiście, kląpą bezpieczeństwa. Ale ostatecznie każdy znakomity pisarz jest wybitnym „na swój sposób”. Bez tego nie byłby wybitnym. — Dział polski był tam opracowany starannie z dobrymi informacjami bibliograficznymi.

Zaraz po pojawieniu się tego tomu rozpętała się przeciwko niemu burza. Właśnie o obiektywność. Ludzie, którzy jak mnisi w *Monachomachii*, w książce, nawet książce podręcznej, widzą nie tyle źródło informacji, co narzędzie walki, zarzucili *Krótkiej encyklopedii*, iż jest za mało bojowa. Na drugi jej tom czekamy już dwa lata i można się obawiać, że długo jeszcze czekać nam przyjdzie.

Zachodnie encyklopedie literackie od tego rodzaju kłopotów są na szczęście wolne. I dlatego w każdym z wielkich zachodnio-europejskich języków można się dziś takich encyklopedyj doliczyć. Z niemieckich najobszerniejszą jest trzytomowa *Die Weltliteratur*, wydana we Wiedniu u Holzera. W języku angielskim dysponujemy m.in. dwutomową *Cassell's Encyclopaedia of Literature*. Obfity dział polski sumiennie i ze znanstwem opracował tam Stanisław Seliga.

Istnieją i hiszpańskie słowniki literackie. W trzytomowym *Ensayo de un diccionario de la literatura* (Madryt, 1949-50), opracowanym pod redakcją F.C. Sainza de Roblesa, tom ostatni poświęcony jest obcym pisarzom. Dział polski opracowany tam został dosyć chimerycznie. Stosunkowo sporo miejsca poświęcono tam nowszej literaturze i na ogół opracowana ona została poprawnie.

Ale z króciutkiego np. artykułu o Mickiewiczu — dwa razy więcej miejsca zajął de Wyzewa — można się dowiedzieć, że *Grażyna* to ostatnie dzieło literackie poety, wydane w r. 1838. Mimo tych braków *Ensayo* jest wzorem poprawności w traktowaniu polonistów w porównaniu ze współczesną mu sześciotomową meksykańską *Enciclopedia de la literatura*, wydaną pod redakcją Benjamina Jarnesa. Nazwiska polskie są tam z reguły poprzekręcane: „Mickiewicz” — tak systematycznie w artykule — „Orzeschko”, „Lenartowiks, poeta austriaco”.

Najnowszym nabytkiem w tej bujnie rozradzającej się rodzinie jest wydany w ub. r. u Krönera w Stuttgarcie pod redakcją Gero von Wilperta *Lexikon der Weltliteratur*. Tym razem jest to leksykon jednotomowy. Ale na bez mała półtora tysiąca dwuszpaltowych stron redakcji jego udało się skompromować dzięki zwarłości ujęć i rozsądnemu przemyślanemu systemowi skrótów zaskakująco wielkie bogactwo materiału informacyjnego. Drobną czcionką książkę trochę męczy oczy, ale za to jest ten leksykon, właśnie dlatego że jednotomowy, poręczny i w cenie dostępnej dla prywatnej biblioteki, podczas gdy magnum opus Bompianiego we włoskiej czy francuskiej wersji kosztuje majątek.

Leksykon przynosi omówienie autorów i dzieł anonimowych. Nie ma w nim hasła rzeczowych, opracowanych w innej książce podręcznej tegoż wydawnictwa, czy artykułów o poszczególnych literaturach narodowych. Przy każdym autorze mamy najważniejsze dane biograficzne i króciutkie omówienie twórczości. Redakcji wyraźnie zależało na tym, aby w owych omówieniach nie wpadać w tak częste w tego rodzaju artykułach encyklopedycznych ogólniki, aby czytelnika tu naprawdę poinformować. I trzeba przyznać, że o tyle, o ile w kilkuwierszowych notatkach, pisanych telegraficznym stylem, jest to możliwe, cel ten udało się osiągnąć. Poza tym każdy artykuł przynosi bibliografię ważniejszych utworów, podanych w języku oryginału i z datami pierwszych wydań, oraz wyliczenie przekładów niemieckich, a gdzie takich nie ma, francuskich czy angielskich. Bibliografia przynosi też wybór najważniejszych opracowań krytycznych.

Literaturę polską opracował dla leksykonu Konrad Kratsch. Została ona uwzględniona — i to powód, dla którego o leksykonie się tutaj pisze — w szerokim zakresie. Dla przykładu wyliczam hasła na literę K: Kaczkowski, Kaden-Bandrowski, Karpiński, Kasproicz, Kisielewski, Klonowicz, Książnin, Kochanowscy Jan i Piotr, Konarski, Konopnicka, Korzeniowski, Kossak-Szczucka, Koźmian, Krasicki, Krasieński, Kraszewski, Kromer, Krzycki, Kuncewiczowa, Kurek.

Warto dla porównania zestawić te hasła z hasłami polskimi *Cassell's Encyclopaedia of Literature*. Warto dlatego, że porównywa się w ten sposób słowniki encyklopedyczne mniej więcej tej samej skali. Prawda, dwa tomy Cassella liczą sobie w sumie ponad dwa tysiące, również dwuszpaltowych, stron. Ale tam hasła rzeczowe i artykuły o literaturach narodowych, wyodrębnione jako część pierwsza, zajmują mniej więcej jedną czwartą tekstu.

Mamy tu więc do czynienia z dziełami bardzo bliskimi sobie rozmiarami. Otóż okazuje się, że w angielskim słowniku nie ma Kurka, ale za to są tam jeszcze Kadłubek, Kitowicz, Kołłątaj i Kropiński. Poza tym dobór nazwisk jest ten sam (z tym że Krzycki figuruje u Cassella jako Critius). Na ogół w angielskim słowniku nieco szerzej uwzględniono literaturę staropolską, podczas gdy ambicją *Lexikon der Weltliteratur* było szerokie uwzględnienie współczesnych pisarzy, nawet młodszego pokolenia, takich jak Mrozek. Obie encyklopedie uwzględniają pisarzy emigracyjnych na tych samych prawach co krajowych.

Dobór autorów w leksykonie Krönera jest na ogół sensowny. Ale trafiają się i dziwne przeoczenia. Jest np. Gawalewicz — kogóż on dzisiaj obchodzi? — a nie ma Brzozowskiego. Trudno się też pogodzić z brakiem Mochnackiego, jednego z największych artystów prozy polskiej, i Stanisława Witkiewicza (ojca), również tegiego pisarza. Spodziewalibyśmy się też znaleźć w niemieckim słowniku literackim Rolicz-Liedera ze względu na jego przyjaźń z Georgem i na przekłady jego wierszy przez Georgego, tak jak w encyklopedii Cassella znalazł się, i słusznie, drugorzędny pisarz Gościński ze względu na prawdopodobieństwo ech w *Hamlecie* jego tłumaczonego na język angielski traktatu *De optimo senatore*.

Same artykuły o autorach polskich są dla piszącego te słowa po trosze zagadką. Z jednej więc strony mamy tu przykłady zręczności i z dużym wyczuciem proporcji zjawisk opracowanych haseł, z drugiej — wcale liczne i nieraz elementarne błędy. Wzorowym przykładem tego jak można w kilkudziesięciu słowach scharakteryzować pisarza, osadzić go w kontekście literackim i społecznym i trafnie ocenić, jest np. takie omówienie twórczości Rodziewiczówny:

„Bekannte u. beliebte Familienschriftstellerin von langanhaltender Wirkung. Beginnt 1887 (w tekście oczywisty błąd druku: 1867) mit ihrem 1. Roman, fast jedes Jahr folgt neue Arbeit. 1889 „Dewajtis“ als bekanntester u. beliebtester Roman, dessen Hauptheld, der Landedelmann Marek Czertwan in vielen anderen Werken variiert wird. Nach dem Vorbild von E. Orzeszkowa entwickelt sie ihren Romantyp, aber ohne die gesellschaftskrit. Schärfe des Vorbildes. Der Realismus leidet unter oft allzu süssl. Sentimentalität. Tritt für Tugend u. Vaterlandsliebe ein“.

Jak pogodzić z tego rodzaju omówieniem bałamutną charakterystykę twórczości Słowackiego, w której jako magistralne dzieło poety wysunięto *Kordiana*, a ani słówkiem nie wspomniano o *Beniowskim* (którego nie wymieniono też w bibliografii utworów Słowackiego!) czy o całej twórczości okresu mistycznego? Zaskakuje też w tym artykule wymienienie Rousseau'a jako rzekomo jednego z tych pisarzy, których wpływ szczególnie się na twórczość Słowackiego odcisnął. Dodajmy, że bibliografia jest tu w ogóle nieporządna: *Genezis z ducha* podana w niej jest jako jedno z wcześniejszych dzieł poety, powstałe w r. 1834.

Jak na jeden artykuł jest tego trochę za dużo. I, co najgorsza, nie jest ten artykuł wyjątkiem. *Farys* nazwany został „epo-

peą” („das Epos 'Farys' "). Słonimski znów bardzo by się zdziwił, gdyby się dowiedział, że w Niemczech jest on „jednym z najwybitniejszych polskich futurystów”. W ogóle, jak to widzimy z opracowań innych poetów, Skamander jest w tym słowniku potraktowany jako po prostu grupa futurystów. W Żeromskim znów dopatrzono się „skłonności do komunizmu”. Miał się też Żeromski w szczególności żywo zajmować Shakespeare'm i Dickensem. O Malczewskim nie można pisać, że był „przyjacielem Byrona”. Istnieją tylko pośrednie i nie ze wszystkim pewne świadectwa, mówiące o tym, iż we Włoszech spotkał się z Byronem. O Langem czytamy tam: „wielki wpływ na polską poezję bez szczególnych własnych osiągnięć artystycznych”, a było akurat, jak na złość, odwrotnie. Z Boya-Żeleńskiego zrobiono tu także i „dramaturga”. O twórczości Niemojewskiego, autora *Duszy żydowskiej w świetle Talmudu*, napisano, że jest „Judenfreundl. gestinnt”. Oczywiście, powinno być „Judenfeindl.” Władysław Orwid to nie jest, jak chce słownik, „właściwe nazwisko” Daniłowskiego, ale pseudonim, którego Daniłowski czasem używał. Zmarły w r. 1960 Goetel figuruje w słowniku jako pisarz jeszcze żyjący, a Morstina *W kraju Latynów* jako dramat. Wiadomość jakoby poetyka Sarbiewskiego była tylko częściowo wydana drukiem, jest nieścisła. Wydano ją w Warszawie w latach 1954-58.

Szczególnie przykrym jest tu informacja o śmierci Boya: „Po wkroczeniu wojsk niemieckich (do Lwowa) zamordowany przez przeciwników politycznych”.

Dane bibliograficzne na ogół są dobrane starannie, z tym jednak, że przeoczone szereg nowszych pozycji. Przy Brodzińskim np. trzeba by koniecznie wymienić doskonałe dwutomowe wydanie jego poezji z r. 1959 w opracowaniu Zgorzelskiego, podobnie przy Górnickim zamiast starego trzytomowego wydania jego dzieł z r. 1886 należało przytoczyć dwutomowe wydanie *Pism* z 1961 r. w starannym opracowaniu Pollaka.

Trzeba wreszcie wspomnieć temu leksykonowi mocno niestaranną korektę polskich tytułów i nazwisk, szczególnie irytującą w tego rodzaju kompendium. Mało jest polskich autorów, których wszystkie tytuły podane by były w tekście poprawnie. Przy niektórych roi się od przekreślonych słów. Nie zawsze też poprawnie podano nazwiska pisarzy: „Orzeszkowa”, „Lubomierski”, „Faleński”, „Kniaźnin”. Zecerzy londyńscy, którzy składali *Cassell's Encyclopaedia of Literature*, okazali się pod tym względem bez porównania staranniejsi od swoich stuttgartarskich kolegów. Błędów drukarskich w słowach polskich jest tam minimalna ilość.

Wszystko to wielka szkoda, bo doskonała koncepcja redakcyjna czyni z tego leksykonu książkę szczególnie poręczną, a sympatycznie też nastraja do niej szerokie uwzględnienie polskich pisarzy. Zanim jednak nie ukaże się tej książki drugiej, poprawione wydanie, trzeba będzie w dalszym ciągu za najlepsze przedstawienie literatury polskiej w tego rodzaju dziele podręcznym uważać Cassella *Encyclopaedia of Literature*.

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pytanie: — Co to jest 1 Maja w Polsce?

Odpowiedź: — Komunistyczny Prima Aprilis.



Pytanie: — Za co dzieci lubią Chruszczowa?

Odpowiedź: — Za to, że nie daje kaszki i opowiada bajki.



Pytanie: — Dlaczego Gomułka nie poci się w czasie przemówień?

Odpowiedź: — Dlatego, że ma LUD w d...



Do lokalu partyjnego w Zakopanym przychodzi góral i prosi, żeby zapisano go do partii. Sekretarz zwraca góralowi uwagę, że zapisanie się do partii to nie byle co, że członek partii musi bez szemrania wypełniać wszelkie rozkazy i że musi być gotów do największych wyrzeczeń, jeżeli partia tego zażąda. Radzi góralowi, żeby się dobrze namyślił.

Góral jest jednak zupełnie zdecydowany i podtrzymuje swoją prośbę.

Między sekretarzem a góralem wywiązuje się następująca rozmowa:

— Jeżeli partia zażąda, żebyś oddał jej dom — oddasz? — pyta sekretarz.

— Oddam! — mówi góral.

— A jeżeli partia zażąda, żebyś oddał konia, oddasz?

— Oddam — odpowiada góral.

— A jeżeli partia powie, żebyś oddał także i krowę?

— Oddam — mówi twardo góral.

— A jeżeli partia powie, że masz oddać również owcę, oddasz?

— O co to, to nie — krzyknął góral — owcy nie oddam!

— Dlaczego? — pyta zdumiony sekretarz.

— Bo owcę mam...

Depesza z piekła do Chruszczowa:

— Pochwalam metody destalinizacji — Wołgow.



Do komórki partyjnej w powiatowym mieście przychodzi z egzekutywy polecenie przeprowadzenia czystki i wyrzucenia „nieprawomyślnych” członków. Miejscowe władze partyjne nie umieją jednak przeprowadzić właściwej selekcji — tłumaczą, że wszyscy członkowie partii są dobrymi komunistami. Z centrali wysłano więc dwie osoby celem zlikwidowania sprawy. Ale delegaci na podstawie przedłożonych materiałów, także nie mogą dokonać sprawiedliwego wyboru. Wpadają więc na następujący pomysł. Zwołują meeting wszystkich członków partii do wielkiej sali. Jeden z delegatów pozostaje razem ze wszystkimi, drugi wychodzi na korytarz. Pierwszy każe zebranim pojedynczo opuszczać salę. Gdy delikwent wychodzi na korytarz dostaje pałąk w łeb od czekającego nań drugiego delegata. Jeżeli krzyknie: „O, Jezu!” zostaje z partii wydalony, jeżeli zaś „Ty s...synu” — zostaje!



Chruszczow w czasie pobytu we Francji rozmawiał z gen. de Gaulle'm na temat osiągnięć w ich krajach, w różnych dziedzinach życia.

Generał de Gaulle wysłuchawszy długich wywodów Chruszczowa na temat rosyjskich sputników i podróży kosmicznych powiedział.

— Rzeczywiście, w tej dziedzinie jesteśmy jeszcze daleko w tyle za Rosją, ale za to jeśli idzie np. o medycynę, to ostatnie odkrycia lekarzy francuskich są zupełnie przełomowe. Pokonaliśmy śmierć. Medycyna francuska może dzisiaj wskrzeszać zmarłych.

— To bardzo ciekawe — powiedział Chruszczow — myśmy jeszcze tego nie odkryli, ale za to w dziedzinie sportu, którym entuzjazmuje się młodzież całego świata, jesteśmy niepokonani. Mamy obecnie biegaczy, którzy rozwijają szybkość 200 km. na godzinę!

— Niestychane — zawołał de Gaulle — Francuzi muszą to zobaczyć. Proponuję, aby pan przysłał nam takiego biegacza, a my w zamian wyślemy naszego lekarza, który zademonstruje wskrzeszanie zmarłych w Moskwie.

Chruszczow chcąc nie chcąc zgodził się, ale po powrocie do Moskwy, przekonawszy się, że nie ma biegacza, który mógłby biec z szybkością 200 km. na godzinę wpadł we wściekłość.

— Jak ja teraz wyglądam — krzyczał. Tyle pieniędzy wydajemy na sportowców, a jak się który ma wykazać — to nic! Skąd ja teraz wezmę takiego biegacza dla de Gaulle'a!

— Na to jest tylko jedna rada — odpowiedział ktoś z obecnych — trzeba poprosić de Gaulle'a, żeby najpierw on przysłał nam lekarza. Polecimy mu wskrzesić Stalina, a wtedy — ręczę — że wy sam, Nikito Siergiejewiczu, pobijecie rekord 200 km. na godzinę!

Zebrała: Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

New York, 28 kwietnia 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 4/198 „Kultury” z kwietnia 1964 r. umieszczona została „nieoficjalna a rozszerzona” lista członków Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z r. 1963.

Na liście tej pod pozycją 64-ą figuruje moje nazwisko. Pragnę stwierdzić, że ani w czasie mego jedenastoletniego pobytu w Londynie, ani już trzynastoletniego w Nowym Jorku nigdy nie byłem i obecnie nie jestem członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Do nazwiska mego dodano komentarz: „wydał właśnie tom wspomnień o palestrze warszawskiej”. W książce mojej „Ludzie mego czasu” piszę o dwunastu osobach, z których dwie tylko były adwokatami — Leon Berenson i Aleksander Lednicki — a z tych dwóch jedna tylko należała do palestry warszawskiej.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Zygmunt NAGÓRSKI, sr.

Londyn, 4 maja, 1964 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając „Kulturę” z kwietnia 1964 r. dowiedziałem się z niemałym rozbawieniem, że w spisie tak wielu wprost bezcennych literacko nazwisk w nocie pt. „W oczach Londynu” brakuje mojego; znaczy to, że nie tylko p. Wohnout nie zamieścił go wcale na swej liście Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (co jest dosyć zrozumiałe, choć zupełnie bezprawne), ale że i Pana korespondent (p. „m.l.d.”) do niego się summa cum laude przyłączyła.

Obydwie te dymne zasłony nic nie pomogą. O rzeczywistym uczestnictwie w zespole pisarskim decyduje zasługa pisarska, a nie przynależność do koterii lub brak powiązań z polityczną fikcją, powiązań popieranych skromnie przez różnorakie czynniki, których cel może być lub stać się sprzeczny z rudymenarnymi założeniami naszego interesu narodowego.

Mój dorobek literacki obejmuje trzy dramaty wierszem, osiem tomów poezji, jeden poemat, szereg antologii poezji obcej, dwie obszerne prace krytyczne, opowieść i kilka nowel. Opublikowałem dotąd siedem książek na przyłączył.

Łączę wyrazy poważania.

Jerzy NIEMOJOWSKI

Jacksonville, Illinois, 28 kwietnia 1964 roku

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z zainteresowaniem wyrażonym ostatnio w *Kulturze* dla dorobku naukowego sławnego etnologa polskiego Bronisława Malinowskiego (list red. Zbigniewa Grabowskiego w nrze 194, list prof. Cezarii C.de-B.-Jędrzejewiczowej w nrze 197 i list prof. Aleksandra Witolda Rudzińskiego w nrze 198) chciałbym w kilku słowach podać wyniki swoich badań bibliograficznych nad jego pismami, przeprowadzonych kilka lat temu w związku z pracą dokorską o nim, przedstawioną na Uniwersytecie Kolumbijskim w Nowym Jorku w r. 1955.

Praca ta, jedyna, o ile mi wiadomo, rozprawa doktorska na temat wkładu teoretycznego Malinowskiego do socjologii porównawczej, została ogłoszona drukiem tylko częściowo — w postaci kilku artykułów, które ukazały się w kwartalniku Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, *The Polish Review* (1958-1960). Bibliografia, którą do niej zgromadziłem, bardzo kompletna, o ile wolno mi to nieskromnie stwierdzić o własnej pracy, spoczywa dotąd w rękopisie.

Żeby nie zabierać dużo miejsca, streszczę swoje uwagi w kilku punktach:

1. W języku angielskim pisał Malinowski od początku swojej kariery naukowej (1910) aż do końca życia (1942).

2. Prace Malinowskiego w języku polskim obejmują dłuższy artykuł pt. „Totemizm i egzogamia — Z powodu książki J.G. Frazera”, który ukazał się w trzech częściach w kwartalniku *Lud* w latach 1911-1915 oraz wymienioną przez prof. A.W. Rudzińskiego książkę pt. *Wierzenia pierwotne i formy ustroju społecznego*. Pogląd na genezę religii ze szczególnym uwzględnieniem totemizmu, wydana przez Akademię Umiejętności w Krakowie w r. 1915. Prof. Rudziński myli się jednak, pisząc iż dzieło to było wynikiem badań Malinowskiego prowadzonych na wyspach Trobriandzkich. W istocie, jak to wyjaśniłem w moim artykule „The Origin of Malinowski's Theory of Magic” (*The Polish Review*, 1960), jest to praca teoretyczna napisana przez Malinowskiego podczas jego pobytu w Londynie — przed wyjazdem do Australii (i potem na wyspy Trobriandzkie) w 1914.

W latach późniejszych ukazywały się po polsku tylko przekłady niektórych dzieł angielskich Malinowskiego, dokonane przeważnie przez prof. Czesława Znamierowskiego. Należą tu: „Zagadnienie pokrewieństwa w świetle najnowszych badań” (*Przegląd Socjologiczny*, 1930), „Kultura jako wyznacznik zachowania się” (*Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny*, 1937), „Śmiertelny problemat” (*Marcholt*, 1937 — późniejszy przedruk w *Przeglądzie Socjologicznym* z r. 1946), „Prawo i zwyczaj” (*Przegląd Socjologiczny*, 1938), „Zwyczaj i zbrodnia w społeczności dzikich” (*Ibidem*). Jako książki osobne wyszły: *Prawo, zwyczaj i zbrodnia w społeczności dzikich* (Warszawa — Poznań, Polski Instytut Socjologiczny, 1939) oraz *Życie seksualne dzikich Północno-Zachodniej Melanzji* (Warszawa, Przeworski, w latach trzydziestych — egzemplarza tego przekładu nie ma w bibliotekach amerykańskich). Ta ostatnia książka, ogłoszona po angielsku w r. 1929, ukazała się również w przekładach na języki: niemiecki, francuski, włoski, hiszpański i szereg innych.

3. W języku niemieckim ogłosił Malinowski osobiście tylko parę rzeczy w liberalnym kwartalniku *Die Geisteswissenschaften*, który ukazywał

się przez niespełna rok w okresie bezpośrednio przed I Wojną Światową. Ukazał się tam jego dłuższy artykuł na temat socjologii rodziny oraz jedna krótka recenzja.

W latach późniejszych ukazały się w czasopiśmie psychoanalitycznym *Imago* oraz w *Zeitschrift für Völkerpsychologie und Soziologie* tłumaczenia różnych jego szkiców, ogłaszanych współcześnie w języku angielskim a zebranych później w książce *Sex and Repression in Savage Society* (London, 1927).

W r. 1926 Malinowski wziął udział w pierwszym kongresie międzynarodowym dla badań nad zagadnieniami płciowymi, który się odbył w Berlinie, ale referat jego na tym zjeździe ogłoszony został w *Verhandlungen* zjazdu w języku angielskim, musiał więc być wygłoszony również w tym języku.

4. W językach francuskim i włoskim, o ile mi wiadomo, Malinowski nie nie ogłosił. Jego referaty na Kongresie Nauk Moralnych i Historycznych w Rzymie w r. 1938 wygłoszone zostały oraz ukazały się drukiem w języku angielskim.

Wydana w r. 1933 u Payot'a książka Malinowskiego pt. *Moeurs et coutumes des Melanésiens* musi być przekładem któregoś z jego dzieł angielskich — niestety nie mogłem tego ustalić, bo nie posiada jej żadna z bibliotek amerykańskich, nawet Biblioteka Kongresowa.

5. Niektóre artykuły oraz przedmowy Malinowskiego z lat ostatnich ogłaszane były jednocześnie po angielsku oraz po hiszpańsku: w *Revista Bimestre Cubana* lub *Revista Mexicana de Sociología*. W języku hiszpańskim ukazała się pierwotnie tylko przedmowa Malinowskiego do książki F. Ortiz *Contrapunteo Cubano del Tabaco y el Azucar* (La Habana, 1940).

6. Wszystkie szczegóły biograficzne o Malinowskim, które udało mi się zebrać, podane są w moim artykule „Bronisław Malinowski: Formative Influences and Theoretical Evolution” (*The Polish Review*, 1959). Indywidualność Malinowskiego jako myśliciela i człowieka próbowałem naświetlić w swym artykule „Bronisław Malinowski: An Intellectual Profile” (*The Polish Review*, 1958). Wreszcie ogólny pogląd na dorobek naukowy Malinowskiego z punktu widzenia współczesnych prądów w socjologii i etnologii przedstawiłem w moim artykule „Bronisław Malinowski: Individuality as a Theorist”, (*The Polish Review*, 1960).

Pozostałe, a najbardziej zasadnicze, części mej pracy, dotyczące rozwoju koncepcji teoretycznych Malinowskiego, oczekują na chętnego wydawcę.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego głębokiego szacunku i poważania.

Konstanty SYMONOLEWICZ-SYMMONS
Wydział Socjologii i Etnologii MacMurray College
Jacksonville, Illinois

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e trimestre 1964

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA: « Vista » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leihbibliothek, godz. 19-21)		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA: Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8 ^a Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA: T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080, Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgetan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co., 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co., Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTÉRAIRE, 91, avenue de Poissy, Meuil-la-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM XCVI

MAREK HŁASKO

WSZYSCY BYLI ODWRÓCENI **BRUDNE CZYNY**

Marek Hłasko, dotąd celujący w „małych formach” okazuje się również świetnym powieściopisarzem.

Str. 356

Cena egz. 16,50 F (dol. 3,50; 24/6)



TOM XCVII

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KUFER NA PLECACH

Jubileuszowy tom, obejmujący 70 nowych wierszy z okazji 70-ciolecia urodzin zawsze młodego poety

Str. 104

Cena egz. 7,50 F (dol. 1,75; 11/6)



TOM XCVIII

BOGDAN CZAYKOWSKI

SPÓR Z GRANICAMI **Poezje**

Str. 64

Cena egz. 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)